

WALKA O TERMIN WYBORÓW

Policzyliśmy, na ilu posłów
może liczyć Jarosław Gowin



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 19/372 4-10 MAJA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Korwin-Mikke ostro
o socjalizmie w Polsce



LATO 2020, CZYLI URLOP
W CIENIU COVID-19

Czy po brexicie szykuje się
italexit

DRUGI WIELKI KRYZYS?

Czy czeka nas powtórka z lat trzydziestych XX wieku



Bezrobotni w lokalu Funduszu Bezrobocia
w Krakowie w kolejce po zasiłek, 1933 r.

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829



Nakład: 59 000 egzemplarzy

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

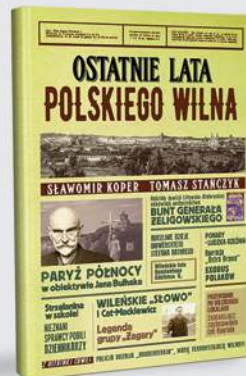
TYGODNIK LIŚCICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



TYGODNIK „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY”

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA
I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA:

S. KOPER I T. STAŃCZYK
„OSTATNIE LATA
POLSKIEGO WILNA”

~~745~~ zł



280,00 zł



OSZCZĘDNOŚĆ
465 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Dwa scenariusze dla Polski

Sytuacja jest, wiem, to banalne, w najwyższym stopniu osobliwa. Dziesięć dni przed możliwymi wyborami prezydenckimi nie tylko nie ma pewności, czy do nich dojdzie, lecz także – wszystko na to wskazuje – dowiemy się o tym nie wcześniej niż 6 maja, podczas głosowania w Sejmie. Jak ono wypadnie – nie wiadomo. Kto uważnie śledzi media, ten dowie się jedynie, że przeciw projektowi głosowania 10 maja zgłasza kilku posłów Jarosława Gowina (ilu dokładnie, nie jest pewne), ale – być może – za projektem padną jakieś głosy przedstawicieli opozycji (też nie wiadomo). Tymczasem na ulicach dominują ludzie w масечках, Polska wciąż przypomina szpital zakaźny, a nieśmiałe oznaki powrotu do życia nie mogą zmylić obserwatora – społeczeństwo jest nadal w stanie traumy i strachu przed epidemią. Nawet kościoły, tak zawsze pełne i żywe wiarą, stoją opuszczone i wstydliwie dość przymknięte.

Dziwne to wszystko. Głównym celem zwolenników szybkich wyborów było od początku zapewnienie państwu stabilizacji. To wydawało się racjonalne. Wobec oznak nadciągającej zawieruchy gospodarczej nie wolno dopuścić do niepewności i awantury politycznej – mówili. Dlatego szybki wybór Andrzeja Dudy, bo od marca wszystko wskazuje na to, że wła-

śnie urzędujący prezydent wygra wyścig, pozwoli zrealizować ten cel. Najgorsze, co mogłoby czekać Polskę, to sytuacja, w której nakładają się na siebie walka o utrzymanie przy życiu gospodarki i wojna polityczna, której źródłem byłby podział w obrębie władzy wykonawczej – twierdzili. Dlatego należy, nie licząc się z innymi względami i formalnościami, przeprowadzić wybory tak szybko, jak się da. Tym bardziej że po drugiej stronie jest opozycja, która nie ma skrupułów i znajduje się w stanie nienawistnego amoku. W ten sposób ocali się stabilność władzy i skuteczność rządzenia. Tyle że na razie to dążenie do stabilności przynosi skutki przeciwnie do oczekiwanych.

Pierwszy raz od 2015 r. zagrożona jest większość sejmowa. Nawet jeśli jednorazowo PiS uda się wygrać sejmowe głosowanie 6 maja, to nie ma wątpliwości, że stały brak poparcia kilku posłów Porozumienia oznacza kłopoty w przyszłości. Od tej pory przyjęcie przez Sejm każdej ustawy będzie wyzwaniem. O ile zaletą rządów PiS była i jest ich stabilność, o tyle obecnie już tak być nie musi. Może jednak gra wciąż jest warta świeczki – przynajmniej opozycja nie przejmie urzędu prezydenckiego. Może warto narazić istnienie większości sejmowej dla zachowania urzędu prezydenckiego?

Można mieć tu sporo wątpliwości. Czy urząd prezydenta, jeśli

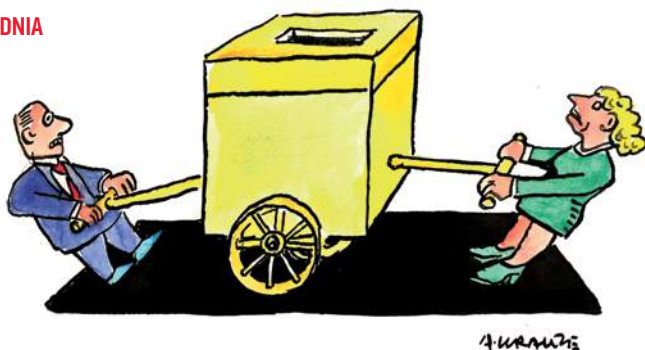
Andrzej Duda zostanie wybrany przez kilkanaście procent Polaków, bo nie spodziewam się, by obecna głowa państwa mogła liczyć przy przygotowanych w ten sposób wyborach korespondencyjnych na więcej, nadal będzie ostoją i kotwicą bezpieczeństwa systemu politycznego? Raczej nie. Przeciwnie. Od razu po głosowaniu stanie się on głównym celem napaści politycznych, a prawomocność wyborów będzie podważana w stopniu, w jakim nigdy wcześniej się to nie działo. Również, obawiam się, za granicą. Początkowo nie będzie to zapewne politycznie groźne.

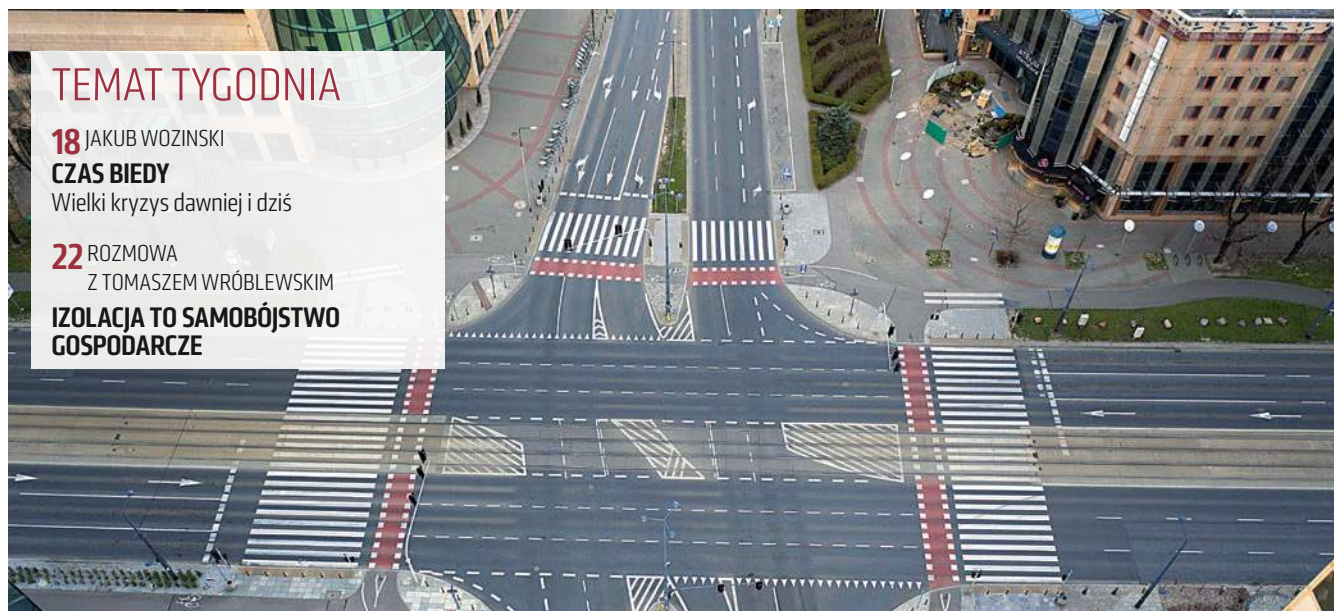
Jednak wraz z powrotem do życia społeczeństwa – to przecież musi wreszcie nastąpić – i wraz z możliwym wzrostem niezadowolenia z powodu kryzysu gospodarczego kłopoty będą coraz większe. Prezydent stanie się swoistym ośrodkiem krystalizacji niezadowolenia.

To oczywiście czarny scenariusz. Jasny jest inny. Andrzej Duda wygrywa w majowym głosowaniu korespondencyjnym, w którym bierze udział ponad 50 proc. wyborców, a polski system wyborczy okazuje się bardziej sprawny niż ten w Bawarii lub w Korei Południowej i dlatego nikt, a przynajmniej nikt znaczący, tego faktu nie podważa. Posłowie Gowina z nim samym na czele posypują głowy popiołem i przychodzą w workach pokutnych do Canossy, pardon, na Nowogrodzką. Polska cieszy się nadal stabilną większością w Sejmie i sprzyjającym jej, wybranym przez większość narodu prezydentem. Przygotowane przez rząd kolejne ustawy sprawnie niwelują zagrożenie kryzysem i gaszą niezadowolenie w zarodku. Cóż, bardzo bym chciał, żeby tak było.

Jednak wrodzona natura sceptyka sprawia, że gdyby mnie zapytano o zdanie, powiedziałbym, że znacznie większą szansę realizacji ma ten pierwszy, czarny scenariusz. ©

RYSUNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

18 JAKUB WOZINSKI
CZAS BIEDY
Wielki kryzys dawniej i dziś

22 ROZMOWA
Z TOMASZEM WRÓBLEWSKIM
**IZOLACJA TO SAMOBÓJSTWO
GOSPODARCZE**

KRAJ

26 WOJCIECH WYBRANOWSKI
BATALIA O SĄD NAJWYŻSZY
Koniec epoki Gersdorf

30 MARCIN MAKOWSKI
**NA ILE SZABEL
MOŻE LICZYĆ JAROSŁAW GOWIN**

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**ZNIKAJĄCA KANDYDATKA,
ZNIKAJĄCA PARTIA**

34 ŁUKASZ WARZECHA
CO ZMIENI PANDEMIA

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
ATAK NA WOLNOŚĆ SŁOWA

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
HABIT KONTRA COVID-19

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
NOCNY LOT
Pomysł trafiony na czas pandemii

42 JOANNA BOJAŃCZYK
**REWOLUCJA OPTYCZNA
JANA VAN EYCKA**

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 PAWEŁ PAWŁOWSKI
**MYLNE TROPY
POSMOLEŃSKIEJ KATASTROFY**
Studium manipulacji

52 ROZMOWA Z PRAWNIKIEM
ANDRZEJEM MIKOSZEM
TEMAT ODSZKODOWAŃ NIE ZNIKNIJE



54 LIST DO REDAKCJI
WOLNOŚĆ ODCHODZI PO CICHU

56 JANUSZ KORWIN-MIKKE
REFLEKSJE „OBYWATELA”

HISTORIA

58 PIOTR SEMKA
AUSTRIA 1945, CZYLI GODZINA ZERO
Jedenastcie spojrzeń na rok 1945

62 WIESŁAW CHEŁMINIAK
DOKTOR DZIÓB PROSI DO TAŃCA

ŚWIAT

66 OLIVIER BAULT
NASTRÓJ NA ITALEXIT
Czy Włosi pójdą śladem Wielkiej Brytanii?

68 PIOTR WŁOCZYK
LEKARZ NA SPRZEDAŻ

70 MAŁGORZATA WOŁCZYK
HISZPANIA SIĘ CZERWIENI

EKONOMIA

72 JACEK PRZYBYLSKI
URLOP W CZASACH ZARAZY
Koniec ze szwedzkim stołem

SPORT

76 ROZMOWA Z WITOLDEM BAŃKĄ
WALKA O CZYSTY SPORT
Biało-Czerwoni za rok będą równie mocni

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (61), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (78), ZALEWSKI, MAKOWSKI (81), KUCHARCZYK (82)

DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzezy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiński

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chelminiak,
Dominika Coś (Brusela), Tomasz Cukiermistrz, Krzysztof Czabański, Piotr
Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub
Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa
Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Małkowski, Monika Małkowska,
Karolina Marchewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka
Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold
Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna
Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej
Torański, Szwach Weiss, Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Jakub Wozniak,
Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz
Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowska,**
Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Damian Cygan,
Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadarowski, Włodzimierz Zakrzewski

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz,**
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

Okładka: **NAC**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzezy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 59 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością
karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzezy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Wasze listy i e-maile, za przemyślenia, komentarze, reakcje na artykuły naszych publicystów. Każdy z listów czytamy, a więc każdy ma szansę znaleźć się w tej rubryce. Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzezy.pl.

Powrót do przeszłości

Nieoczekiwany czas pandemii jest dobrą okazją dla wszystkich wiernych, aby poznać życiorysy i podjąć modlitwę za wstawnictwem świętych patronów od nieszczęść. Gdy bowiem rozejrzymy się dookoła, możemy dostrzec w swoich miejscowościach wota wdzięczności za ocalenie mieszkańców w postaci figur, rzeźb świętych czy nawet budowli. Do tej pory często niezauważane, dziś na nowo nabierają znaczenia. Należy je odczytać jako wyraz wiary naszych przodków



oraz wielką szansę poznawania naszych małych ojczyzn skrywających „ukryte skarby”.

I tak dla przykładu w katedrze kieleckiej, w której posługuję jako wikariusz, znajdując się figura św. Rocha oraz obraz św. Tekli. Na marginesie, na cześć tego pierwszego syn organisty Adam Bednarz napisał melodię w stylu średniowiecznym do pieśni: „Hymn o św. Rochu”. Jest ona wykonywana od końca marca w naszej świątyni.

Z kolei na kieleckim rynku stoi od 1837 r. pomnik św. Tekli. Klasztor na Karczówce będący dziś symbolem miasta powstał z inicjatywy biskupa krakowskiego Marcina Szyszkowskiego na początku XVII w. jako podziękowanie za ocalenie miasta przed zarazą za przyczyną św. Karola Boromeusza.

To tylko część naszego dziedzictwa sakralnego.

W chwili obecnej zdajemy egzamin z naszej wiary. Czy po ustaniu pandemii koronawirusa stać nas będzie na podobny gest wdzięczności dla Pana Boga? Czy nie najwyższy czas, aby wierni prosili o modlitwę w czasie Eucharystii o ocalenie? Bardzo brakuje takiej wrażliwości.

Z wyrazami szacunku

ks. Jacek Malewski, Kielce

List z Hiszpanii

Czytuję opisy Pani Małgorzaty Wołczyk na temat tego, co się dzieje w Hiszpanii. Mam podobny ogląd sytuacji.

Jestem Polką, która pozostawała w związku małżeńskim od 28 lat z obywatel z Hiszpanii, aktualnie jestem w Madrycie w wyjątkowo tragicznych okolicznościach.

Miesiąc temu zmarł mój mąż, do tej pory nie wiem, gdzie są jego zwłoki, czy zostały skremowane, zabrała je firma pogrzebowa. Odmówiono prawa jakiegokolwiek uroczystości religijnej, nie wiem, kiedy zostaną skremowane, kiedy zostanie wydana mi urna. Wiem natomiast, bo taką dostałam informację wczoraj od firmy pogrzebowej, że do tej pory nie został sporządzony akt zgonu. Kiedy zostanie sporządzony, dokładnie nie wiadomo, być może w ciągu najbliższych dwóch tygodni, i przesłany na adres domowy.

Ja po śmierci męża dosłownie w 10 dni ciężko zachorowałam i zostałam przewieziona na

pogotowie, gdzie okazało się, że mam koronawirusa, w stanie ciężkim zostałam umieszczona w szpitalu uniwersyteckim Princessa w Madrycie przy ul. Diego de Leon.

Zdołano mnie uratować i po 14 dniach bez zrobienia testu wypisano do domu, gdzie jestem na 14-dniowej kwarantannie, sama w mieszkaniu, bez prawa opuszczania go. W zaopatrzeniu w leki i żywność pomagają mi sąsiedzi.

[...]

Najciekawsze jest, że takich poważnie chorych, którym bezpośrednio groziła śmierć, wypisuje się bez zrobienia testu.

Mój stan zdrowia na szczęście poprawia się. Powiedziano mi, że jeżeli w czasie kwarantanny nie wystąpi pogorszenie, to po 14 dniach zostanie uznana za wyleczoną.

Z wyrazami szacunku

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nieprzyzwoita „przyzwoitość”



PIOTR SEMKA

W czasach PRL każdy, kto rzucał wyzwanie reżimowi komunistycznemu, stawał się obiektem represji administracyjnych i policyjnych. Prawo było przeciwni, a powszechne zastraszanie minimalizowało szanse na jakiś akt solidarności z prześladowanym. W tej sytuacji jedyną bronią buntowników było odwołanie się do pojęcia ludzkiej przyzwoitości. Do kanonu zachowań sprzed komunizmu, gdy wiele wartości było szanowanych bez dostosowywania ich do reguł PRL. Pomagało to zawstydzać sędziów, utrudniać izolację w miejscu pracy, skłaniać innych do aktów odwagi – dając tym, którzy i tak mieli niewiele atutów, pewne szanse w grze z wrogim państwem.

Gdy od 1989 r. zaczęła się powoli odbudowa demokracji, Adam Michnik nie wyrzekł się używania pojęcia „przyzwoitości”, choć rzeczywistość przestała być białoczarą. W obozie byłych dysydentów rozpoczęła się faza używania sprytniej figury dyskusyjnej: „Skoro np. Jacek Kuroń mówił nam w czasach komuny, że szpicelowanie jest wstrętne, to tym bardziej wsłu-

chajmy się dziś w jego potępienie lustracji”. Było to nieuczciwe, bo porównywanie sytuacji z epoki skrajnych wyborów z lat komunizmu do kontrowersji typowych dla demokracji było bez sensu.

Gdy w latach 2006–2014 Władysław Bartoszewski wdał się w bardzo ostry spór obozu Platformy z PiS, także wskrzesił odwołania się do pojęcia „przyzwoitości”. Stawiało to krytyków takiej manieri dyskusyjnej w trudnej sytuacji. Gdy krytykowano pana profesora za używanie pojęć z lat PRL do aktualnego sporu, jego obrońcy wymachiwali jego dawnymi zasługami, głosząc: „Pan profesor jest niekwestionowanym autorytetem i ataki na niego są podłością”.

Półka „bycia przyzwoitym”, tak jak każde instrumentalizowane pojęcie, w końcu się zdewaluowała. Niedawno Donald Tusk mówił: „Kilka dni temu, gdy wspominałem prof. Bartoszewskiego, to pomyślałem, że tak często w Polsce słuchamy z zainteresowaniem i powtarzamy mądre zdania czy przykazania. I tak często powtarzamy to słynne zdanie, że jeśli nie wiesz, jak masz się zachować,

to zachowaj się przyzwoicie. [...] Ja jestem absolutnie przekonany, że taka zwykła ludzka przyzwoitość nie pozwala nam uczestniczyć w procederze, który przygotował nam minister Sasin i PiS na zlecenie Jarosława Kaczyńskiego”.

Tusk był przekonany, że znów trafi w dziesiątkę, grając słowami prof. Bartoszewskiego, ale tym razem przestrzelił. Oto bowiem obóz PSL, który jak najbardziej ma ochotę na wybory, wysunął syna pana profesora – Władysława juniora – który ogłosił, że przyzwoitym będzie się, biorąc udział w wyborach. A w sukurs przyszedł mu kolejny zwolennik wyborów, Włodzimierz Czarzasty, pisząc: „Syn prof. Bartoszewskiego odpisał D. Tuskowi. Okazuje się, że można wziąć udział w wyborach i być przyzwoitym. Ciekawe, czy D. Tusk go przeprosi. Pan prof. Bartoszewski pewnie by przeprosił”.

Z zażenowaniem obserwuję to okładanie się po głowach sentencją Bartoszewskiego seniora. Morał z tego jest jeden. Pewne słowa mają swój czas i swoje realia. A gdy zaczynamy nadużywać pojęcia „przyzwoitość”, szybko staje się to nieprzyzwoite. ©



FOT. MATEUSZ WEDARCZYK/FORUM

WIELKA SUSZA W POLSCE

To może być susza stulecia – ostrzegają synoptycy. Krytycznie niski jest m.in. stan wody w Wiśle. – Mamy problem. U nas woda retencjonowana to zaledwie 6,5 proc. wód – zauważył prezydent. – Dzisiaj niestety w wyniku wielu dziesięcioleci zaniedbań w tym zakresie jesteśmy jednym z krajów, które retencjonują najmniej wody w Europie. Musimy to zmienić – dodał Andrzej Duda. Eksperci oraz rolnicy przewidują zaś, że w tym roku może dojść do znacznego wzrostu cen żywności, m.in. chleba. (jap) ©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

sensacyjny wywiad
z byłym członkiem
motocyklowego gangu
Hells Angels

Piotr Zychowicz – **Wielka gra Piłsudskiego**

Maciej Rosalak – **Polacy w Kijowie**

Jacek Bartosiak – **Geopolityka Ukrainy**

Arkadiusz Karbowski – **Granatowa policja: kaci czy ofiary?**

Sławomir Koper – **Opowieść o wileńskich rzezimieszkach**

Mikołaj Iwanow – **Jak Hitler chciał podrzucić Żydów Stalinowi**

Sławomir Cenckiewicz – **Sowiecki kat z Katynia**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Inflacja i denominacja

Co zrobić? Pytają mnie koleżanki i koledzy, czy będziesz głosował, czy też zbojkotujesz te pseudowybory, które nie mają nic wspólnego z demokratycznym procesem wyborczym. Przecież wiesz, że złamane zostały wszystkie zasady prawa, od konstytucji poczynając... – tak zaczął opublikowany w ubiegłym tygodniu tekst Adam

mi, że „złamane zostały wszystkie zasady prawa”, i będzie wybory bojkotował. Zaskoczeni?

Chwyt retoryczny, polegający od zaczynania tego rodzaju odezów wyjaśnieniem, że autor zabiera głos, bo musi, bo wszyscy go o to od dawna proszą, uważam za tani, ale w tym przypadku wierzę, że Michnika naprawdę koleżanki i koledzy prosili, żeby wezwał do bojkotu wyborów. Zapewne w przekonaniu, że jego głos znacząco obniży frekwencję i przybliży sens całej operacji, którym jest, w obliczu beznadziejnych notowań opozycji, stworzenie wrażenia, że nie przegrała, tylko właściwie wygrała, bo wszyscy, którzy nie głosowali, to głosy na nią – innymi słowy, „że powstanie wciąż trwa i jest na najlepszej drodze do zwycięstwa”.

Dzień przed Michnikiem podobnym błaganiom uległ król Europy, Donald Tusk. Jak widać, do

akcji „bojkot wyborów” ruszyły największe autorytety liberalno-lewicowego salonu. I wiedzą państwo co? I nic, sondaże po owych apelach niczym się nie różnią od tych sprzed nich.

Apele Michnika znaczą dziś tyle samo co apele Wojciecha Czuchońskiego, a apele Tuska – dajmy na to Marcina Kierwińskiego. Dawne autorytety zmalały do rangi niszowych hejterów. Nic zaskakującego. Wałęsa, kiedyś dla narodu niekwestionowany lider, w roku 2000 dostał żałosny 1 proc. głosów. Kwaśniewski – jedyny, który wygrał prezydenturę w pierwszej turze – gdy po latach próbował wesprzeć swym autorytetem LiD czy Europę Plus, okazało się, że go już nie ma. Dawne autorytety podlegają inflacji. I tak się stało z wyżej wspomnianymi.

A procesu inflacji nie da się odwrócić. Można zrobić tylko jedno: denominację. I czas już na to. ©

Dawne autorytety zjechały do rangi niszowych hejterów. Nic zaskakującego

Michnik. Tekst, jak to zwykle u niego, będący raczej odezwą niż publicystyką i jak zwykle bardzo dramatyczną w tonie. Nie będę trzymał czytelników w niepewności: Adam Michnik w całej rozciągłości zgadza się z pytający-



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Dziecko niechciane

Historia zatoczyła koło. Jeszcze pięć lat temu analitycy chwyтали się za głowy, obserwując prezydencką kampanię Bronisława Komorowskiego. Nie zdarzyło się w historii III RP, by któryś z kandydatów popełnił w niej tyle błędów pozwalających podręcznikowo wręcz pokazać, jak kampanii prowadzić nie należy. Omówiono, przeanalizowano, wytknięto... I mamy powtórkę z rozrywki. Sztabowcy Małgorzaty Kidawy-Błońskiej poprowadzili jej kampanię tak, że gdyby największa partia opozycyjna kandydatki nie wystawiła, zapewne by na tym zyskała. Popularna (jeszcze niedaw-

no) marszałek Sejmu osiągnęła coś niespotykanego – w badaniach sondażowych nie była w stanie nawet zbliżyć się do punktów poparcia, które ma jej partia. W ciągu niespełna trzech miesięcy zdruzgotała własny wizerunek sympatycznej i inteligentnej osoby, a partyjni ojcowie chrzestni jej kandydowania zaczęli na wyścigi wypierać się ojcostwa tegoż pomysłu.

Słaba kampania Kidawy-Błońskiej to nie tylko osobisty dramat, lecz także wizerunkowa porażka Platformy. Okazało się bowiem, że nawet zaliczana do umiarkowanego centrum partii, uważana za reprezentantkę środowisk

intelektualnych, przedsiębiorczych kandydatka po przemienieniu przez polityczne tygły staje się ikoną obciachu. To, co w Platformie miało być wysokojakościową czekoladą, w konsumpcji okazało się wyrobem czekoladopodobnym. Pytanie, na które będą musieli sobie teraz odpowiedzieć liderzy PO, brzmi: Na ile wynika to wyłącznie z niemocy samej M.K.B., a na ile ze środowiskowej słabości całej PO, w której chadeckich intelektualistów zastąpili lewicowo-liberalni intelektualni dresiarze, mający problem ze skleceniem atrakcyjnej dla większego grona wyborców narracji? ©



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Eksplzja patriotyzmu i dobroci

Jednym, jeśli nie jedynym, pozytywnym skutkiem pandemii koronawirusa we Włoszech jest gwałtowny wzrost poczucia wspólnoty narodowej. Włosi zamknięci w areszcie domowym skrzyknęli się w Internecie, a resztę zrobiła telewizja. Na balkonach i w oknach masowo pojawiły się flagi narodowe. Dotychczas działo się tak wyłącznie z powodu ważnych meczów futo-

„L'Italiano” Toto Cotugno, kończący się: „Jestem Włochem, prawdziwym Włochem”, albo piosenkę włoskiego ruchu oporu z czasów drugiej wojny „Bella Ciao”. Często słysząc przepelnioną nadzieją arie „Nessun dorma” z „Turandot” Pucciniego („O świecie zwyciężę!”).

Włosi zdali sobie sprawę, że zaatakował ich niewidzialny, groźny wróg, że toczy się wojna na śmierć i życie. Ruszyli na nią razem i dodają sobie otuchy, odwołując się do symbolów państwa i narodowej kultury.

Z najwyższym zdumieniem i podziwem patrzę na zawsze lekceważących wszelką dyscyplinę i przepisy Włochów, którzy karnie ustawiają się w kolejkę, zachowują odległość bezpieczeństwa, a nawet poczucie humoru. Wzruszające sceny dzieją się na ulicach Neapolu. W stolicy włoskiego bezprawia i królestwie camorry na ulicach przed sklepami spożywczymi wystawione są koszyki wypełnione przeróżną żywnością z napisem: „Potrzebujesz? Bierz. Masz za dużo? Podziel się”. Jedni biorą, drudzy dają.

Ta idea wyrosła chyba na gruncie przesympatycznej, starej neapolitańskiej tradycji „Caffe sospeso” („Kawa w zawieszeniu”). Polega na tym, że po wypiciu kawy w barze czy kawiarni klient płaci za dwie. Ta druga, nieskonsumowana, to właśnie „kawa w zawieszeniu” dla kogoś, kogo na nią nie stać.

Viva Italia! ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Chyba rzeczywiście trzeba będzie sfalshować wybory i dotrzeć Kidawie choć z 10%, bo zaczęła z okiem słać...



c e c a r y z r y z r o o z

wych włoskiej reprezentacji. Teraz Włosi nie mogą kibicować swoim „azzurim”. Kibicują za to lekarzom, pielęgniarzom i pielęgniarce, którzy walczą z pandemią, nierzadko płacąc za to życiem.

Często na różnych instrumentach grają z okien i balkonów włoski hymn. Śpiewa go całe sąsiedztwo. Można też usłyszeć największe przeboje włoskiego popu, nierzadko



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Farsy wyborcze

Wybory prezydenckie są, a jakoby ich nie było. Kandydaci kandydują, ale nie startują, albo startują, ale się nie cieszą. Jak np. Szymon Hołownia obiecujący zostać głosem młodego pokolenia, które nie dzieli Polski na „nas” i „ich”. Tymczasem: „Ja się nie zamierzam poddać. Nas jest dużo więcej niż ich, tylko nam się musi chcieć zmiany. Możemy ich nakryć czapkami. Przecież jeżeli ich zasypimy kopertami, to oni nie nadążą fałszować. To wszystko jest na wyciągnięcie ręki, my naprawdę możemy mieć obywatelskiego prezydenta” – zadeklarował ten sam Szymon Hołownia.

To i tak bardziej czytelne stanowisko niż (nie) kandydatki PO. „Mam dość Waszych wyborów w epidemii, Waszej żądy władzy. Pokazuję dziś upokarzanych przez Was ludzi. Zapomnianych w DPS-ach, kobiety tęskniące za dziećmi, młodych zagubionych w Waszym chaosie. Będę to robić codziennie. Niech to będzie symbol Waszego plebiscytu. #OniWyboryMyŻycie” – stwierdziła Małgorzata Kidawa-Błońska.

Wróćmy jednak do Hołowni. Na jego wezwanie odpowiedział Michał Szczęba, który napisał, że „nie weźmie udziału w tej wyborczej farsie”. A skoro tak, to Hołownia może przyjąć i wziąć jego pakiet. „Wystarczy otworzyć drzwiczki. Zgłosiłem listonoszowi zepsuty zamek w skrzynce na listy. Pies z kulawą nogą się nie pojawił” – wyznał poseł. To być może jedyna osoba w kraju, która sądzi, że zamki w skrzynkach naprawiają listonosze.

Nie tylko on ostatnio spektakularnie rozminął się z rzeczywistością. „Radek Sikorski stwierdził w »Kropce nad i«, że epidemia SARS-CoV-2 oraz susza to plagi, które Bóg zesłał na rząd PiS. Niesamowite, jak liberalny mainstream jest nieporadny intelektualnie. A tyle książek miał gość za plecami. Mógłby przeczytać, skąd się biorą susze i koronawirusy” – skomentował Piotr Wójcik. A niby podczas kwarantanny Polacy mieli więcej czytać.

Na koniec kącik wspominkowy. „Jak się Gowin nie odwinie, to już chyba po Gowinie” – napisał Andrzej Duda 30 kwietnia... 2013 r. I niech mi ktoś powie, że historia nie lubi się powtarzać. Pierwszy raz jako tragedia, drugi raz jako farsa. ©

Sposoby na inwestowanie



Według opublikowanego w maju zeszłego roku raportu GUS „Sytuacja gospodarstw domowych” w 2018 r. w świetle wyników badania budżetów gospodarstw domowych gospodarstwa domowe w Polsce osiągały wyższe dochody, natomiast ich wydatki pozostały na podobnym poziomie, w związku z tym wzrosła nadwyżka dochodów nad wydatkami. Jak pisaliśmy w artykule „Sposób na oszczędzanie” (nr 8/2020), najważniejsze jest, aby nie trzymać pieniędzy w bieliźniarce, skarbnice czy nawet w domowym sejfie.

Tak przechowywane oszczędności nie tylko nie pracują, lecz także stosunkowo szybko tracą swoją wartość, tak przecież ważną dla ich właścicieli.

Rozwiązaniem może być lokowanie pieniędzy w bankach lub SKOK-ach. Po pierwsze, depozyty w tych instytucjach są gwarantowane przez Bankowy Fundusz Gwarancyjny, co oznacza, że nawet jeśli bank lub SKOK ogłosiłby upadłość, to i tak dostaniemy z powrotem 100 proc. naszych pieniędzy (trzeba jednak pamiętać o limicie takiej gwarancji, który wynosi 100 tys. euro, czyli obecnie ok. 450 tys. zł).

Po drugie, trzymanie pieniędzy w bankach daje możliwość zadbania o to, aby nie traciły na wartości. Warto więc wybrać lokatę lub przelać pieniądze na rachunek oszczędnościowy. Oprocentowanie na lokacie czy rachunku oszczędnościowym może jednak nie wystarczyć, aby – po uwzględnieniu inflacji i podatku od zysków kapitałowych – cieszyć się nawet niewielkim realnym zyskiem.

Potencjalnie wyższy zysk – obarczony jednak istotnie wyższym ryzykiem – mogą przynieść inwestycje w obligacje, akcje, fundusze inwestycyjne, złoto



poziomie ryzyka. Najbardziej bezpieczne i tym samym najmniej ryzykowne są inwestycje w obligacje i bony skarbowe, czyli papiery dłużne Skarbu Państwa. Natomiast inwestycje w akcje, fundusze inwestycyjne, złoto i nieruchomości łączą się już z większym ryzykiem i dlatego wymagają od inwestora doświadczenia i wiedzy merytorycznej. Dzięki dywersyfikacji portfela, nawet jeśli stracimy część pieniędzy zainwestowanych np. w akcje, to zarobimy na nieruchomościach lub odwrotnie.

OBLIGACJE

Jeśli nie mamy apetytu na ryzyko, to żeby zachować siłę nabywczą oszczędności, możemy zdecydować się na zakup obligacji. Obligacje to dłużne papiery wartościowe. Mogą być emitowane przez Skarb Państwa, samorządy lub przez prywatne przedsiębiorstwa (tzw. obligacje korporacyjne).

Najpopularniejsze wśród Polaków są detaliczne obligacje skarbowe, dają one bowiem oszczędzającym maksymalne bezpieczeństwo (ryzyko utraty kapitału jest bliskie zera).

Inwestorzy mają do wyboru zarówno papiery krótkoterminowe – bony skarbowe (których okres zapadalności wynosi zaledwie trzy miesiące), jak i obligacje, które wymagają dłuższego oszczędzania (np. 10-letnie lub nawet 12-letnie). Największy zysk mogą przynieść 12-letnie obligacje rodzinne ROD.

Kupno obligacji skarbowych jest równie proste, co założenie lokaty w banku. Można je nabyć zarówno w oddziałach PKO BP, jak i przez Internet: www.zakup.obligacjeskarbowe.pl lub www.inteligo.pl czy przez telefon.

AKCJE

Jednym ze sposobów inwestowania jest zakup akcji, np. spółek notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie. Jak pisał dziennik „Parkiet”, w styczniu 2020 r. Polacy utworzyli największą liczbę rachunków inwestycyjnych od 2014 r.

Akcje można kupować samodzielnie: wystarczy założyć rachunek w biurze maklerskim. Bez odpowiedniej wiedzy i doświadczenia na rynkach finansowych inwestycje na giełdzie zamiast wymarzonego zysku mogą jednak generować potężne straty. Wystarczy kilka złych inwestycji, aby stracić tak dużą część ka-

piłału, że jej odrobienie może być trudne i czasochłonne, a czasami wręcz niemożliwe. Dlatego zanim zainwestuje się na giełdzie swoje pieniądze, warto zapoznać się z poradnikami dla inwestorów oraz poznać tajniki analizy fundamentalnej i analizy technicznej. Nawet przestrzegając wszelkich reguł, nie sposób jednak przewidzieć sytuacji, które mogą doprowadzić do krachu na giełdach.

FUNDUSZE INWESTYCYJNE

Ci, którzy nie mają odpowiedniej wiedzy lub którym brakuje czasu na śledzenie wahań kursów i regularną analizę giełdowych spółek, swoje pieniądze mogą powierzyć specjalistom. Fundusze inwestycyjne sprzedają swoje jednostki wielu inwestorom, a następnie lokują je np. w akcje (np. polskie, amerykańskie, rynków wschodzących etc.), obligacje (skarbowe, korporacyjne etc.) czy w instrumenty rynku pieniężnego (np. depozyty bankowe).

Na polskim rynku działa kilkaset funduszy inwestycyjnych otwartych (FIO), które charakteryzują się dużą płynnością i które może kupić lub sprzedać każdy inwestor, a fundusz ma obowiązek natychmiastowego odkupu jednostek na każde żądanie. FIO dają możliwość inwestowania nawet tym inwestorom, którzy nie dysponują dużym kapitałem. Kwota minimalna, którą można zainwestować w otwarte fundusze inwestycyjne, jest niewysoka i często wynosi 50–100 zł.

Drugi rodzaj funduszy – według kryterium uczestnictwa – to fundusze inwestycyjne zamknięte (FIZ). Emitują one publiczne lub niepubliczne certyfikaty inwestycyjne, które mają status papierów wartościowych. Certyfikaty emitowane są w seriach, a liczba uczestników FIZ jest ograniczona przez liczbę wyemitowanych certyfikatów. Zasady działania tego typu funduszy określają ich statuty. Fundusze zamknięte działają zazwyczaj przez ściśle określony czas, po którym certyfikaty są umarzane, a uczestnikom FIZ wypłacana jest należna kwota.

W przeciwieństwie do funduszy inwestycyjnych otwartych fundusze inwestycyjne zamknięte zazwyczaj nie muszą więc być gotowe do szybkiego odkupu certyfikatów, dzięki czemu mogą inwestować w mniej płynne aktywa.

Fundusze inwestycyjne można podzielić również ze względu na kryterium celu

oraz nieruchomości. Dokonując wyboru, koniecznie trzeba odpowiedzieć sobie na pytanie, jak wysoki poziom ryzyka jesteśmy w stanie zaakceptować, jak dużą stratę jesteśmy gotowi ponieść, a także jakiego zysku oczekujemy i jaki jest horyzont czasowy naszej inwestycji.

Ponieważ ryzyko jest nieodłącznym elementem każdej inwestycji, warto pamiętać o podstawowej zasadzie doświadczonych inwestorów, a więc o konieczności dywersyfikacji swojego portfela z punktu widzenia aktywów o różnym

FOT. ADRIEN STICK

■ inwestycyjnego na akcyjne (zwane też agresywnymi – inwestują głównie w akcje; mogą przynieść duże zyski i równie wielkie straty), mieszane (np. fundusze zrównoważone lub stabilnego wzrostu – inwestują zarówno w akcje, jak i obligacje, których proporcje w portfelu zmieniają się w zależności od sytuacji na rynkach finansowych), dłużne (inwestują głównie w obligacje skarbowe, komunalne lub korporacyjne) oraz rynku pieniężnego (skupiają się na certyfikatach depozytowych oraz innych instrumentach obciążonych niskim ryzykiem, przynoszą zyski porównywalne z tradycyjnymi lokatami bankowymi, choć i w ich przypadku należy liczyć się z ryzykiem straty części kapitału).

Trzeba pamiętać, że tak jak w przypadku np. akcji również wartość udziałów w funduszu inwestycyjnym może rosnąć lub maleć. Aktualne notowania danego funduszu można znaleźć m.in. w prasie, na stronach internetowych funduszy, a także w wielu aplikacjach na urządzenia mobilne. Dokonując wyboru funduszu, nie kierujemy się wyłącznie historycznymi stopami zwrotu. I chociaż przemawiają one do wyobraźni, to nie ma żadnej gwarancji, że świetny wynik sprzed roku czy z ostatnich trzech miesięcy uda się powtórzyć. Możemy za to spróbować odnaleźć te fundusze, których zarządzający w ciągu ostatniego roku, dwóch lub trzech lat osiągnęli najlepsze wyniki na tle swojej grupy (np. najlepsze fundusze akcji czy obligacji krótkoterminowych).

Warto też obniżyć koszt inwestycji. Fundusze inwestycyjne pobierają opłatę za zarządzanie (wliczoną w cenę jednostki), a także – bardzo często – opłatę dystrybucyjną, której wysokość zależy od typu funduszu, a także od tego, za jaką kwotę kupujemy jednostki – im więcej kapitału inwestujemy, tym ta opłata jest niższa. Po podjęciu decyzji o kupnie konkretnego funduszu porównajmy opłaty dystrybucyjne w różnych funduszach. Może się bowiem okazać, że już na starcie inwestycji zaoszczędzimy 0,5 czy nawet 1 proc., ponieważ w ramach promocji uda nam się zapłacić tylko połowę opłaty dystrybucyjnej lub nawet nie zapłacimy jej wcale.

Dla osób, które chcą ograniczyć ryzyko strat, dobrym pomysłem może być systematyczne oszczędzanie i regularne kupowanie jednostek funduszy za mniejsze kwoty. Uśredniając cenę za-

kupu, minimalizujemy wówczas ryzyko, że kupimy jednostki funduszu akurat na szczycie hossy, narażając się na stratę lub długie czekanie na możliwość sprzedaży jednostek i odzyskania zainwestowanego kapitału.

NIERUCHOMOŚCI

Pieniądze można zainwestować także w kupno działki, mieszkania lub domu. Trzeba mieć jednak świadomość, że rynek nieruchomości pod względem zmienności cen przypomina raczej ryzykowne akcje niż bezpieczne bankowe lokaty. Inwestowanie w domy czy mieszkania wiąże się więc z ryzykiem utraty części lub całości zgromadzonego kapitału.

Komisja Nadzoru Finansowego przestrzegała w ubiegłym roku zwłaszcza przed ryzykiem związanym z inwestowaniem w nieruchomości z przeznaczeniem na wynajem krótkoterminowy (tzw. condohotele czy aparthotele), zwracając uwagę, że „inwestycje takie wiążą się z ryzykiem utraty zainwestowanych środków finansowych, którego inwestorzy powinni być świadomi”.

„Komunikaty marketingowe, które promują tego rodzaju inwestycje, zawierają często informacje o bezpieczeństwie lokaty oraz gwarancji osiągnięcia zysków, nawet w przedziale 7–10% w skali roku. Niejednokrotnie skupiają się na obietnicy zysku, nie uwzględniając w swojej treści konieczności poniesienia przez inwestorów kosztów wynikających z posiadania nieruchomości (takich jak m.in. obciążenia z tytułu podatków, przekształcenia statusu nieruchomości czy kosztów remontów) lub czynników ryzyka (takich jak np. sezonowość najmu czy ryzyko braku najemców)” – zauważył Urząd KNF w wydanym we wrześniu 2019 r. komunikacie. Jednocześnie przed ryzykiem związanym z inwestowaniem w pokoje w apart- i condohotelach ostrzegł w wydanym przez siebie komunikacie Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, zwracając uwagę m.in. na ryzykowne finansowanie, niepewny zysk, nietransparentną współpracę oraz działalność, która „w wielu obszarach wymyka się spod obecnie obowiązujących regulacji prawnych zarówno w zakresie procesu

FOT. ADOLF STOK





budowlanego, ochrony nabywców lokali, kwestii podatkowych, turystycznych, jak i ochrony najemców”.

OSTROŻNIE Z OKAZJAMI

Popularnym od wieków sposobem na ochronę kapitału przed zgubnymi skutkami inflacji jest też inwestycja w kruszce, a zwłaszcza w złoto. W złoto można inwestować na dwa sposoby. Pierwszy to fizyczny zakup złotych monet lub sztabek złota. Drugi zaś to zakup jednostek funduszy inwestycyjnych, które kupują złoto. Po wybuchu epidemii koronawirusa fizyczne złoto stało się o wiele trudniejsze do kupienia. Ceny złota zaczęły zaś bić rekord za rekordem. Nie brakuje jednak analityków, którzy mówią, że złoto jest już zbyt drogie, aby je kupować. Decyzja jak zawsze należy więc do inwestora.

Miłośnicy większego ryzyka mogą też próbować inwestycji walutowych. Można po prostu kupować dolary, euro, franki szwajcarskie czy waluty innych krajów w kantorach (np. internetowych) i próbować odsprzedać je po wyższej cenie (w przeciwieństwie do lokat,

zysków z akcji czy z funduszy inwestycyjnych w razie osiągnięcia zysku na takiej inwestycji podatek trzeba wyliczyć sobie samodzielnie, a dodatkowy dochód dopisać w deklaracji PIT).

Niektórzy inwestorzy próbują też swoich sił na międzynarodowym rynku wymiany walut (tzw. Forex). Trzeba jednak pamiętać, że to wyjątkowo ry-

zykowna gra – Najwyższa Izba Kontroli w raporcie z marca 2017 r. ostrzegła, że ok. 80 proc. aktywnych uczestników rynku walutowego Forex w latach 2012–2015 poniosło na nim straty.

Aktywne działania na rzecz ochrony nieprofesjonalnych uczestników rynku walutowego Forex podejmowała i nadal

podejmuje Komisja Nadzoru Finansowego. KNF ostrzega przed bardzo wysokim ryzykiem, które wynika zarówno ze zmienności rynku, jak i ze stosowania w transakcjach tzw. dźwigni finansowej. W 2018 r. na rynku Forex zarobiło w Polsce mniej niż 10 tys. osób, a ich łączny zysk wyniósł nieco ponad 138 mln zł. W tym samym roku prawie 35 tys. osób straciło jednak ponad 576 mln zł – wynika z danych KNF opublikowanych w kwietniu 2019 r. Ten sam raport pokazuje, że średni wynik osiągnięty przez klienta obsługiwane przez polskie domy maklerskie na rynku Forex w 2018 r. wyniósł minus 10 040 zł (rok wcześniej wynosił on minus 12 156 zł).

Ostrożnie podchodźmy więc do rekomendacji różnego rodzaju „doradców klienta”. Są oni bowiem wynagradzani przez instytucje finansowe i nie jest wcale powiedziane, że będą działać w naszym interesie. Szczególnie ostrożnie, nie tylko na rynku nieruchomości, należy podchodzić do „okazji inwestycyjnych”. Jeśli wyglądają zbyt dobrze, aby były prawdziwe – np. ktoś obiecuje nam bardzo wysoki, ponadprzeciętny zysk „bez ryzyka” – to istnieje duże prawdopodobieństwo, że możemy stracić nawet cały zainwestowany kapitał. Na rynkach finansowych obowiązuje bowiem sprawdzona zasada, że im wyższy potencjalny zysk, tym wyższe jest też przeważnie ryzyko utraty części lub całości kapitału. Dlatego zanim w cokolwiek zainwestujemy nasze pieniądze, powinniśmy upewnić się, że firma, której chcemy powierzyć kapitał, podlega nadzorowi Komisji Nadzoru Finansowego. Zawsze bardzo uważnie przeczytajmy też umowę i wszystkie załączniki. Jeżeli któregoś

Zawsze bardzo uważnie czytamy umowy i wszystkie załączniki. Jeżeli któregoś zapisu nie rozumiemy, to nie podpisujemy.

Lepiej jest bowiem zrezygnować z potencjalnej okazji zysku, niż narażać się na poważne straty

zapisu nie rozumiemy, to nie podpisujemy takiej umowy. Lepiej jest bowiem zrezygnować z potencjalnej okazji zysku, niż narażać się na poważne straty. Od lat powtarza to inwestorom słynny amerykański miliarder Warren Buffett, który mówi krótko: „Nie rozumiesz, nie kupuj”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone.



FOT. RADEK/PETRUSZAK/PAP

Malinowski kontratakuję

Prezydent Pracodawców RP Andrzej Malinowski złożył do sądu wnioski o zabezpieczenie powództwa przyszłego poprzez zakazanie pisania o nim w kontekście jego przeszłości. Sąd wniosek odrzucił

Przypomnijmy, że w styczniu 2019 r. Piotr Woyciechowski złożył zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez komunistyczny wywiad wojskowy. To efekt publikacji „Do Rzeczy” na temat współpracy prezydenta Pracodawców RP Andrzeja Malinowskiego ze służbami PRL. Malinowski był w przeszłości także posłem na Sejm RP, prominentnym działaczem ZSL i PSL oraz bliskim współpracownikiem premiera Waldemara Pawlaka.

Piotr Woyciechowski ujawnił na łamach „Do Rzeczy” (4/2019), że Andrzej Malinowski, który od 18 lat stoi na czele Pracodawców RP, był w latach 1983–1990 niejawnym współpracownikiem Agencji Wywiadu Operacyjnego (AWO) o pseudonimie Roman. W kolejnym numerze „Do Rzeczy” (5/2019) opublikowaliśmy oświadczenie Malinowskiego, który zaprzeczył ustaleniom Woyciechowskiego i stwierdził, że jegoteczka została sfabrykowana przez PRL-owskie służby. Szef Pracodawców RP zapowie-

dział też, że wystąpi do IPN o autolustrację.

„O wynikach poinformuję niezwłocznie, a do tego czasu nie zamierzam więcej komentować tej sprawy” – napisał Malinowski w przesłanym do naszej redakcji oświadczeniu. W reakcji na zapowiedź autolustracji autor tekstu, Piotr Woyciechowski wyraził nadzieję, że prezydent Pracodawców RP „niezwłocznie” dotrzyma swojej obietnicy.

Andrzej Malinowski przekonuje, że oficerowie wywiadu wojskowego PRL spreparowali dokumenty agenta „Romana”, w związku z czym autor materiału w „Do Rzeczy” złożył do naczelnika Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie zawiadomienie o podejrzeniu

popełnienia zbrodni komunistycznej przez oficerów II Zarządu Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Woyciechowski wnioskował do pionu śledczego IPN m.in. o przesłuchanie Andrzeja Malinowskiego, zabezpieczenie teczek personalnej „Romana” oraz powołanie biegłego, który wykona ekspertyzę pismoznawczą w celu oceny wiarygodności dokumentów znajdujących się w archiwum Instytutu Pamięi Narodowej.

Pod koniec lutego IPN umorzył śledztwo w sprawie rzekomego sfałszowania teczek TW „Romana”, stwierdzając, że nie została ona sfałszowana. Na początku marca NSZZ „Solidarność” oraz Związek Przedsiębiorców i Pracodawców zrezygnowały z udziału w Radzie Dialogu Społecznego do czasu, gdy jej szefem nie przestanie być Andrzej Malinowski.

Andrzej Malinowski złożył do sądu wnioski o zabezpieczenie powództwa przyszłego poprzez zakazanie pisania o nim w kontekście jego przeszłości. Chciał, by z portalu DoRzeczy.pl zniknęły wszystkie teksty na temat jego przeszłości. We wniosku napisał m.in., że upublicznianie tych informacji ma negatywny wpływ na jego wizerunek jako człowieka, ale i osoby zajmującej eksponowane stanowisko. Sąd wniosek jednak odrzucił. ©©

Karol Gac

Katastrofa śmigłowca podczas ćwiczeń NATO

U wybrzeży Grecji do wody spadł śmigłowiec NATO należący do kanadyjskiej marynarki wojennej. Jak poinformowało dowództwo NATO, śmigłowiec typu Sikorski brał udział w ćwiczeniach mających na celu „powstrzymanie rosyjskiej agresji

w całej Europie Wschodniej. Na pokładzie maszyny było sześć osób. W komunikacie po zaginięciu informowano o pięciu osobach zaginionych.

Do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy” kanadyjska fregata prowadziła działania poszukiwawcze. ©© (luz)



FOT. ANDRÉ MALLET/CANADIAN ARMED FORCES



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, no wreszcie rząd łaskawie otwiera nam z powrotem galerie handlowe. Trochę nas już męczył shopping przez neta: po pierwsze, nie można wtedy zrobić fajnego zdjęcia z zakupów na insta, nikt też nie widzi, jaką w tym czasie pijemy kawę :(

Martwi nas natomiast ograniczenie w postaci dopuszczenia jednej osoby na 15 mkw. powierzchni sklepu. To jest

robić takie rzeczy, wstyd. To niesamowite, jak bardzo trzeba gardzić ludźmi, żeby wprowadzać takie uciążliwe regulacje. To tylko pogłębia społeczne frustracje i nierówności.

W ogóle niesprawiedliwe jest to, iż podobne przeliczniki obowiązują w kościołach i w sklepach. A przecież państwo powinno być świeckie i nie obejmować kościołów

w Lidlu? Zwłaszcza iż w niedzielę sklepy są zamknięte.

Świeckie państwo powinno dążyć do równouprawnienia, którym w tym przypadku byłoby przerobienie kościołów na markety, a następnie zamknięcie ich w niedzielę!

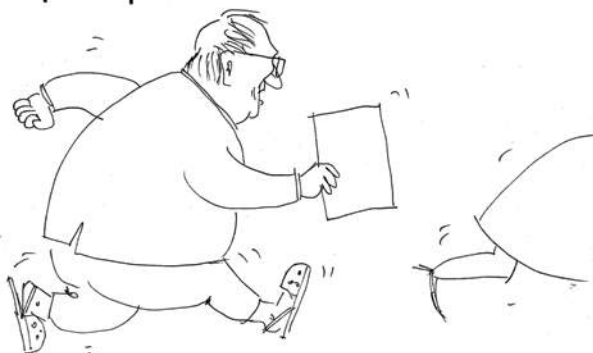
Denerwuje nas, tak prawdę mówiąc, ten nakaz zakrywania twarzy w przestrzeni publicznej i tak naprawdę nie ma dobrego rozwiązania, żeby nie wyglądać źle lub w najlepszym razie – podejrzanie.

Zasłanianie twarzy szalikiem o tej porze roku grozi tym, iż się spocimy i źle wpłynie to na cerę. Poza tym nasze zwiewne szaliczki nie mają funkcji użytkowości, a jedynie dekoracyjną. To tak, jakby z dzieła sztuki zrobić podkładkę pod harnasia :(

Maseczki sprawiają, iż czujemy się jak jacyś kibole, przyłbice już z nazwy kojarzą nam się źle, no bo przyłbica – rycerz – feudalizm – królestwo – Korwin Krul.

W tej sytuacji postulujemy zakrywanie twarzy dłonią, co jednocześnie pokaże nasz niemy sprzeciw wobec propagandy, wyborów i pogwałcania praw kobiet poprzez systemowe kierowanie prac nad projektem ustawy antyaborcyjnej do komisji. ☹☹

Do pełni katastrofy Kidawie brakuje
tylko tytułu człowieka Roku GW...



krzysztof x @johnsmiths74

bardzo dyskryminujące dla osób matematycznie nienormatywnych.

Po pierwsze: skąd mamy wiedzieć, jaką powierzchnię ma sklep? Po drugie: co, mamy stać w kolejce i robić jakieś takie różne przeliczniki? Jeszcze ktoś pomyśli, że jesteśmy z polibudy i lubimy

podobnymi regulacjami co placówki użyteczności, takie jak sklepy :(

Jest to nie fair także dlatego, iż kościoły są często większe od sklepów, więc może do nich wejść więcej osób. Dlaczego więcej osób może więc uczestniczyć we mszy niż w zakupach

PODSŁUCHANE

Chyba się nie znamy

Grzesiu, jak mogłeś?!

A my się znamy? Przepraszam, spieszę się...

Halo, dokąd?! Tak się mnie łatwo nie pozbędziesz!

Niech pani przestanie mnie zaczepiać. Proszę mnie nie łapać za rękaw, bo Straż Marszałkowską zawołam!

Źle się czujesz? No przecież to ja, Gośka! Jak mogłeś mówić publicznie, że ja nie jestem twoją kandydatką?

Gośka? Jaka Gośka? Pierwsze słyszę. Nie znamy się chyba. Może gdzieś panią przypadkiem widziałem, w telewizji pewnie. Pani grała w tym serialu o lekarzach? Tę salową?

Jakim serialu? Czy ty sobie ze mnie kpisz?

W serialu nie? No to w ogóle się nie znamy.

Nie traktuje się tak kandydata swojej partii. Najpierw Donek, potem ty...

Kandydata? Na co? Ja w ogóle nie kojarzę. Donka też nie kojarzę. Nie wiem, o co pani chodzi.

Ale wiesz, że to wszystko to jest też twoja kompromitacja?

Proszę pani, pani jest bardzo namolna. Ja żadną partią nie kieruję, przewodniczącym mojej partii jest pan Borysław Budka, a ja się spieszę na mecz. I proszę mnie przestać łapać za nogawkę!!! ☹☹

Łukasz Warzecha



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSO M NA FEJSKU:

FB.COM/MWIZWO

OD RZECZY

„Reżim PiS od dawna jest nielegalny – łamie konstytucję i popełnia niezliczone przestępstwa bez żadnego kamuflażu”.

JAN HARTMAN, filozof, publicysta,
na blogu w serwisie Polityka.pl

Zegnamy Małgorzatę Gersdorf, była już (nareszcie!) I prezes Sądu Najwyższego. Nie będziemy tęsknić. Spoczywającej Małgorzacie (gdyż przeszła w stan spoczynku) przygotowaliśmy prezent. Dużą świeczkę i sztormiak. Ze świeczką będzie mogła chodzić po ulicach przed sądami. W sztormiaku też, gdyby akurat padało.

Mało kto wie, że Małgorzata Gersdorf żegna się ze stanowiskiem wzruszającą publikacją. To zbiór wywiadów zatytułowany „Czasem trzeba powiedzieć »nie«”. Zwracamy uwagę na słowo „czasem”. No bo na przykład świeczkom i różnym innym delirycznym pomysłom Gersdorf nie powiedziała „nie”.

Nie możemy się powstrzymać przed zacytowaniem słów zachęty do lektury tej książki, którymi jest promowana. Jej kadencja w Sądzie Najwyższym okazała się „czasem największego ataku na tę instytucję i na wolne sądy, zmierzającego do podporządkowania wymiaru sprawiedliwości władzy politycznej. Nie był to jej żywioł, ale bez wahania stanęła na pierwszej linii obrony niezależności Sądu Najwyższego i wszystkich sądów”. Jak widzicie, to bez wątplenia najzabawniejsza książka od czasu pożegnalnych jęków Rzeplińskiego zatytułowanych z kolei „Sędzia gorszego sortu”.

W kwestii książek. Chociaż prok. Ewa Wrzosek wystąpiła w tefauenach na tle obciachowej fototapety ze

dwaj panowie **g**

skórzanymi tomami zdobionymi w złocenia, to odnotowaliśmy, że większość telewizyjnych gości czasów epidemii występuje na tle własnych, autentycznych biblioteczek. Warto więc zauważyć ponadpolityczne porozumienie, którego efektem jest popularność regałów IKEA. A także to, że Srebrny Lis Dyplomacji Waszczykowski Witold występuje na tle ściany z piękną ceramiką z Bolesławca.

W telewizjach widać też, jak ciężko epidemia dotknęła rynek usług fryzjerskich, czego efektem jest daleko posunięta zmiana emploi niektórych bohaterów życia publicznego. Trwa spór w łonie naszej rubryki, czy rozwichrzona obfita czupryna wraz z brodą Andrzeja Zybortowicza bardziej godna jest określenia „tołstojowska”, czy wystarczy „Rumcajs”. Bardziej zgodni jesteśmy w kwestii Rachonia Michała, którego uwłosienie zaczęło przypominać fryzurę Stanisława Tyma z „Misia”. Takie polskie niby-afro.

W Polsce narzeka się na jakość klasy politycznej, ale okazuje się, że Dobry Donald z USA ma jeszcze gorzej. Jego wiceprezydent Mike Pence polazł do Mayo Clinic bez maseczki ochronnej na twarzy. Kiedy zdumieni dziennikarze zapytali go: „Dlaczego?”, odparł, że chciał spojrzeć pracownikom służby zdrowia prosto w oczy i podziękować za ciężką pracę. Nie wiemy, gdzie Mike Pence ma oczy, ale wiemy, że Gośka Kidawa lepiej by tego nie zrobiła.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Zły Donald wezwał do bojkotu głosowania 10 maja. Im gorszy będzie wynik M.K.B., tym słabsza PeŁo. Im słabsza PeŁo, tym silniejsze nowe cudowne dziecko Donalda, Koalicja Polska

Skoro już o maseczkach – chodzą słuchy, że Adam Hofman wtopił na maseczkach grubą kasę. Zapłacił, a towaru brak. Interwencja u ambasadora Chin nic nie dała. Wcale nas to nie dziwi. Sami dostaliśmy propozycję zakupu kontenera maseczek. Wzbudziła w nas równie zaufanie jak wpadające od czasu do czasu do naszej skrzynki okazjonalne oferty nabycia spadku po Robercie Mugabe.

Jednak w czasach, kiedy głównym konsultantem Tuska doby koronawirusa z zadaniem analizy sytuacji w Polsce w celu podejmowania właściwych decyzji jest Tomasz Lis, a i człowiek zwany Koniem oraz Giertychem w tej materii nie próżnuje... Szczerze? W tej sytuacji zdecydowalibyśmy się jednak na nabycie spadku po Mugabe.

Apropos Gości Kidawy (przepraszamy za zdrobnienie, ale podjęliśmy decyzję o zdrabnianiu imion kandydatów spadających poniżej 5 proc. poparcia), zgadzamy się z opinią Grzegorza Skorpiona Schetyny, że nie jest on ojcem tej kandydatury. To prawda! Jest czymś więcej – jej matką i ojcem!

Przy okazji – kiedy ostatnio sprawdzaliśmy na YouTube kanał Kidawa2020 miał aż 479 subskrybentów. Nie śmieciecie się, to i tak wielkie osiągnięcie. Grzegorz Skorpion Schetyna ma 1,2 tys., a o ile dłużej na to pracował.

Tymczasem Zły Donald, ten z Brukseli, Sopotu i Zagrzebia, wezwał do bojkotu głosowania 10 maja. Wiewiórki z PeŁo opowiadają nam, że jest w tym drugie dno. Im więcej elektoratu PeŁo zbojkotuje wybory, tym gorszy będzie wynik M.K.B. Im gorszy będzie wynik M.K.B., tym słabsza PeŁo. Im słabsza PeŁo, tym silniejsze nowe cudowne dziecko Donalda, Koalicja Polska. Proste?

Donald Tusk od czasu sławetnego lania w roku 2005, które sprawił mu śp. Lech Kaczyński, bojkotował wybory prezydenckie jako kandydat. Teraz będzie je bojkotował jako wyborca. Żadna niespodzianka.

Zkolei Małgośka Kidawa-Błońska nie zagłosuje, ale będzie kandydować. Czujemy się w tym wszystkim zagubieni, ale podejrzewamy, że dla Polski byłoby lepiej odwrotnie.

Jeśli chodzi o hejtportale pracujące dla partii politycznych, to śpieszymy donieść, że w toku śledztwa w sprawie „Soku z Buraka” zebrano wystarczającą liczbę dowodów na finansowanie tego ścieku przez Platformę. Podobno jego twórca czuje się zaniepokojony, że do tej pory nie dostał wezwania na przesłuchanie. Uspokajamy. Chodzi o to, że podejrzanych słuca się na końcu i nie zawsze wzywa się ich na przesłuchanie. Czasem urządza im się wczesną pobudkę i na przesłuchanie dowozi specjalną limuzyną.

parlamentarnych w latach 2007 i 2011 oraz byli zaproszeni na prezydenckie w latach 2010 i 2015.

Jako że mamy pamięć jak słonie, zacytujemy słowa, którymi platformerski MSZ w platformerskim rządzie Ewki Kopacz ustami rzecznika Marcina Wojciechowskiego tłumaczył zaproszenie OBWE przed wyborami prezydenckimi 2015 r.: „To jest zupełnie standardowa procedura. Wysyłamy zaproszenie, a OBWE podejmuje decyzję w sprawie obserwacji. To świadczy o naszym szacunku dla wartości demokratycznych i wysokiej ocenie prac OBWE. Od jakiegoś czasu podobna sytuacja miała miejsce przed każdymi wyborami”.

Cytat z oficjalnego komunikatu był jeszcze lepszy. „Wypełniając zobowiązania przyjęte w ramach Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, 11 lutego 2015 r. Polska wystosowała oficjalne zaproszenie do obserwacji

Coraz większe wpływy uzyskuje frakcja, która twierdzi, że wybory w maju powinny się odbyć w sposób jak najbardziej tradycyjny, z lokalami wyborczymi itd. Czekać uważnie na wieści

Tymczasem u innych kandydatów. Szymon Hołownia, specjalista od stanu wojennego (gdyż nosił wtedy gątki w zębach, ale chętnie się wypowie), nieustannie domaga się wojska na ulicach. Spróbujemy podsumować. Rząd powinien użyć jak najszybciej armii, bo: 1) jest epidemia, 2) jest susza, 3) są pożary, 4) Szymon Hołownia ma majaki, 5) Eine Totalopposition czuje się niedostatecznie prześladowana, 6) kwitną drzewa. Ten ostatni powód brzmi dla niektórych dziwnie, ale przecież jest równie dobry jak pierwsze pięć.

Robik Biedroń, kandydat gejokomuny, błysnął z kolei pięknym zdaniem: „Nigdy nie myślałem, że obserwatorzy OBWE będą potrzebni w Polsce na wyborach”. Do tego oczywiście doszła mina rozpacz i desperacji. Mamy dla Robika złą wiadomość. Musiał w ogóle myśleć niewiele, bo obserwatorzy OBWE byli w Polsce podczas wyborów

nadchodzących wyborów prezydenckich”. Zgadamy się z Robikiem Biedroniem. To był dowód na to, jak bardzo duży w Polsce PeŁo panował autorytaryzm i deficyt demokracji.

Wieści z okolic rządu i Nowogrodzkiej. Coraz większe wpływy uzyskuje frakcja, która twierdzi, że wybory w maju powinny odbyć się w sposób jak najbardziej tradycyjny, z lokalami wyborczymi itd. Czekać uważnie na wieści, które napłyną w tym tygodniu.

Tymczasem Eine Totalopposition nie ustaje w lamentach, że to igrzyska śmierci, a listonosze są śmierci posłańcami. Gdyż wirus utrzymuje się długo na papierze. To fakt. Najdłużej na papierze utrzymuje się wirus głupoty. Szkodliwe efekty mogą potrwać cztery lata. Albo pięć lat, w zależności od wyborów i długości kadencji. ☹



Tłum przed giełdą w Nowym Jorku śledzi załamanie na rynkach w 1929 r.
FOT. LIBRARY OF CONGRESS

Czas biedy

Wielki kryzys zapoczątkowany krachem na nowojorskiej giełdzie 25 października 1929 r. różnił się od innych finansowych turbulencji tym, że wywołał masowe zubożenie praktycznie na całym świecie. Niestety, coraz więcej wskazuje na to, że obecnie стоимy u progu podobnego wydarzenia.

Do historii przeszła wypowiedź prezydenta Hoovera, który jeszcze w słynny czarny czwartek stwierdził w publicznym przemówieniu, że „Podstawowa działalność naszego kraju, to jest produkcja i dystrybucja towarów, ma zdrowe i pomyślne podstawy”. Słowa te wykorzystywano później jako dowód rzeczowy na to, że głowa państwa aż do samego końca nie miała błędnego pojęcia o rozmiarach nadciągającej katastrofy.

Chociaż nie wiemy dziś, czy rok 2020 zostanie zapamiętany jako swego rodzaju powtórka wydarzeń sprzed 91 lat, wiele wskazuje na to, że do historii przejdą przynajmniej wypowiedzi Donalda Trumpa. Prezydent Stanów Zjednoczonych od wielu miesięcy przekonywał, że jego kraj potrzebuje niskich stóp procentowych oraz niższych cen ropy. Domagał się tego zarówno w rozmowach z politykami, jak i w swoich wpisach na Twitterze. Dzisiaj można uznać, że w jakimś



Jakub Wozinski

Światowy kryzys z XX w. dał o sobie zapomnieć dopiero po dekadach. Jak będzie teraz?

sensie marzenia Trumpa się spełniły, ponieważ w odpowiedzi na największe od lat spadki na giełdzie amerykański bank centralny rzeczywiście obniżył stopy procentowe praktycznie do zera, a ropa potaniała na tyle, że jej odmiana WTI miała nawet chwilowo cenę ujemną, gdyż z racji zastoju w globalnym transporcie pojawił się problem z jej przechowywaniem. Z oczywistych przyczyn Donald Trump nie może być jednak usatysfakcjonowany, gdyż przyszło mu się zmierzyć z największymi od wielu dekad zawirowaniami gospodarczymi.

LICYTACJE, NAPADY I SAMOSĄDY

W dobie wielkiego kryzysu najwcześniej nadchodzącą katastrofę zaczęli odczuwać zadłużeni na dużą skalę rolnicy. Ceny zbóż i innych podstawowych produktów rolnych zaczęły się załamywać z tygodnia na tydzień, dlatego setki tysięcy farmerów ogłosiło bankructwo. Ich sytuację pogorszyła dodatkowo eks-

tremalna susza z lat 1930–1931, która nawiedziła przede wszystkim Wielkie Równiny.

Amerykańscy rolnicy zaciągali w latach 20. XX w. kredyty zabezpieczone własnymi gospodarstwami. Gdy przestali być wypłacalni, wysyłani przez banki kormornicy zajmowali cały inwentarz wraz z zabudowaniami, a później wystawiali je na sprzedaż. Powszechną praktyką było to, że posiadający nieco więcej środków pieniężnych sąsiedzi wykupywali konie, krowy czy nawet domy bankrutów, aby ci przynajmniej mogli się żywić i odkupić swoje mienie w bardziej sprzyjającym czasie. Ceny zbóż spadły zaś wreszcie do takiego poziomu, że powszechną praktyką stało się palenie w piecach kolbami kukurydzy, gdyż węgiel był dla wielu zbyt droгим produktem.

Zrozpaczeni swoją nędzą amerykańscy farmerzy organizowali się w spontaniczne grupy zbrojne, które napadały na transporty z płodami rolnymi udającymi

się do ośrodków miejskich. Wierzono, że poprzez ograniczenie podaży doprowadzi się wreszcie do wzrostu cen, który byłby w stanie podnieść ludzi z nędzy. Władze starały się z tym walczyć, choć w wielu miejscach dochodziło do samosądów (np. do wieszania sędziów wydających wyroki w sprawach za niszczenie transportów).

Załamanie na rynku rolnym było jednak zaledwie odzwierciedleniem o wiele bardziej fundamentalnych kłopotów, które swoje źródło miały w systemie bankowym. W samym tylko 1930 r. w USA upadło aż 1345 banków. W naturalny sposób przełożyło się to na kondycję całego przemysłu, który był uzależniony od kredytów. Skalę dokonanego spustoszenia dość dobrze obrazuje produkcja samochodów. Jeszcze w marcu 1929 r. w Stanach Zjednoczonych wyprodukowano 622 tys. pojazdów, lecz w grudniu już tylko 82 tys. Inwestycje w przemyśle, które w 1929 r. szacowano łącznie aż na 16,2 mld dol., w 1932 r. spadły do poziomu zaledwie 0,8 mld.

W KOLEJCE PO CHLEB

Dla zwykłych ludzi wiązało się to z gwałtownym obniżeniem standardu życia. Trzy lata po wybuchu wielkiego kryzysu co czwarty Amerykanin był już bez pracy. Wiele osób w miastach zaczęło głodować i doszło nawet do tego, że w pomocie dla nich zaangażował się gangster Al Capone. Obowiązywała wciąż prohibicja i dlatego chcący nieco poprawić swój wizerunek król alkoholowego podziemia serwował w samym centrum Chicago tysiące darmowych posiłków. Pomoc Capone była na tyle skuteczna, że w powszechnym odbiorze czynił dla biednych i bezrobotnych znacznie więcej niż rząd, a władze nie zwalczały jego jądłodajni, pomimo że pojawiał się w niej osobiście.

W całych Stanach Zjednoczonych kolejki po chleb stały się w czasach wielkiej depresji czymś absolutnie powszechnym. Ustawiali się w nich zarówno żebracy, jak i osoby, które jeszcze niedawno posiadały spore majątki. Skłonni do rasizmu biali Amerykanie z północnego wschodu ustawiali się w długich kolejkach razem z czarnoskórymi rodakami. Bieda sprawiała, że wiele osób przechodziło przyspieszony kurs tolerancji.

Podstawową przyczyną powszechnej w USA nędzy było to, że jeszcze przed wybuchem wielkiego kryzysu miliony ludzi grało na giełdzie. Zaangażowawszy swoje

środki w ryzykowne przedsięwzięcia, wielu z nich traciło niekiedy oszczędności całego życia. Dochody z lokat bankowych stawały się w latach 20. XX w. coraz mniej popularne, gdyż miliony osób bardzo szybko przywykły do tego, że zainwestowawszy na giełdzie, można zarobić nawet 10 proc. lub więcej. Jak relacjonował później jeden z nowojorskich brokerów:

„Na giełdzie grał każdy, bez względu na to, czy było go na to stać. Pucybuci, kelnerzy i kapitaliści”. Trudno się zresztą temu dziwić, gdyż w tamtych latach ceny akcji wzrosły aż sześciokrotnie.

OD ERY JAZZU DO ERY SAMOBÓJSTW

Jeszcze w latach 20. XX w. mogło się wydawać, że świat wkracza w okres wielkiej prosperity. Oprócz produkowanych masowo samochodów w najbardziej zamożnych państwach świata powszechnie stawały się odbiorniki radiowe, regularne wizyty w kinach i teatrach oraz na sportowych arenach oferujących rozgrywki w nowoczesnej, skomercjalizowanej formie. Ogromną popularność zdobywał jednocześnie jazz, który stał się muzyką gospodarczej hossy.

Dla wielu przeskok z realiów ryczących lat dwudziestych do epoki pogoni za chlebem i walki o uratowanie własnego domu przed licytacją wiązał się z ogromnymi problemami, również natury psychicznej. „The New York Times” już w dniu krachu z 1929 r. pisał o 11 samobójstwach popełnionych przez giełdowych spekulantów. Jeden z giełdowych traderów po zakomunikowaniu mu drastycznej obniżki wynagrodzenia skoczył wprost z dachu budynku nowojorskiej giełdy. Finansista i przemysłowiec Arthur Robinson opisywał tamte wydarzenia po latach: „Szał. Dostawałem mnóstwo telefonów od zrozpaczonych przyjaciół. W każdym przypadku nie było sensu pożyczać im pieniędzy, które daliby brokerowi. Jutro mieliby jeszcze gorzej niż wczoraj. Samobójstwa dokonywane na lewo i prawo robiły na mnie potworne wrażenie. Ludzie, których znałem. [...] Na Wall Street ludzie chodzili jak zombi. Było bardzo mrocznie. Widziało się ludzi, którzy jeszcze wczoraj jeździli cadillakiem, a dziś byli szczęśliwi, że ktoś ich podwiózł”.

Aktor kabaretowy Eddie Cantor zartował pod koniec 1929 r.: „Prawie wszyscy z nas złożyli obietnice, których nie są w stanie spełnić z racji nagłego zwrotu

na Wall Street. Ja obiecałem mojej żonie sznur pereł. Nie mogę zdobyć pereł, tylko sznur – i zaczynam myśleć o tym, czy samemu z niego nie skorzystać”. I rzeczywiście, ze sznura skorzystało w szczególności trudnym 1932 r. nawet o 10 tys. więcej osób niż jeszcze w poprzedniej dekadzie.

CZERWONA I BRUNATNA EPOKA

Twarde lądowanie po finansowym krachu miało, niestety, także bardzo groźne konsekwencje o charakterze politycznym. Stany Zjednoczone stały się po pierwszej wojnie światowej pożyczkodawcą prawie dla całego świata, w tym dla wyniszczonej niedawnym konfliktem Europy, która znalazła się w ten sposób pod ogromną presją. Na Starym Kontynencie sytuację pogorszyło dodatkowo bankructwo austriackiego banku Credit-Anstalt z 1931 r. i związany z nim kryzys bankowy, który uderzył w szczególności w gospodarki państw niemieckojęzycznych. W wyborach do Bundestagu z 1932 r. NSDAP Adolfa Hitlera uzyskała drugi wynik, zdobywszy 37 proc. głosów.

Warto pamiętać o tym, że skutki ekonomiczne wielkiego kryzysu miały nieco odmienny charakter w Stanach Zjednoczonych, gdzie miliony osób przeżyło szok nagłego obniżenia standardu życia po dekadzie bezprecedensowego w historii dobrobytu, niż w Europie, dla której lata 20. XX w. stanowiły okres hiperinflacji, gwałtownych strajków i permanentnego kryzysu politycznego. Pamięć o najostrzejszej w XX w. recesji do dziś jest za oceanem znacznie silniejsza niż na Starym Kontynencie, gdyż Amerykanie zaliczyli upadek ze znacznie wyższego szczebla rozwoju gospodarczego. Nie oznacza to jednak, że w Europie kryzys przebiegał łagodniej.

W Polsce zwykło się najczęściej uważać, że problemy dwudziestolecia międzywojennego wynikały przede wszystkim z trudności związanych z wojną bolszewicką, koniecznością scalenia terytoriów należących do niedawna do trzech różnych państw, wojnami celnymi z Niemcami czy też znacznymi niekiedy zniszczeniami z czasów wojny. Wiele do zyczenia pozostawiała także bardzo etatystyczna polityka sanacji, krępująca działalność gospodarczą. Na nieco dalszy plan schodzi przez to fakt, że Polska była również jednym z krajów najmocniej dotkniętych przez wielki

■ kryzys. Najtrudniejsze nad Wisłą były lata 1930–1932, w których zatrudnienie w przemyśle spadło o jedną trzecią, a miliony Polaków zaczęły oszczędzać na podstawowych artykułach (m.in. odzieży czy też węgla). W Polsce nie występował problem z masowymi bankructwami giełdowymi, lecz perturbacje dotyczyły w głównej mierze fatalnej koniunktury. W rolnictwie dochody wielu rolników spadły nawet o 70–80 proc., gdyż ceny mleka czy trzody chlewnej zanotowały drastyczne spadki. Obecny niemal od zawsze na polskiej wsi głód stał się na początku lat 30. XX w. zjawiskiem masowym.

W II RP produkcja rolna odpowiadała aż za 70 proc. całej produkcji, dlatego katastrofalny spadek cen przyczynił się do tragedii milionów osób. Obecnie szacuje się, że na polskiej wsi ostry kryzys trwał dwa razy dłużej niż w miastach, gdzie sytuacja zaczęła się normować już ok. 1933 r. Rolnicy nie byli w stanie zapewnić swoim rodzinom nie tylko odpowiedniego obuwia, lecz także większości podstawowych produktów codziennego użytku. Biedę odczuli nawet mieszkańcy zamożnego jak na polskie warunki Pomorza. W jednym ze wspomnień z tego okresu można przeczytać: „Pamiętam, że nie było co jeść, nie było w co się ubrać. Starsze siostry chodziły do szkoły powszechnej zimą bez ciepłych ubrań, w trepach. Nie raz świeciły gołymi piętami, gdyż pończochy miały podarte. Dwaj starsi bracia również bez kurtek, w podartych spodniach”.

Wielki kryzys w Polsce wiązał się także z masowym wycofywaniem depozytów bankowych, szczególnie w 1930 r. Sytuacja stała się jeszcze bardziej dramatyczna, gdy rok później upadły banki niemieckie i austriackie, pociągając tym samym na dno także liczne polskie banki. Podczas gdy w 1928 r. prywatnych banków akcyjnych było w Polsce 407, w 1938 r. pozostało zaledwie 270. Ostatecznie cały system bankowy nie uległ załamaniu, lecz Polacy bardzo mocno odczuli kryzys w swoich kieszeniach. Chociaż ceny produktów spadały, nie oznaczało to wcale większych zdolności nabywczych, gdyż płace zostały drastycznie zredukowane.

Dramat polskiej gospodarki w dobie wielkiego kryzysu polegał w sporej mierze na tym, że wpadła w swego rodzaju błędne koło. Zubożała wieś nie była w stanie nabywać produktów

fabrycznych z miast, z kolei w miastach płace w przemyśle nie rosły, ponieważ to właśnie wieś była głównym odbiorcą produktów przemysłowych. Wobec rosnących ograniczeń w handlu międzynarodowym Polska miała stosunkowo niewielkie możliwości wyjścia z impasu.

WOJENNY PARAWAN

Jak skończył się wielki kryzys? Na dobrą sprawę dopiero w latach 50. XX w. Czasami można spotkać się z interpretacją, że skuteczną odpowiedzią na ekonomiczny krach z 1929 r. był Nowy Ład Roosevelta, który budzi do dziś na tyle powszechnie pozytywne skojarzenia, iż służy nawet jako wzór dla nowych gospodarczych projektów na wielką skalę (vide obecny Europejski Zielony Ład lub amerykański Nowy Zielony Ład). W rzeczywistości ogół reform wdrożo-



Kolejka po zasiłek dla bezrobotnych, lokal Funduszu Bezrobocia w Krakowie, 1933 r. FOT. NAC

nych po 1933 r. przez Roosevelta jeszcze bardziej utrwalił nędzę amerykańskiego społeczeństwa. W 1929 r. w USA było 1,8 mln bezrobotnych, w szczytowym momencie, w 1933 r., aż 13 mln, lecz w 1939 r. wciąż blisko 10,5 mln. Inspirowane europejskim faszyzmem, ekonomią Keynesa oraz radykalnym socjalizmem reformy Nowego Ładu nie wyrwały Ameryki z kryzysu, o czym świadczą liczne relacje z końca lat 30 XX w. Osoby odwiedzające amerykański interior były niekiedy zszokowane nędzą, w jakiej żyły szerokie masy ludności.

Świat stosunkowo szybko zapomniał o wielkim kryzysie i jego skutkach, ponieważ w 1939 r. wybuchła wojna, w wyniku której miliony bezrobotnych trafiły na front, a dla kolejnych milionów dotkniętych trudnościami ekonomicznymi bardziej istotnym problemem stało się po prostu przeżycie. Stanom Zjednoczonym w wyjściu na prostą wydatnie pomogło uzyskanie statusu superpotęgi, która po konferencji w Bretton Woods w 1944 r. mogła swobodnie narzucić ca-

łemu światu swój system monetarny. Jeśli się weźmie pod uwagę skalę produkcji przemysłowej, to świat powrócił do poziomu produkcji sprzed 1929 r. średnio dopiero po dwóch dekadach. W Stanach Zjednoczonych gospodarka zaczęła wyraźnie się ożywiać już w 1946 r. Jak wskazują dane z amerykańskiego rocznika statystycznego, liczba rozpoczętych budów nowych domów osiągnęła wtedy ówczesny rekord, a wartość produkcji rolniczej odbudowała się do poziomu z lat 20. XX w.

Jeżeli sprawdzi się czarny scenariusz, który zakłada, że wkraczymy obecnie w nowy wielki kryzys, lata poprzedzające jego wybuch zapamiętamy zapewne jako epokę mediów społecznościowych, Netflixa i smartfonów. Ewentualny dotkliwy kryzys nie sprawi oczywiście, że stracimy do nich dostęp, lecz zmieni się nasz stosunek do nich. W latach 30 XX w. można było wciąż kupić dobre samochody, wybrać się do kina, teatru lub restauracji, ale stać było na to zdecydowanie mniejszą liczbę osób.

Autor tekstów piosenek Edgar Harburg relacjonował po latach swoje odczucia względem wielkiego kryzysu w następujący sposób: „Wraz z krachem zdałem sobie sprawę, że największą fantazją ze wszystkich był biznes. [...] Myśleliśmy, że amerykański biznes to skała Gibraltaru. Byliśmy narodem żyjącym w dobrobycie i nic nie mogło nas powstrzymać. Prawdziwy pomnik na wieki. [...] Nagle ten wielki sen eksplodował. Wrażenie było niesamowite”.

Na zdjęciach z epoki wielkiego kryzysu uderza przede wszystkim to, że w centrach miast, w których jeszcze niedawno wyrastały okazałe budynki i wieżowce, pojawiły się dzielnice nędzy, przypominające południowoamerykańskie fawele. Poważne kryzysy sprawiają, że w sposób nagły i nieoczekiwany miesza się ze sobą dwa zupełnie odmienne światy. Ukończony w 1931 r. najwyższy biurowiec świata Empire State Building przez wiele lat stał praktycznie pusty (dlatego nazywano go czasem Empty State Building). Częścią świata, który już niedługo stanie się zapewne tylko wspomnieniem, będzie też niewątpliwie tweet Donalda Trumpa z 10 stycznia br., w którym prezydent, zachwycony rekordowym wynikiem indeksu Dow Jones, pisał: „Najlepsze dopiero przed nami!”.

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY



STRAŻNIK PAMIĘCI

2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNER



MACIEJ PIECZYŃSKI: „Koronawirus stworzył nową jakość w historii gospodarki. Nigdy wcześniej rządy nie wprowadziły państwa w stan śpiączki, żeby potem sztucznie utrzymywać jego organy przy życiu, licząc, że jak już znajdą lekarstwo, stopniowo przywrócą państwo do życia” – stwierdził pan w jednym ze swoich komentarzy.

TOMASZ WRÓBLEWSKI: Do tej pory funkcje gospodarcze państwa były wyłącznie jedynie w czasie wojny. To jednak działało się automatycznie, pod przymusem okoliczności. Natomiast żeby rząd wyłączył gospodarkę z własnej, nieprzymuszonej woli, to już sytuacja bez precedensu. Jeszcze do niedawna zamach na własne życie był domeną pojedynczych jednostek. Ewentualnie mówiło się o samobójstwie politycznym. Samobójstwo ekonomiczne to jednak zupełnie nowa jakość.

Czy rzeczywiście można mówić o samobójstwie? Uśpienie gospodarki ma przecież uratować życie.

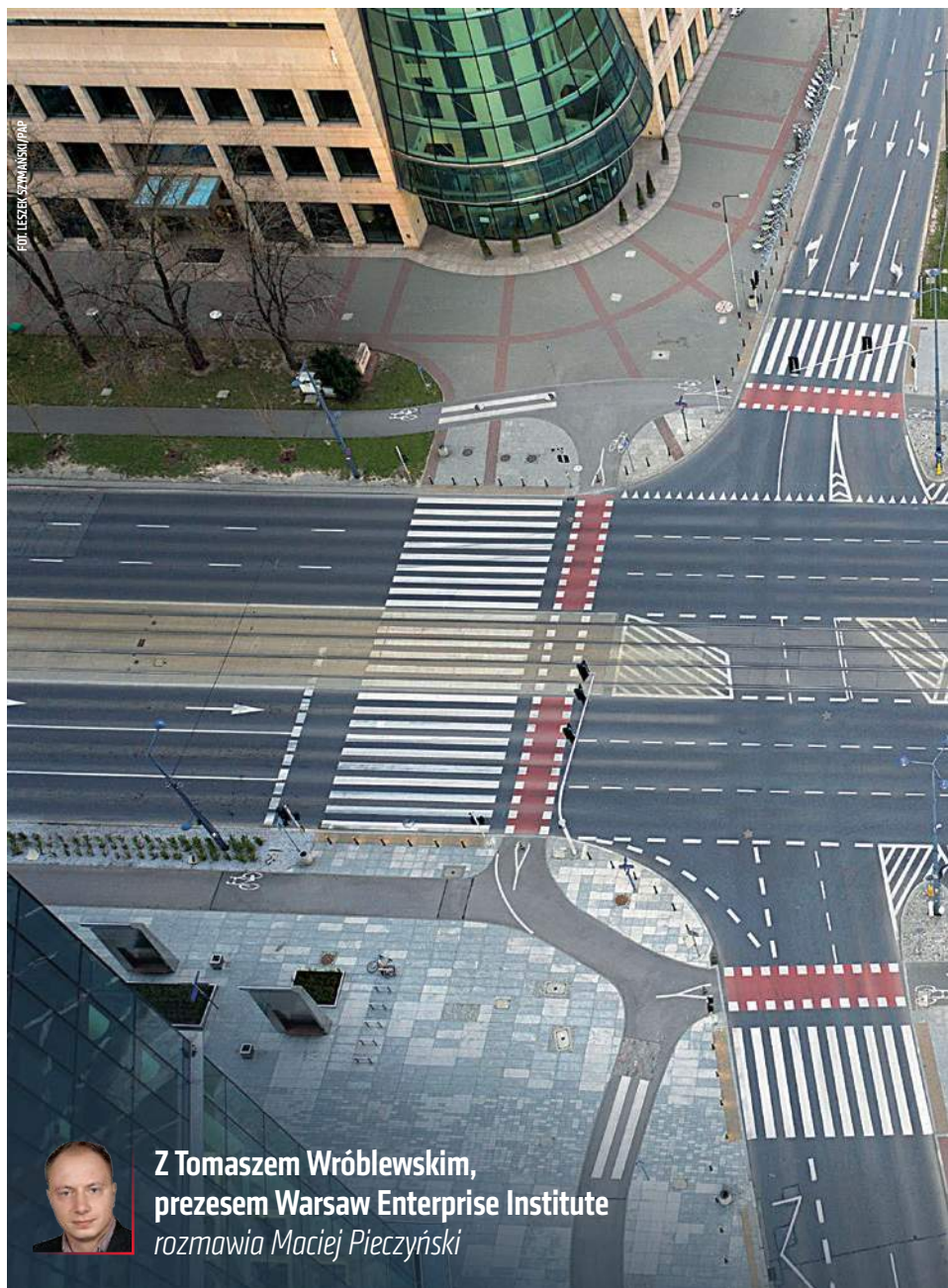
Oczywiście są konkretne medyczne przyczyny obecnej sytuacji. W przeszłości wiele razy musieliśmy się zmagać z pandemią. Nigdy jednak nie powodowało to całkowitego zatrzymania działalności gospodarczej. Nawet epidemia hiszpanki, mimo o wiele większej liczby ofiar, nie skłoniła rządzących do tak radykalnych kroków.

Czy można porównywać „koronakryzys” z wielkim kryzysem lat 30.?

Trudno powiedzieć. Obecny kryzys dopiero się zaczął.

Do kryzysu w 1929 r. doprowadziła sytuacja na rynkach finansowych, a do tego obecnego – pandemia koronawirusa. Przyczyny są więc diametralnie różne. A jakie są wspólne mianowniki?

Podobnie jak w 1929 r., tak i obecnie głównym problemem jest widmo bezrobocia. Pod tym względem oba kryzysy różnią się od tego z lat 2007–2009, kiedy to motywem przewodnim był stan finansów publicznych i systemu bankowego. Wspólnym mianownikiem jest więc charakter zagrożeń dla gospodarki. Rooseveltowski program pomocowy, o którym można wiele złego powiedzieć, był nakierowany na ochronę pracowników. O ile w latach 2007–2009 ratowano finanse państw i banki, o tyle zarówno wielki kryzys, jak i „koronakryzys” wymusiły walkę o ratowanie pracowników.



Z Tomaszem Wróblewskim,
prezesem Warsaw Enterprise Institute
rozmawia Maciej Pieczyński

Izolacja to samobójstwo gospodarcze



Stwierdził pan jakiś czas temu, że jeśli uśpienie gospodarki potrwa do maja–czerwca, to Polsce po raz pierwszy od 1989 r. grozić będzie bankructwo. Mamy już początek maja...

Jeśli do końca miesiąca nic się nie zmieni, to wydaje się, że nie będzie czego zbierać z małych i średnich przedsiębiorstw. Oczywiście pewne rodzaje działalności są łatwe do odtworzenia. Niewiele trzeba, by reaktywować zakład fryzjerski, bar czy restaurację, nawet jeśli w innym miejscu i z innymi pracownikami. Jednak generalnie w proces wybudzania gospodarki będziemy wchodzić z ogromnym zadłużeniem.

Czy skutki obecnego kryzysu będą dla gospodarki gorsze niż w latach 30.?

Za wcześnie na ostateczne porównania. Już teraz jednak widać, że świat podejmuje inne niż w latach 30. działania w walce z kryzysem. Wtedy właściwie jedynie USA i Niemcy opracowały wielkie, rozbudowane programy odbudowy miejsc pracy. Dzisiaj jest to o wiele bardziej rozpowszechniona praktyka. Programy pomocowe mogą zapewnić ciągłość pracy albo przynajmniej zagwarantować jakiś dochód pracownikom. Jednak bardziej skuteczna niż po wielkim kryzysie walka z bezrobociem będzie miała też negatywne konsekwencje.

Według Międzynarodowego Funduszu Walutowego 14 bln dol., wpompowanych w gospodarkę w ramach pomocy pracownikom, wywoła inflację, znacznie większą, niż to miało miejsce w latach 30. Dodatkowym problemem jest izolacja, powodująca przerwanie przepływu towarów. Światowa Organizacja Handlu mówi o 32 proc. spadku obrotów handlowych na świecie. To gospodarcza katastrofa. Nawet jeśli rzeczywiście pracownicy wyjdą z kryzysu suchą nogą, możliwe, że i tak posypie się cała reszta gospodarki.

Programy pomocowe mogą dobić gospodarkę?

Obecnie wdrażane projekty pomocowe są wzorowane na tych, które zastosowano w latach 2007–2009. To, że wielomiliardowe programy stymulacyjne zadziałały wtedy, nie oznacza, że zadziałają teraz. Europejscy politycy, podobnie jak generałowie, „toczą minione wojny”. Już w 1963 r. Milton Friedman i Anna J. Schwartz dowodzili, że w czasie kryzysu można ratować rynek pracy wielkimi zastrzykami pieniędzy, ale nie można przekraczać pewnej bariery płynności. Pompowanie pieniędzy w rynek miało jeszcze jakiś sens w czasie kryzysu monetarnego, kiedy brakowało pieniędzy na rynku. Teraz jednak mamy nadpodaż pieniądza. Inflacja, która dziś jest na poziomie 4 proc., wzrosłoby do 15 albo i 20 proc. Oczywiście można powiedzieć, że dziś sytuacja jest zupełnie inna niż 90 lat temu. Jednak mechanizmy rynkowe są też o wiele bardziej skomplikowane.

Wspomniał pan o spadku handlu zagranicznego. Może właśnie izolacja czyni obecną sytuację o wiele bardziej groźną niż w przypadku wielkiego kryzysu? Wtedy świat nie był tak mocno zglobalizowany. Konieczność izolacji w świecie, który z zasady dążył do zniesienia granic, to chyba wielka tragedia dla gospodarki?

Izolacja jest w jakimś stopniu wyzwaniem dla gospodarki, ale duży obrót handlowy nie został przerwany. Problem jest z podażą i popytem – część produktów nie zostaje dostarczona, bo nie działają fabryki, ale też zapotrzebowanie na niektóre produkty jest mniejsze. Tragedia wielkiego kryzysu w dużej mierze rozegrała się na parkietach giełdowych. Dzisiaj natomiast sytuacja jest inna. Na światowych giełdach mamy boom – tak jakby giełda funkcjonowała w oderwaniu od realnej gospodarki.

■ Być może inwestorzy optymistycznie liczą na unormowanie sytuacji gospodarczej. W czasie wielkiego kryzysu akcje spadały od 1929 r. do marca 1930 r. Pozostały na bardzo niskim poziomie, by potem, od 1931 r., znowu spadać. Wtedy też inwestorzy giełdowi liczyli na poprawę sytuacji, do której jednak nie doszło. Nie wiadomo, jak będzie teraz.

W USA lekiem na skutki wielkiego kryzysu miał być program „New Deal” („Nowy Ład”), oparty na doktrynie keynesizmu. Czyli, w największym skrócie, interwencjonizm państwowy. Już teraz widać, że podobnymi metodami będzie zwalczany „koronakryzys”. Pan, jako zwolennik wolnego rynku, jest krytyczny wobec takiej polityki. Dlaczego?

Keynes, a przede wszystkim Roosevelt, wykorzystali wielki kryzys do wprowadzenia w życie swoich politycznych wizji świata. Niewiele różniły się one od tych, które, również w odpowiedzi na wielki kryzys, proponował Hitler, a jeszcze wcześniej Mussolini.

Mocne porównanie...

Tak, mocne, ale prawdziwe. Ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych był zafascynowany Mussolinim. Chciał wzorem przywódcy faszystów rozwiązać korporacyjną gospodarkę, ściśle regulowaną przez państwo, które w tej wizji kontroluje wszystkie sfery życia. W pierwszym projekcie „New Deal” Roosevelt zaproponował m.in., aby firmy były zobowiązane do zrzeszania się w trusty, które odgórnie narzucałyby konkretne rozwiązania dla danej branży, takie jak to, w jakiej sytuacji można zwalniać pracowników, jak wyceniać dane produkty. Chodziło o całkowite podporządkowanie rynku kontroli państwa. Szczęśliwie amerykański Sąd Najwyższy uznał te rozwiązania za niekonstytucyjne.

Roosevelt nie dawał jednak za wygraną. W połowie lat 30. zaczął wprowadzać nowe przepisy, dotyczące dodatkowych świadczeń dla pracowników czy gwarancji dla związków zawodowych. To były rozwiązania typowo rewizjonistyczne. Ich celem nie było zażegnanie kryzysu, ale ograniczenie niezależności przemysłu od państwa. Te działania w sposób oczywisty hamowały rozwój USA. Powszechnie uważa się, że „New Deal” wyprowadził Amerykę z kryzysu. Z wielu badań wynika jednak, że było wręcz przeciwnie. Gdyby nie interwen-

cjonistyczna polityka Roosevelta, kryzys zakończyłby się już w 1933 r. Czym innym jest w chwili najmocniejszego uderzenia recesji wspomagać pracowników i pozwolić im przetrwać, a czym innym – wykorzystywać moment słabości gospodarki w celu zmiany jej struktury. To samo dotyczy Polski. Brytyjski ekonomista Walter Bagehot już w XIX w. zauważył, że najgorsze, co może zrobić państwo, to wykorzystać swoją przewagę nad sektorem prywatnym do zmiany istniejącego ładu rynkowego. Tą przewagą jest możliwość rozdawania pieniędzy. Zbyt daleko posunięty interwencjonizm może nam zaszkodzić. Nie można zbyt rygorystycznie traktować przepisu o zakazie przejmowania polskich spółek przez zagraniczne firmy. To oczywiście z reguły broni przed wrogim przejęciem. Z drugiej jednak strony można sobie wyobrazić, że w tych trudnych czasach np. jakaś amerykańska firma, wykupując polskie przedsiębiorstwo, może tylko polską gospodarkę wspomóc.

Powszechnie uważa się, że wielki kryzys doprowadził do wzrostu nastrojów populistycznych, szowinistycznych, a w konsekwencji – do wybuchu drugiej wojny światowej. Czy dziś również mamy się czego obawiać?

Nie do końca wiem, czym jest tak często dziś używany termin „populizm”. Jednak to, co na pewno już teraz możemy zdiagnozować jako skutek pandemii koronawirusa, to wzrost tendencji izolacjonistycznych. Państwa w większym niż wcześniej stopniu stają się samowystarczalne. Sytuacja zmusza nas do szukania alternatyw dla rozciągniętych po całym świecie łańcuchów dostaw. Kryzys UE, a zwłaszcza konflikt Północ vs. Południe w ramach Wspólnoty, to wszystko sprawia, że można się spodziewać dużych przesunięć politycznych. Spadnie znaczenie UE jako całości. Zwiększy się natomiast rola Niemiec, które już teraz zdają się zastępować powoli Unię. Związek krajów Południa ze Wspólnotą będzie coraz luźniejszy. Co ciekawe, mamy dziś w pewnym sensie sytuację odwrotną do tej z czasów wielkiego kryzysu...

W jakim sensie?

W latach 1918–1919 rozpętała się pandemia hiszpanki, która była ogromnym wstrząsem także dla gospodarki. Dekadę później wybuchł wielki kryzys.

Najpierw pandemia – potem kryzys. Współcześnie zaszedł odwrotny proces. Najpierw kryzys lat 2007–2009, dekadę później pandemia.

Dekadę po rozpoczęciu się wielkiego kryzysu wybuchła wojna światowa. Dzisiaj nam to nie grozi?

Australijski historyk Geoffrey Blainey przeanalizował wszystkie wielkie pandemie w dziejach i zauważył, że nigdy nie towarzyszyły im wojny. Często zdarzało się, że epidemia wybuchała już w trakcie konfliktu. Albo że choroba dotknęła jednej z walczących stron. Wykorzystywał to wówczas wróg, ale nigdy nie atakował bezpośrednio skażonego terytorium. Dlatego też wydaje się, że przy całym złu obecnej sytuacji militarnie jesteśmy bezpieczni. Nawet jeśli obserwujemy napinanie mięśni pomiędzy Chinami i USA.

Ale raczej mięśni gospodarczych niż militarnych...

Militarnych też. Mam na myśli manewry w okolicach Tajwanu, gdzie podpłynęły amerykańskie i australijskie okręty. Chińczycy starają się zademonstrować swoją siłę. Istnieje jedynie pewne ryzyko, że może dojść do jakiegoś incydentalnego starcia, na które druga strona będzie zmuszona odpowiedzieć, żeby nie okazać słabości. Jednak co do zasady, jeśli się weźmie pod uwagę doświadczenia historyczne, to możemy chyba czuć się bezpieczni. Epidemia nie sprzyja bezpośrednim konfliktom militarnym. Po pierwsze, nikt nie chce ryzykować. Po drugie, morale żołnierzy jest nieporównanie mniejsze niż w „normalnych” czasach. Żeby iść na wojnę, ludzie potrzebują dopingu. Idei, która ich za sobą pociągnie. Niemcy w latach 30. taką ideę mieli. Chcieli zabijać w imię swoich wizji, walczyć o „lepsze” Niemcy, o „prawdziwy” naród. Dzisiaj nie ma tak silnych idei. Poza tym pandemia powoduje, że ludzie są zdołowani, siedzą w domach, izolują się. Nie mają motywacji, by zabijać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Wróblewski
– prezes Warsaw Enterprise
Institute, dziennikarz i publicysta

Członkowie Partii Demokratycznej chcą, aby rząd w Waszyngtonie zapewnił Amerykanom możliwość bezpiecznego głosowania korespondencyjnego w listopadowych wyborach prezydenckich. – Głosowanie za pośrednictwem poczty jest tak ważne dla naszej demokracji, ponieważ sprawia, że ludzie będą mogli głosować i nie zostaną do wyborów zniechęceni, zwłaszcza w tym okresie, gdy zachęca się ludzi do pozostania w domu – przekonuje liderka amerykańskich demokratów Nancy Pelosi, szacując, że na sprawne głosowanie w ten sposób potrzeba co najmniej 2 mld dol. Władze niektórych stanów, np. Wisconsin, rozważają zaś całkowite przejście na głosowanie korespondencyjne. I chociaż w USA toczy się w tej sprawie zażarty spór polityczny, to nikt z czołowych przedstawicieli Unii Europejskiej nie zaczął bić na alarm, że demokracja w Stanach Zjednoczonych może być wkrótce zagrożona.

NIEMCY MOGĄ. POLACY NIE?

O przeprowadzeniu głosowania w majowych wyborach prezydenckich w trybie korespondencyjnym, aby zapewnić wyborcom jak największe bezpieczeństwo podczas pandemii koronawirusa, zdecydował również polski rząd. Ta zapowiedź błyskawicznie wywołała jednak reakcję nieprzychylnych Polsce unijnych urzędników. – Jestem zaniepokojona kwestią wolnych i uczciwych wyborów w Polsce, kwestią szans w głosowaniu wszystkich kandydatów i ich zdolności do prowadzenia równej kampanii – oświadczyła Věra Jourová, wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej, wyrażając obawy co do wyborów korespondencyjnych, choć w poprzednich wyborach parlamentarnych w Niemczech korespondencyjnie swój głos oddało prawie 10 mln wyborców.

– Kiedy w Stanach Zjednoczonych dyskutuje się o tym, by bezpiecznie przeprowadzić wybory prezydenckie, taka dyskusja w Polsce jest przejawem łamania praworządności – zauważył w połowie kwietnia minister Sebastian Kaleta. Europoseł Patryk Jaki zwrócił zaś uwagę w mediach społecz-



Věra Jourová, wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej, wyraża obawy co do wyborów korespondencyjnych w Polsce, choć w poprzednich wyborach parlamentarnych w Niemczech korespondencyjnie swój głos oddało prawie 10 mln wyborców. FOT. DOMINIQUE HOMMEL

Polonofobia a poprawność polityczna

Jak uchronić Polaków przed ciągłymi nieprawdziwymi zarzutami oraz przed stygmatyzacją Polski na arenie międzynarodowej?

nościowych, że najważniejsza w Parlamencie Europejskim komisja LIBE, ustalając priorytety do pracy w połowie kwietnia, zdecydowała, że najpierw zajmie się badaniem „praworządności” w Polsce i na Węgrzech, a dopiero później monitorowaniem środków podjętych do walki z pandemią COVID-19.

W kwietniu wszyscy eurodeputowani PiS zagłosowali przeciw rezolucji w sprawie działań UE na rzecz zwalczania pandemii koronawirusa i jej skutków, w której zawarte jest ubolewanie „nad krokami podjętymi przez polski rząd, a mianowicie zmianą Kodeksu wyborczego wbrew wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego i innym przepisom prawa, w celu przeprowadzenia wyborów prezydenckich w środku pandemii, co może zagrozić życiu obywateli polskich i podważyć koncepcję wolnych, równych, bezpośrednich i tajnych

wyborów przewidzianą w polskiej konstytucji”.

„Instytucje europejskie powinny zająć się walką z koronawirusem, a nie narzucaniem nam swojej lewackiej ideologii i próbą niszczenia naszej suwerenności” – skomentował na Twitterze wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski.

STYGMATYZACJA POLSKI

Eurodeputowani PiS ocenili, że umieszczenie kwestii wyborów korespondencyjnych w rezolucji PE dotyczącej walki z pandemią to kolejny przejaw stygmatyzacji Polski ze strony Unii Europejskiej. Polscy eurodeputowani nie pierwszy raz byli świadkami grillowania Polski na arenie międzynarodowej. Również podczas debat w Parlamencie Europejskim często padają opinie, które mają niewiele wspólnego z faktami.

„Brakowało czasu, aby prostować wszystkie pojawiające się tam bzdury” – tak kolejną debatę na temat rzekomego łamania praworządności pod koniec kwietnia na Twitterze skomentował były wiceminister sprawiedliwości oraz europoseł Patryk Jaki. – Twierdzą państwo, że członkowie rządu są w Polsce powoływani na sędziów. Przecież to bzdura, proszę pokazać konkretnie – kto. Druga bzdura: że to coś nadzwyczajnego, że członkowie rządu są w KRS, która wybiera sędziów. Państwo najpierw sprawdź, zanim rzucą takie oskarżenie – mówił podczas debaty Patryk Jaki.

Niestety, wciąż trwa jednak „grillowanie Polski” w związku z reformą sprawiedliwości. – Przez kilka lat musieliśmy wręcz prostować, że my sędziów nie aresztujemy w Polsce, bo takie głosy również na Zachód docierały – mówił w Polskim Radiu 24 wiceminister Sebastian Kaleta. Polsce stawia się zarzut braku praworządności, przywołując rozwiązania, które z powodzeniem funkcjonują w innych krajach Unii Europejskiej, takich jak Niemcy i Hiszpania. Na przykład wszystkich sędziów Sądu Najwyższego powołują politycy i nikt z tego powodu nie szykanuje władz w Berlinie.

„W RFN się da, ale w Polsce to już skandal i łamanie praworządności. Dlaczego? Aaa bo to są Niemcy, a to jest Polska” – zauważył na Twitterze Patryk Jaki.

– Hiszpański Sąd Najwyższy, który wydał orzeczenie podważające wyrok Trybunału Sprawiedliwości UE, jest skonstruowany w taki sposób jak Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego. Tam można, a w Polsce już problem jest, bo będzie dyskusja o praworządności – zaznaczył Sebastian Kaleta i dodał, że podobne rozwiązania, które przyjęła Polska, funkcjonują w Słowenii, na Litwie i Łotwie, gdzie nie ma Izby Dyscyplinarnej SN i to parlament odwołuje sędziów wskutek postępowania dyscyplinarnego.

W wielkiej grze o nową finansową perspektywę unijną podobnych zarzutów może pojawiać się więcej. Prostowanie fałszywych zarzutów i dbanie o wizerunek Polski należą więc do kluczowych zadań z punktu widzenia interesów Polski.



Wojciech Wybranowski

Walka środowiska związanego z prof. Małgorzatą Gersdorf o utrzymanie kontroli nad Sądem Najwyższym trwała do ostatniej chwili

Opuszczam urząd I Prezesa Sądu Najwyższego w przekonaniu, że uczyniłam wszystko, co było w mojej mocy, by postępować zgodnie ze złożonym ślubowaniem, wywiązać się z obowiązków i sprostać odpowiedzialności [...]. Zapłaciłam za obronę niezależności władzy sądowniczej i niezawisłości sędziów, stając się celem zarówno drobnych uszczypliwości, jak i brutalnych ataków. Nie byłam na to przygotowana” – napisała w ubiegłym tygodniu w liście prof. Małgorzata Gersdorf, pierwsza prezes Sądu Najwyższego, której kadencja zakończyła się w miniony czwartek (już po zamknięciu tego wydania „Do Rzeczy”). Tego dnia przed południem prezydent Andrzej Duda wyznaczył Kamila Zaradkiewicza na pełniącego obowiązki I prezesa Sądu Najwyższego.

Sześć lat rządów Małgorzaty Gersdorf w Sądzie Najwyższym obfitowało w kontrowersje. Była już szefowa Sądu Najwyższego nie podjęła żadnych wymiernych działań, by wyjaśnić udział sędziów w głośnej aferze korupcyjnej w Sądzie Najwyższym. W ostatnich latach stała się czynnym uczestnikiem opozycyjnych antyrządowych wieców i akcji. A jeszcze kilka dni przed opuszczeniem fotela I prezesa SN kierowany przez nią sąd wydał opinię krytycznie oceniającą pomysł korespondencyjnych wyborów prezydenckich, twierdząc, że ich realizacja zagraża bezpieczeństwu Polaków. Pod opinią jest też podpis prof. Gersdorf.

– Kuriozum. Przede wszystkim Sąd Najwyższy nie jest instytucją uprawnioną do oceny zagrożenia epidemiologicznego i bezpieczeństwa obywateli – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Sebastian Kaleta, wiceminister sprawiedliwości. Jego zdaniem odchodząca I prezes SN przekroczyła swoje kompetencje, wchodząc w buty polityków.



Batalia o Sąd Najwyższy

„Nie udało się zatrzymać destrukcji państwa prawa, ale udało się pomóc wielu ludziom w zrozumieniu, jak wielkie znaczenie dla obrony ich praw ma Konstytucja i sędziowie” – napisała o sobie prof. Gersdorf w pożegnalnym liście.

– Uważam panią Gersdorf za najgorszego I prezesa Sądu Najwyższego w III RP. Skrajnie upolityczniła SN. Dopuszczała do zapóźnień związanych ze standardami ochrony konsumenta – ocenia prawnik Marcin Wątrobiński. – Liczę, że nowy I prezes SN będzie potrafił odbudować autorytet tej instytucji i z torów instrumentu polityki krajowej sprowadzić Sąd Najwyższy na te wła-

ściwe, związane z realizowaniem swojej funkcji. Aby obywatele nie musieli czekać na sprawiedliwość wymierzaną np. w Luksemburgu czy Strasburgu.

Kilka tygodni przed opuszczeniem przez prof. Gersdorf prezesowskiego fotela rozpoczęła się kularowa batalia o utrzymanie wpływów jej, bliskiego też opozycji, środowiska w Sądzie Najwyższym. Cel – sparaliżowanie wyboru nowego I prezesa SN z udziałem sędziów kojarzonych z dobrą zmianą.

GRA O „KOMISARZA” W SN

Zgodnie z przepisami kadencja prof. Małgorzaty Gersdorf upłynęła



ski, wykładowca Europejskiej Wyższej Szkoły Prawa i Administracji, uważa takie tłumaczenie za nieprzystające do rzeczywistości.

– Dla mnie jest to niezrozumiałe. Mieszkam w Brukseli, zajmuję się sądami holenderskimi. Tam te sądy zrobiłyby to na odległość z wykorzystaniem technik internetowych i nikt nie miałby z tym problemu. W tym przypadku raczej chodziło o pewną obstrukcję wobec prezydenta Dudy i stworzenie prowizorki po to, by później móc kwestionować funkcjonowanie naszego państwa – mówi „Do Rzeczy” prof. Gontarski.

– Jeżeli taki organ konstytucyjny jak Sąd Najwyższy nie może działać, grzęźnie w sporze prawnym, to jest z państwem źle.

I rzeczywiście. Gra toczyła się o znacznie większą stawkę niż zdrowie poszczególnych sędziów SN. W sytuacji, gdy Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN nie mogło się zebrać i wyłonić kandydatów na swojego I prezesa, zgodnie z obowiązującymi przepisami to prezydent musi wskazać osobę, która czasowo będzie pełnić taką funkcję i niezwłocznie zorganizuje wybory kandydatów na I prezesa.

Jak twierdziło w tej sytuacji środowisko prawnicze bliskie prof. Gersdorf, automatycznie takim „komisarzem” pełniącym obowiązki I prezesa SN powinien stać się blisko kojarzony z ustępującą prezes sędzią Józef Iwulski, uważany też w środowisku prawniczym za gwaranta interesów tzw. kasty.

„Na podstawie ustawy o Sądzie Najwyższym po 30 kwietnia 2020 r. obowiązki Pierwszego Prezesa przejmie Prezes Sądu Najwyższego najstarszy służbą na stanowisku sędziego i w sytuacji, którą będzie można uznać za bezpieczną, zwoła Zgromadzenie Ogólne” – napisał niedawno w oświadczeniu sędzia Laskowski, wówczas rzecznik SN.

Teoretycznie „komisarz” może pełnić obowiązki tylko do zwołania Zgromadzenia Ogólnego Sędziów, wyłonienia kandydatów na I prezesa i wyboru jednego z nich przez prezydenta. W sytuacji pandemii osoba pełniąca obowiązki I prezesa SN może – tłumaczyć to podobnie jak wcześniej prof. Gersdorf obawami o zdrowie – przeciągać uruchomienie procedury wyboru kandydatów na prezesa, samemu kierując w tym czasie Sądem Najwyższym. Zwolennicy powoła-

w czwartek 30 kwietnia. Z początkiem maja na czele Sądu Najwyższego powinien stanąć jej już formalny – wybrany z grona samych sędziów i powołany przez prezydenta – następca. Tak się jednak nie stało. Dlaczego? Sześć tygodni przed upływem kadencji prof. Gersdorf, a więc w drugiej połowie marca, zgodnie z art. 12 ustawy o Sądzie Najwyższym, Zgromadzenie Ogólne Sędziów SN powinno wybrać spośród siebie i przedstawić prezydentowi Andrzejowi Dudzie pięciu kandydatów na fotel I prezesa SN. Zaplanowane na 21 kwietnia posiedzenie Zgromadzenia Ogólnego Sędziów SN zostało jednak

odwołane przez Gersdorf. Oficjalnym powodem miała być obawa przed pandemią koronawirusa i troska o zdrowie sędziów, z których część z racji wieku znajduje się w grupie ryzyka.

– Gdyby ktokolwiek z nich się zakażył, oznaczałoby to, że cały SN musiałby przestać funkcjonować. Pani prezes ważyła racje i uznała, że zdrowie i bezpieczeństwo są ważniejsze niż wskazanie pięciu kandydatów na jej następców – mówił dziennikarzom sędzia Michał Laskowski, wówczas rzecznik Sądu Najwyższego.

Czy rzeczywiście o to chodziło? Konstytucjonalista, prof. Waldemar Gontar-

FOT. ANDRZEJ HULIMAK / FORUM

nia na p.o. prezesa właśnie sędziego Iwulskiego, przywoływali art. 14 ustawy o Sądzie Najwyższym. – Ten przepis nie ma tutaj zastosowania – zwraca jednak uwagę prof. Waldemar Gontarski, prawnik, konstytucjonalista. – Najstarszym stażem sędzią SN zastępuje się I prezesa SN tylko w przypadku, gdy to stanowisko nie jest, mówiąc potocznie, opróżnione, ale z jakichś powodów urzędujący I prezes nie może pełnić swojej funkcji. W świetle przepisów to prezydent ma obowiązek wskazać p.o. I prezesa zgodnie z własnym przekonaniem – dodaje.

Dwa lata wcześniej to jednak Iwulskiego powołał prezydent na fotel pełniącego obowiązki I prezesa Sądu Najwyższego. Wywołało to niemały skandal, bo z materiałów zgromadzonych w archiwach IPN wynika, że sędzia Józef Iwulski w okresie stanu wojennego orzekał w procesach opozycjonistów, w kilku przypadkach wydając wyroki zgodne z oczekiwaniami komunistycznych władz.

OSTATNIA AKCJA BYŁEJ PREZES

Wiele wskazuje też na to, że także najbliżsi doradcy prof. Gersdorf dość sceptycznie oceniali szanse na utrzymanie status quo w Sądzie Najwyższym poprzez nominację Iwulskiego. Stąd 10 dni przed ustąpieniem byłej już I prezesa przeprowadziła ona akcję wymierzoną w sędziów SN kojarzonych z obozem dobrej zmiany.

20 kwietnia wydała decyzję o zawieszeniu Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego (prowadzi ona postępowania dyscyplinarne wobec sędziów) od rozpatrywania spraw. Sędziowie izby, jak orzekła prof. Gersdorf, nie mogą ani przyjmować spraw do rozpoznania, ani wydawać orzeczeń.

Oficjalnie miało to być wykonanie decyzji Trybunału Sprawiedliwości UE, który 8 kwietnia zawiesił Izbę Dyscyplinarną. Tyle że w praktyce TSUE nie miał prawa wydać takiej decyzji wobec konstytucyjnego organu państwa polskiego. Pismo z żądaniem wyjaśnienia swoich działań w tej sprawie skierował już do prof. Gersdorf szef Prokuratury Krajowej Bogdan Świączkowski. „To nie jest normalna praktyka, że Prokurator Krajowy zwraca się do prezesa SN z żądaniem wyjaśnień w sprawie podejmowanych przez niego decyzji. Do tej pory się z tym nie spotkałem” – mówił sędzia

Dziesięć dni przed ustąpieniem I prezes SN przeprowadziła akcję wymierzoną w sędziów kojarzonych z obozem dobrej zmiany

Michał Laskowski, wówczas rzecznik SN, w rozmowie z portalem OKO.press.pl.

Z kolei prof. Genowefa Grabowska uważa, że to właśnie prof. Gersdorf jako I prezes SN, zawieszając Izbę Dyscyplinarną, przekroczyła kompetencje władzy sądowniczej. – Było to absolutnie wyjście poza kompetencje Sądu Najwyższego, bo nie jest on od przeprowadzania zmian legislacyjnych – stwierdziła prof. Grabowska w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl.

W ubiegły czwartek przed południem prezydent Andrzej Duda powołał na stanowisko czasowo pełniącego obowiązki I prezesa Sądu Najwyższego prof. Kamila Zaradkiewicza, doświadczanego prawnika, do 2016 r. dyrektora Zespołu Orzecznictwa i Studiów w Trybunale Konstytucyjnym, a od 2018 r. sędziego Sądu Najwyższego. Z Trybunału Konstytucyjnego Zaradkiewicz został zwolniony po naciskach grupy sędziów i ówczesnego prezesa TK Andrzeja Rzeplińskiego, którym nie podobało się, że w medialnych wypowiedziach nie podzielał przyjętej przez część sędziów TK narracji krytycznie oceniającej dokonywane przez PiS zmiany personalne w Trybunale.

ZARADKIEWICZ, LEMAŃSKA, MANOWSKA CZY DEMENDECKI?

Nowy pełniący obowiązki I prezes SN będzie musiał teraz zorganizować w możliwie najkrótszym terminie posiedzenia Zgromadzenia Ogólnego Sędziów Sądu Najwyższego i wyłonić pięciu kandydatów na I prezesa SN. Czy sędziowie związani z obozem dobrej zmiany mają szansę objąć ten urząd? Dzisiaj w Sądzie Najwyższym nowi sędziowie wciąż jeszcze są w mniejszości, jednak na ich korzyść działa mocne frakcyjne rozwarstwienie wśród wieloletnich sędziów SN.

– Wszystko zależy od tego, czy sędziowie kojarzeni z tzw. pravicową opcją wyłonią i poprą jednego kan-

dydata. Bo oni też są mocno podzieleni w różnych sporach – uważa nasz informator związany z Ministerstwem Sprawiedliwości. – No i najważniejsze – czy prezydent, wskazując pełniącego obowiązki prezesa SN, chciał w ten sposób już kogoś namaścić, czy tylko wskazać rzeczywiście chwilowego „komisarza” – dodaje.

W obozie prezydenckim nieoficjalnie mówi się, że Andrzej Duda widziałby w roli I prezesa Sądu Najwyższego dr hab. Joannę Lemańską, powołaną w 2018 r. przez niego na sędziego w nowo powstałej Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. Jest ona uważana za dobrą znajomą prezydenta i cieszy się jego szacunkiem. Według naszych informatorów dr hab. Lemańska nie bardzo chciała ubiegać się o fotel I prezesa SN, obawiając się oskarżeń, że karierę prawniczą zawdzięcza koleżeńskim relacjom z Andrzejem Dudą.

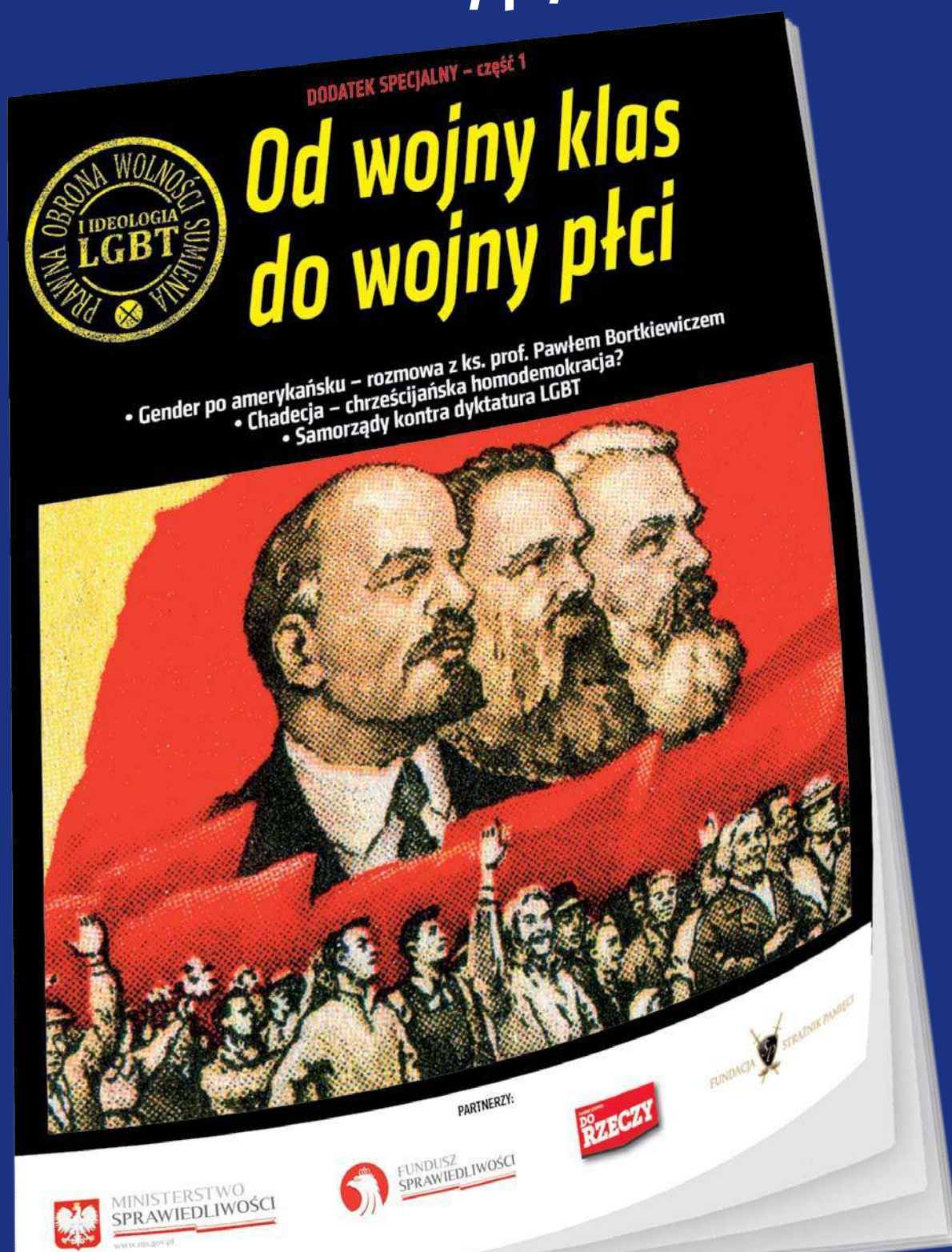
– Bardzo intensywnie jest też promowana, choć zakulisowo, przez środowiska Zbigniewa Ziobry, kandydatura pani sędzi prof. Małgorzaty Manowskiej – mówi nasz informator, sędzia Sądu Najwyższego. Manowska jest od 2016 r. dyrektorem Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury, a od 2018 r. sędzią Sądu Najwyższego. Wcześniej, w 2007 r., była wiceministrem sprawiedliwości w resorcie Ziobry.

– Pytanie, jak podejdzie do tego prezydent, patrząc przez pryzmat jego niezbyt ciepłych relacji z Ziobrą. Ta grupa ma też innych kandydatów, ale na razie są oni ukrywani, żeby ich nie „spalić” – twierdzi nasz informator, sędzia Sądu Najwyższego.

O ewentualnych kandydaturach prof. Lemańskiej i prof. Manowskiej media już informowały. Nasze źródła twierdzą, że w grze może pojawić się jeszcze jeden kandydat, popierany przez część środowiska prawniczego bliskiego prawicy, który dotąd w medialnych spekulacjach nie występował i przynajmniej na razie oficjalnie nie zadeklarował woli kandydowania.

Chodzi o sędziego Sądu Najwyższego – prof. Tomasza Demendeckiego, wykładowcę UMCS, członka Kolegium SN, specjalizującego się w prawie procesowym cywilnym. W 2007 r. zasiadał on w komisji międzyresortowej ds. wolności działalności gospodarczej przy Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
www.dorzeczy.pl/dodatki



WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

Szable Gowina

Jeżeli ktokolwiek sądził, że spór między Jarosławem Gowinem a Jarosławem Kaczyńskim to polityczny teatr, to dziś nie powinien mieć wątpliwości, że się mylił. Symboliczny Rubikon został przekroczony 6 kwietnia, a dziś obserwujemy jedynie burzliwy epilog procesu, będącego wypadkową ambicji i różnych wizji polityki dwóch liderów partii, oficjalnie nadal stanowiących trzon Zjednoczonej Prawicy. Tyle że nawet jeśli do rozpadu koalicji teraz nie dojdzie, to – jak pisał swego czasu Jarosław Marek Rymkiewicz: „To, co nas podzieliło, już się nie sklei”. Dotyczy to również samego Porozumienia.

„GOWIN JEST U NAS PRZEGRANY”

Nie sklei się zwłaszcza pomiędzy PiS a Jarosławem Gowinem i wiernymi mu ludźmi. Spekulacje na temat głosowania przeciw większości rządowej oraz ostentacyjne spotkania z liderami opozycji podzielały bowiem na część PiS-owskich radykałów jak czerwona płachta na byka. „Elżbieta Witek jest marszałkiem Sejmu, a Jarosław Gowin aktualnie szeregowym posłem. Jeżeli ktoś w tzw. Porozumieniu uważa, że dla czyichś chorych ambicji Prawo i Sprawiedliwość zgodzi się na jakiegokolwiek zmiany, to się myli” – zadeklarował na Twitterze Ryszard Terlecki, komentując doniesienia sugerujące, że PO miała obiecywać Gowinowi fotel marszałka w zamian za pomoc w odrzuceniu majowych wyborów. „Ataki na Jarosława Gowina, jednego z liderów Zjednoczonej Prawicy, to przejaw skrajnej nieodpowiedzialności i próba rozbicia naszej koalicji. Wzywam do opamiętania! Siła Zjednoczonej Prawicy to wspólnota i jedność, nie psujcie tego!” – odpisał Michał Wypij, jeden z posłów Porozumienia, co do wierności których były wicepremier wątpliwości nie ma. W PiS, choć nie tak otwarcie, wielu posłów podziela jednak zdanie marszałka Terleckiego.

– Gowin jest u nas przegrany. Wiemy, że on i jego ludzie nie spalili za sobą mostów w PO. Ich młodzieżówki od dawna chodzą razem na piwo, a z PiS „Gowiny” nigdy nie chcą. To są niby małe rzeczy, ale w polityce takie detale zdradzają intencje – mówi „Do Rzeczy” jeden z polityków rządowych. – Nie wiem tylko, na co ci ludzie liczą poza Zjednoczoną Prawicą? O ile Gowin może próbować zostać trzecim tenorem Koalicji Polskiej, o tyle jego tabory są tam już zbędne – uważa.

FOT. JACEK DOMINIAK/REPORTER



Marcin Makowski

Od Jarosława Gowina i minimum czterech posłów zależy dziś nie tylko to, kiedy pójdziemy do wyborów prezydenckich, lecz także los Zjednoczonej Prawicy. Na ile szabel może liczyć lider Porozumienia?

Chociaż sam Gowin deklaruje, że „nie ma planów rozbijania Zjednoczonej Prawicy, co byłoby przejawem skrajnej nieodpowiedzialności”, to wajcha została już przestawiona. – To jawne rzucenie rękawicy Jarosławowi Kaczyńskiemu, tak samo jak niegdyś Gowin podważył przywództwo Donalda Tuska w Platformie. Wiemy, co się potem wydarzyło – mówi jeden z polityków Porozumienia.

Również politycy opozycji nie ukrywają, że coś jest na rzeczy. „Zachęcam Jarosława Gowina do wstąpienia do frakcji zdrowego rozsądku” – mówił na łamach „Do Rzeczy” Władysław Kosiniak-Kamysz, kandydat Koalicji Polskiej na prezydenta. Nie jest tajemnicą, że politycy od lat lubią się i cenią, spotykając się niekiedy na prywatnych rozmowach w Krakowie.

PRÓBY MEDIACJI

Problem polega na tym, że nawet jeśli niektórzy widzą już szefa Porozumienia „mentalnie w opozycji”, to partyjna układanka i realia negocjacji nie układają się w tej chwili w ten obraz. Chociaż przedstawiciele tej partii spotkali się na kilku naradach z kierownictwem Platformy, to w kularowych dyskusjach nie ukrywają swojego rozczarowania przedstawianymi propozycjami. – Budka się niestety skompromitowała. Nie uzgodnił swojego stanowiska z Lewicą i PSL, dlatego te z miejsca je odrzuciły. Koncepcja przełożenia wyborów o rok zakłada również zmiany ustawowe, czyli podpis prezydenta. A tego nie będzie – mówił po pierwszym spotkaniu jeden z naszych informatorów.

Sam prezydent postanowił wystąpić w roli mediatora pomiędzy PiS a Porozumieniem, zapraszając Gowina i jego parlamentarzystów na spotkanie w pałacu 27 kwietnia. Dyskusja trwała 2,5 godziny i miała być utrzymana w tonie koncyliacyjnym. Po niej, jak twierdzi jeden z posłów partii rządzącej, miało jednak dojść do kolejnego spotkania. – Po spotkaniu Gowina z Dudą odbyło się drugie, wewnętrzne spotkanie Porozumienia z Gowinem – słyszymy. – Miał na nim tłumaczyć przed częścią niezadowolonych posłów, że nie ma ochoty iść na wybory z opozycją, uciekał również od zwołania ciał statutowych.

Kluczowym zagadnieniem, które pomoże w ustaleniu autentycznej liczby „szabel Gowina”, jest realny podział w jego własnej partii.

– Jarosław Gowin stracił większość we własnym klubie. Wiemy, że istnieje grupa posłów dążących do zwołania prezydium

Przy rozpadzie koalicji część posłów Porozumienia ma być skłonna do zasilenia PiS. Wahać ma się nawet bliska Gowinowi Jadwiga Emilewicz

i zarządu. Jestem przekonany, że Jarek zostałby przegłosowany, gdyby chciał wyjść z koalicji. Mimo że ciała statutowe powinny konsultować decyzje, nie są używane. On chyba zrozumiał, że jeśli dalej będzie szedł na czołowe zderzenie z PiS, to może się to skończyć rozłamem – odpowiada jeden z ważnych polityków prawicy, gdy pytam o sytuację u koalicjanta. Podobne plotki, przecieki i spekulacje mówią wiele zarówno o nastrojach wewnątrz Porozumienia, jak i całej Zjednoczonej Prawicy. Gdy zapyta się o nie ludzi kojarzonych z Gowinem, spotyka się jednak z ostrą kontrą. – To bzdura. Posłowie mają różne zdania, dyskutujemy, ale żaden rozłam nam nie grozi. Prezes ma pełną kontrolę nad partią, a ciała statutowe nie są zwoływane, bo panuje pandemia. Jak mielibyśmy to niby zrobić? – replikuje jeden z ważnych posłów Porozumienia. Jak dodaje, wiele zarządów okręgów partii podziela podobne stanowisko, wydając uchwały, aby majowe głosowanie odbyło się zgodnie z rekomendacją prezesa. W wielu rozmowach przewija się również wątek rozgoryczenia działaczy Porozumienia, którzy „traktowani są w terenie przez PiS z góry” i którym przestaje się to podobać.

KTO LOJALNY, KTO ZA ROZŁAMEM

W partii dużo mówi się także o „rozłamowcach”, którzy byliby chętni dołączyć do PiS, gdyby doszło do rozpadu koalicji. Według informacji „Do Rzeczy” należeć do nich mają – z posłów – Włodzimierz Tomaszewski, Michał Cieślak i Jacek Żalek, który po dymisji Gowina i sprzeciwie wobec jego stanowiska, otrzymał tekę wiceministra w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej. Oprócz nich aktywnym przeciwnikiem Gowina ma być również minister Zbigniew Gryglas, który rzekomo osobiście zaangażował się w proces „wyławiania” działaczy Porozumienia, oraz europoseł i rzecznik sztabu Andrzeja Dudy – Adam Bielan. Jak głosi jeden z powtarzanych w PiS żartów, o tym, że Bielan należy do Porozumienia, Jarosław Kaczyński miał się dowiedzieć,

gdy obejrzał w telewizji jedną z konwencji partii w Krakowie.

Bardzo ciekawie, również pod względem osobistym, wygląda natomiast sytuacja Jadwigi Emilewicz, która politycznie dorastała u boku Jarosława Gowina i przejęła po nim funkcję wicepremiera. – Jadwiga jest wyraźnie rozdarta między lojalnością wobec partii a premiera Morawieckiego, z którym blisko współpracuje. Walka, która się w niej toczy, jest ciekawa – słyszę z ust jednego z posłów Porozumienia.

Na kogo w takim razie Jarosław Gowin może liczyć, gdy przyjdzie majowa próba sił w Sejmie? Tutaj giełda nazwisk, w zależności od rozmówcy, potrafi się znacznie różnić, ale kilka pojawia się wielokrotnie. Są to: Andrzej Sośnierz (autor „Planu Sośnierz”, promowanego przez Gowina jako uzupełnienie Tarczy Antykryzysowej), Michał Wypij, Wojciech Maksymowicz i Andrzej Gut-Mostowy. Razem z głosem szefa Porozumienia to akurat pięć osób, które kruchą większość koalicyjną 235 posłów mogą zamienić z opozycją w minimalną mniejszość, uniemożliwiając przeprowadzenie głosowania korespondencyjnego w maju.

W wariantach dla Gowina bardziej optymistycznych za „lojalistów” uważa się również posłów: Kamila Bortniczuka (na znak solidarności z Gowinem złożył dymisję z funkcji wiceministra funduszy i polityki regionalnej), rzecznik partii Magdalenę Srokę, Iwonę Michałek, Grzegorza Piechowiaka, Annę Banaszek-Dąbrowską, Stanisława Bukowca i Mieczysław Waszkę.

Czym to się może skończyć? – Myślę, że gowinowcy zgłoszą za wyborami korespondencyjnymi przeprowadzonymi pod koniec maja albo w sierpniu. Inaczej partia im się rozpadnie, a Bielan czy Emilewicz chętnie swojego przełożonego zastąpią – mówi jeden z polityków PiS. Inny dodaje, że wyjściem z twarzą dla wszystkich byłoby wprowadzenie krótkotrwałego stanu klęski żywiołowej ze względu na suszę i wybory korespondencyjne w sierpniu. Ten wariant – kompromisowy – ma według polityków Porozumienia popierać również polski episkopat. – To i tak wszystko spekulacje. Jeśli nie uda się porozumieć i zgłoszemy przeciw, to może się wydarzyć wszystko. Łącznie z rządem, który podaje się do dymisji i przedterminowymi wyborami – mówi na koniec jeden z naszych informatorów. Tak wygląda dzisiaj „nowa normalność” w polskiej polityce. Nie ma już od niej odwrotu.



Rafał A. Ziemkiewicz

Słabość Małgorzaty Kidawy-Błońskiej i całego obozu anty-PiS wynika z tego, że wyborcy postanowili ukarać opozycję za jej zachowanie podczas pandemii

Media sympatyzujące z PO starają się na różne sposoby zbagatelizować sondaże, w których kandydatka największej partii opozycyjnej zajmuje czwarte albo nawet piąte miejsce. Tych sondaży jest jednak coraz więcej i pokazują mniej więcej to samo, niezależnie od tego, czy pochodzą z pracowni częściej współpracujących z mediami przychylnymi rządowi, czy opozycyjnymi. Jeden z pierwszych w tej fatalnej dla PO serii, a tym samym najbardziej szokujących, w którym Małgorzata Kidawa-Błońska z poparciem 4 proc. ulokowała się na samym końcu stawki, przeprowadziła firma od lat prowadząca badania m.in. dla TVN 24 i „Gazety Wyborczej”.

Groteskowa przepychanka między Grzegorzem Schetyną a Borysem Budką, którzy w ostatnich dniach odcięli się od autorstwa tej kandydatury, przypisując jej sobie nawzajem, pokazuje, jak poważna jest sytuacja. Oficjalnie jednak opozycja usiłuje rozbroić sytuację, podkreślając, że sondaże pokazują niską frekwencję. Ma to dowodzić, że elektorat PO posłuchał wezwań Małgorzaty Kidawy-Błońskiej do bojkotu wyborów – choć ona sama zaprzecza dziś, że do tego wzywała, zapewniając, że ze startu nie rezygnuje. Udzieliła zresztą w tej kwestii już tylu sprzecznych i niejasnych wypowiedzi, że trudno powiedzieć, jakie właściwie jest jej stanowisko. Wyborcy PO, twierdzą politycy tej partii, zgodnie z wezwaniem, którego podobno nie było, mówią ankieterom, że nie wezmą w wyborach udziału, by w ten sposób zaprotestować przeciwko ich terminowi i formie, więc nie są liczeni, ich zniknięcie jest tylko pozorne.

ŚMIERTELNE ZAGROŻENIE

Nawet gdyby to było prawdą – a nie musi, wspomniany pierwszy z serii sondaży, przeprowadzony przez Kantar, pokazy-



Znikająca kandydatka, znikająca partia

wał frekwencję 47 proc., a inne ok. 40 proc. – to takie zjawisko jest dla PO bardzo groźne, oznacza bowiem, że jej elektorat jest kompletnie zdemobilizowany. Bardzo możliwe, że udzielił mu się nastrój, który wyraził znany z nienawistnych wypowiedzi wobec obecnej władzy aktor Maciej Stuhr, oznajmiając, że właściwie to niech już sobie PiS bierze wszystko, rządzi niepodzielnie i (w domyśle) doprowadzi kraj do katastrofy, nie ma z tym co walczyć.

Jeśli z kolei, jak twierdzi część opozycji, elektorat antypisowski nie poddał się rezygnacji, tylko chwilowo przestał odpowiadać na pytania ankieterów (pomijając, że to dość karkołomna koncepcja), to to również oznacza dla PO śmiertelne zagrożenie. Wiadomo bowiem z badań już od dawna, że większość jej wyborców popierała partię Schetyny, a obecnie Budki, wyłącznie dlatego, że widziała w niej największą siłę antypisowską. Jeśli sondaże

temu zaprzeczą, to elektorat mobilizowany dotąd argumentem, że „duża” POKO może skuteczniej walczyć z PiS niż „mała” partia opozycji, zacznie się rozchodzić – jedni do Lewicy, inni do wchodzącego w rolę chadeckiej centroprawicy PSL.

A sondaże partyjne wyglądają dla PO może nie tak tragicznie jak prezydentura – lecz także niekorzystnie. I z wyżej opisanego powodu niewiele sensu ma pocieszanie się, że po „swojej” stronie PiS również traci w nich do Konfederacji, bo tam analogicznego mechanizmu nie ma.

KONSEKWENCJE TOTALNOŚCI

Wracając do sondaży prezydenckich, zastanawiającym zjawiskiem jest, że tapnięcie notowań Małgorzaty Kidawy-Błońskiej nie przekłada się na proporcjonalny wzrost popularności jej antypisowskich konkurentów. Władysław Kosiniak-Kamysz wychodzi na drugie miejsce nie dlatego, że jego notowania tak bardzo wzrastają, tylko dlatego, że jego rywale aż tak spadły. Robert Biedroń wypada niezwykle blado i coraz gorzej, lepiej od niego radzą sobie Szymon Hołownia i Krzysztof Bosak – ale wszyscy pozostają pod granicą 10 proc.

Może to dowodzić trafności twierdzeń, że elektorat PO konsekwentnie trzyma się na boku i nie przenosi poparcia na nikogo innego, tylko odmawia uczestnictwa w wyborach (przeczą temu z kolei sondaże partyjne, w których nie pyta się o konkretne wybory, jak w wypadku prezydenckich, tylko o teoretyczne preferencje). Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak inne wyjaśnienie.

A mianowicie – że słabość Małgorzaty Kidawy-Błońskiej jako kandydatki nie jest wcale jedynym problemem PO i że to nie tylko ona traci poparcie, i nie tylko jej partia, lecz także cały obóz anti-PiS.

To zaś można wytłumaczyć tylko w jeden sposób: że wyborcy, na razie w sondażach, postanowili ukarać opozycję za jej zachowanie podczas epidemii. I mnie osobiście wydaje się to wyjaśnieniem najbliższym prawdy.

PO i jej akolici, wierni formule „opozycji totalnej”, konsekwentnie postawili bowiem na wykorzystywanie epidemii do tego, żeby Polaków nastraszyć. Roztoczyć przed nimi obraz nieopisanego grozy w przekonaniu, że samo z siebie spowoduje to masowe odwrócenie się od władzy. Na każdym kroku media i liderzy opozycji podkreślali, że PiS „ukrywa prawdę” (przypomnijmy sobie tyleż groteskowe, co szeroko cytowane „Przestańcie kłamać!” kandydatki do

prezydentury), że ukrywa prawdziwe dane o liczbie zachorowań, zaniża rzeczywistą liczbę zgonów i celowo nie wykonuje testów, aby poprawić statystyki. Jednocześnie rozsiewali oni pełne grozy opowieści o tragicznym stanie służby zdrowia, braku podstawowych środków ochronnych albo o braku certyfikatów bezpieczeństwa dla tych, które rząd zaimportował z Chin (co było zresztą zwykłym kłamstwem, jednym z wielu w tej kampanii). Wszystko to miało stworzyć wrażenie, że zaraz dojdzie u nas do tragedii jeszcze większej niż we Włoszech i Nowym Jorku i wszyscy pomrzemy.

Nawet nie o to chodzi, że to straszenie zweryfikowała negatywnie rzeczywistość – od niemal miesiąca dzienna liczba nowych przypadków trzyma się na stabilnym poziomie między 300 a 400, czego w tak długim okresie fizycznie nie dałoby się osiągnąć żadnym fałszowaniem statystyk czy zaniżaniem liczby testów. Strategia przyjęta przez PO była marketingowym strzałem we własną stopę i nie zmieniłoby tego nawet, gdyby – zakładając scenariusz włoski – opozycja się nie myliła. Ludzie bowiem nie lubią tego, kto ich straszy. Nawet gdy przerażające zapowiedzi się spełniają, ten, kto zapowiadał nieszczęście, podświadomie uważany jest za współwinnego. To elementarna psychologia i trudno zrozumieć, dlaczego anti-PiS zabrnął w propagandę siania paniki tak głęboko. Ba, sposób rozgrywania sporu o korespondencyjne wybory pokazuje, że mamy tu do czynienia z szaleństwem bardzo uporczywym.

Ustawa o wyborach korespondencyjnych mogła PiS dużo kosztować, bo po stronie rządzących też zupełnie zawiodła komunikacja – nie umieli oni wyjaśnić, dlaczego wybory w terminie konstytucyjnym uważają za konieczne, przez co w powszechnym odbiorze postawa PiS odbierana jest jako niepotrzebny upór. Gdyby opozycja wystąpiła z narracją zdroworozsądkową, kładąc nacisk na argument, że tak skomplikowanego przedsięwzięcia nie da się przygotować tak szybko, na dodatek w czasie epidemii, że kraje, które (na co powołują się media prorządowe) przeprowadzały ostatnio wybory korespondencyjne, stosują tę procedurę od dawna i nie wprowadzały jej w dwa tygodnie – prawdopodobnie miałaby w tej sprawie społeczeństwo po swojej stronie. Jednak opozycja totalna jak zwykle przeobrażała, żeby straszyć – zaczęła mówić o „śmiercionośnych kopertach” pełnych wirusów, o „wyborach śmierci”, „zabójczej poczcie”. Łatwo wykazać władzy, że opinie autoryte-

tów medycznych są dokładnie przeciwnie, zarażenia przez papier zgodnie uważają one za bardzo mało prawdopodobne.

A w sytuacji, gdy poczta i firmy kurierskie dostarczają do domów codziennie więcej przesyłek niż przed epidemią, wydają się te „koperty śmierci” zwyczajnie śmieszne. Czego symbolem stało się popularne w Internecie zestawienie dwóch tekstów, zawieszonych na stronach „Gazety Wyborczej” tego samego dnia: w pierwszym gazeta straszy, że „jeden listonosz może zarażać nawet kilka tysięcy odbiorców”, w drugim namawia, żeby ją zaprenumerować „na najbliższej poczcie albo u listonosza”.

W efekcie, mimo że sondaże pokazały generalnie nieufne i niechętnie podejście Polaków do majowych wyborów (aż 70 proc. wołałoby je przełożyć), to w żaden sposób nie przełożyło się to na popularność zarówno rządzących, jak i opozycji.

GORSZE, LEPSZE CZASY

Wydaje się, że to ciągłe propagandowe „przegrzewanie” jest immanentną cechą liberalno-lewicowej elity. Najprawdopodobniej wynika to z jej zamknięcia się we własnej medialnej „bańce” i utracie kontaktu z ogółem wyborców, który zwyczajnie odrzuca trwający od lat nieustanny krzyk o zamachu stanu, końcu demokracji i nadejściu totalitaryzmu.

A dodatkowo potęguje efekt odrzucenia koncepcyjna bezradność liberalno-lewicowych elit. Niezdolne stworzyć strategii, która mogłaby doprowadzić do sukcesu, stale wmawiają one sobie, że „wystarczy być” i głośno protestować, a PiS pokona ktoś inny – lęk, że „wyrzucą nas z Europy”, antyklerykalny film albo śmiercionośna epidemia; ostatnio te nadzieje związane są z kryzysem gospodarczym, myśl strategiczna opozycji wyraźnie wyczerpuje się na tym, by odłożyć wybory na później, bo „później” przyjdzie wielka bieda, bezrobocie i susza, i ludzie wreszcie się od PiS odwrócą, tak że nawet tak słaba kandydatka, którą wystawiono, wyda im się lepsza.

To wcale tak nie musi zadziałać. Podobnie jak zdołał rząd, przynajmniej na razie, przekonać Polaków, że w sprawie epidemii zrobił wszystko, co się dało, może także przekonać wyborców do tego samego, gdy dojdzie do załamania gospodarczego. Na pewno będzie tego próbował. I jeżeli jedyną odpowiedzią opozycji będzie dalsze podkręcanie negatywnych emocji i straszenie, to może mu się udać.

Podczas epidemii i hibernacji gospodarki nie zahibernowali się niestety antysamochodowi aktywiści, wśród których szczególne miejsce zajmuje warszawskie stowarzyszenie o bezpretensjonalnej nazwie Miasto Jest Nasze. Ich aktywność była spowodowana spektakularnym zawaleniem się narracji, nad której utrwaleniem pracowali przez lata: że samochody w stolicy (i nie tylko tam) odpowiadają za większą część smogowego zanieczyszczenia powietrza. I oto okazało się, że w czasie, gdy ruch samochodowy według pomiarów zmniejszył się o minimum jedną trzecią, smog nie tylko nie zmalał, lecz także był większy niż podczas całej zimy, nie tylko zresztą w stolicy. Tam jednak wzrost był szczególnie wyraźny: dla cząsteczek pyłu PM 2,5 normy w niemal wszystkich miejscach pomiaru w Warszawie zostały przekroczone 400-, a nawet 500-krotnie. Antysamochodowi aktywiści musieli się jakoś z tym problemem uporać, więc wymyślili, że zapylenie jest skutkiem... mniejszego natężenia ruchu. Skoro bowiem aut jest mniej, to jeżdżą szybciej, a jeżeli jeżdżą szybciej, to powodują – uwaga – „unos wtórny”. Logicznie rzecz biorąc, należałoby jak najszybciej zwiększyć ruch do poprzedniego poziomu – wówczas zapylenie by zmalało.

Aktywiści musieli obserwować rozwój sytuacji z największym niepokojem, bo decyzje wielu miast w Polsce o zawieszeniu poboru opłat za parkowanie – w tym znajdujących się skądinąd w fatalnej sytuacji finansowej Krakowa, Gdyni, Kielcy czy częściowo Łodzi – wróżyły dla nich niedobrze. Decyzje uzasadniano tym, że transport indywidualny w czasie epidemii jest znacznie bezpieczniejszy niż zbiorowy, nawet poddany reżimowi sanitarnemu. Po tymczasowym zniesieniu opłat wciąż pracujący mieszkańcy mogli dojeżdżać do pracy własnymi autami i bezkosztowo zostawiać je pod miejscem pracy na cały dzień. A przecież mówimy o sytuacji, gdy w transporcie publicznym było i tak bardzo pusto – co będzie się zmieniać w miarę odmrażania gospodarki.

UPÓR W STOLICY

Nieugięty pozostał prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Z fanatycznym uporem trwał przy opłatach parkingowych, twierdząc, że nie można ich zawiesić, bo ustałaby wówczas rotacja miejsc. Tyle że w okresie, o którym mowa – czyli od mniej więcej połowy marca do połowy kwiet-



Co zmieni pandemia



Łukasz Warzecha

Pandemia będzie mieć wiele skutków fatalnych, ale mogą też z niej wyniknąć rzeczy dobre. Poepidemiczna rzeczywistość oznaczać będzie starcie pragmatyków z ideologicznie nakręconymi fanatykami rozwiązań, które w żaden sposób nie będą się bronić. Kto wygra? Zobaczmy

nia – w tych rejonach stolicy, gdzie zwykle miejsca do zaparkowania można było szukać przynajmniej kilkanaście minut, teraz było pustawo i żadne wymuszanie rotacji miejsc parkingowych nie było potrzebne. Trudno więc opór Trzaskowskiego tłumaczyć inaczej niż, po pierwsze, jako prymat ideologii nad zdrowym rozsądkiem i bezpieczeństwem ludzi oraz, po drugie, skutek niechęci do przyznania racji opozycji, bo to między innymi ona w stolicy domagała się zawieszenia opłat. Żeby uniknąć kompletnej kompromitacji, Trzaskowski zwołał z opłat parkingowych kilka grup pracowników medycznych.

Mało tego, jakby chcąc pokazać, że nie ma mowy o żadnych kompromisach w kwestii indywidualnego transportu samochodowego, warszawski Zarząd Dróg Miejskich podjął kuriozalną decyzję o przeniesieniu na stałe parkowania na wielu ulicach z chodnika na jezdnię. To faktycznie oznacza po prostu zwężenie tych ulic.

„Takie zmiany muszą być stałe, bo świat po pandemii będzie inny niż ten, który znamy” – pompatycznie ogłasza ZDM na swojej stronie, wyjaśniając, że samochody muszą zostać przemieszczone na jezdnię, żeby na chodniku piesi mieli więcej miejsca na wymijanie się. To tłumaczenie w oczywisty sposób dęte. Tam, gdzie ruch pieszych jest na tyle intensywny, że bezpieczne wymijanie się byłoby problemem, samochody i tak na chodnikach parkować nie mogą.

Warszawa postanowiła też – mimo ogromnych kontrowersji związanych z tym projektem – wyrzucić 18 mln zł na fatalną w skutkach dla ruchu samochodowego i kompletnie niepotrzebną przebudowę położonego w samym centrum miasta, przy Dworcu Centralnym, ronda Czerdziestolatka oraz zwężenie tuż obok al. Jana Pawła II. Prace mają się rozpocząć w najbliższych tygodniach. W ten sposób stolica idzie pod prąd trendowi, który widać już w sondażach. Instytut



FOT. ARKADIUSZ ŁAWRYNIAK/EPIDEMIA

niemal puste. To dla przemieszczających się oznacza nierzadko po prostu przymus skorzystania z własnego auta.

W OBLICZU RECESJI

Gdy wreszcie zniesione zostaną ograniczenia dotyczące handlu, a zarazem – co wydaje się nieuchronne – bezrobocie będzie bliżej 20 niż 10 proc., pojawi się presja, aby maksymalnie uelastyczyć zasady regulujące biznes. Na razie rząd skapitulował przed związkowcami i zrezygnował z zapisów w kolejnej gospodarczej specustawie, które miały między innymi umożliwić zwalnianie zdalnie czy obniżenie wymiaru pracy i wynagrodzenia o 10 proc. bez zgody pracownika.

W grze jest jednak zakaz handlu w niedzielę – jedna z najbardziej kontrowersyjnych decyzji obecnej władzy. W tym roku obejmuje on już co do zasady wszystkie niedziele, wyłączając te przed świętami. To jednak oznacza, że w czasie nieuchronnego kryzysu, skurczenia się gospodarki i – co chyba najważniejsze – drastycznego wzrostu bezrobocia z handlu wyłączony będzie jeden dzień w tygodniu. To z kolei wiele miejsc pracy mniej.

Badania pokazują systematyczny spadek poparcia dla zakazu handlu, ale robiono je jeszcze, nim konsekwencje tapnięcia gospodarczego stały się widoczne. Większej zmiany w nastrojach możemy się spodziewać ok. połowy roku, gdy pełny wymiar gospodarczego dramatu będzie już widoczny. Jedno z najnowszych badań, uwzględniających nastawienie Polaków w latach 2018 i 2019 (Quality Watch na zlecenie Rejestru Dłużników BIG InfoMonitor), pokazało, że z 31 do 34 proc. wzrósł odsetek tych, którym zakaz handlu przeszkadza, nie zmienił się odsetek tych, którym jest obojętny (36 proc.), a spadek tych, którym zakaz pasuje – z 33 do 30 proc. Mamy zatem nieznacznie, ale jednak, więcej przeciwników zakazu niż jego zwolenników – i to przed epidemią oraz przed wejściem w życie pełnego zakazu. Może się okazać, że jeżeli jego zniesienie będzie oznaczało stworzenie choćby kilkudziesięciu tysięcy miejsc pracy, to presja społeczna okaże się przemożna. Żale i pretensje Piotra Dudy, przewodniczącego Solidarności, niewiele wtedy pomogą.

Z powodu pandemii na dalszy plan zszedł temat, który miał być jednym z głównych wątków kampanii prezydenckiej: Europejski Zielony Ład – nieprawdo-

podobnie drogi plan przestawienia kontyentu na zielone tory. Sam koszt rocznych inwestycji w europejską energetykę w ramach EZŁ jest szacowany na 290 mld euro! Tymczasem cały pakiet pomocowy związany z wprowadzeniem EZŁ ma wynieść raptem 100 mld euro, a europejski Fundusz Sprawiedliwej Transformacji, zgodnie z propozycją złożoną ostatnio w Parlamencie Europejskim (której akceptacja nie jest pewna), niespełna 18 mld euro. Wcześniej była mowa o trochę ponad 7 mld euro. To śmieszne kwoty w porównaniu z kosztami. W dodatku o podział tych pieniędzy mogą się za moment rozpocząć ostre spory. O ile dotąd mogliśmy mieć nadzieję, że zyskamy najwięcej jako ci, którzy muszą w zmianę energetyczną włożyć najwięcej pieniędzy, o tyle teraz może się pojawić presja ze strony państw najmocniej dotkniętych epidemią – głównie Włoch i Hiszpanii – żeby fundusz w jakiś sposób zrekompensował straty ich gospodarek.

Na razie państwa UE są zajęte walką z epidemią, ale decyzje o kształcie EZŁ miały zapaść już w czerwcu. Zieloni ideolodzy oraz ci, którzy na nowym porządku zarobią, będą oczywiście przeciwni do utrzymania planu działania, lecz w obliczu bezprecedensowej recesji podtrzymywanie propozycji, które nawet dla gospodarek znacznie prężniejszych niż polska byłyby potężnym ciężarem, wydaje się karkołomne. Tymczasem o toczącym się procesie politycy jak gdyby zapomnieli – z polskiej debaty publicznej temat właściwie zniknął, a przecież jeśli dotychczasowe założenia EZŁ nie zostaną zakwestionowane, to Polaków poza recesją czeka drastyczny wzrost kosztów życia w każdej dziedzinie. O tym zagrożeniu podczas dziwnej niby-kampanii wyborczej wspominał jedynie kandydat Konfederacji Krzysztof Bosak, wzywając polski rząd do wypowiedzenia unijnego pakietu klimatycznego.

MORDERCZY CIĘŻAR

Dobrze byłoby, gdyby powtarzana często fraza, że „świat po pandemii nie będzie już taki sam”, w praktyce oznaczała zakwestionowanie niektórych ideologicznie motywowanych dogmatów, także socjalnych czy klimatystycznych. To, co można było wcześniej uznać za bardzo kosztowną (koszt ponosimy oczywiście my) zabawę części elit, teraz nałoży na nas ciężar wręcz morderczy. I na to nie powinniśmy się godzić.

Badania Zachowań Społecznych przeba-
dał niedawno reprezentatywną grupę
1002 osób, pytając, jak zmienia się ich
obyczaje po epidemii. 80 proc. zadeklaro-
wało, że będą się poruszać głównie samo-
chodem („głównie” nie znaczy oczywiście,
że wyłącznie) – w tym znalazło się 5 proc.
osób korzystających dotychczas z trans-
portu publicznego. Uzasadnieniem jest
bezpieczeństwo zdrowotne.

W tej sytuacji działania warszawskiego
ratusza oraz aktywistów takich jak ci z MJN
idą wbrew nie tylko sentymentowi spo-
łecznemu, lecz także zdrowemu rozsąd-
kowi i bezpieczeństwu Polaków. Tendencja
do korzystania przede wszystkim z wła-
snego auta będzie zresztą prawdopodobnie
światowa. Politycy, którzy umieją od-
czytywać nastroje, powinni zrezygnować
z ideologicznie motywowanej kampanii
przeciwko kierowcom i przeprosić się
z transportem indywidualnym. Trzaskow-
ski swoimi nieodpowiedzialnymi ruchami
w stolicy ma natomiast szansę doprowa-
dzić do całkowitego paraliżu miasta, gdy
aktywność zacznie powracać do dawnego
poziomu. Im więcej osób będzie bowiem
transportem publicznym podróżować, tym
silniejsza będzie motywacja, żeby zamiast
niego wybrać własne auto. Trzeba też
pamiętać, że nie usłyszeliśmy dotychczas
od rządu ani słowa o zniesieniu ograniczeń
liczby pasażerów w tramwajach i auto-
busach, które z ich powodu jeżdżą dziś

Atak na wolność słowa



Łukasz Zboralski

Kierowców Fundacji PRO – Prawo do Życia napadnięto dwa razy w Warszawie. A sądy w Polsce wielokrotnie przyznają, że nie można zabronić głoszenia prawdy m.in. o standardach edukacji seksualnej WHO

Aleja Komisji Edukacji Narodowej na warszawskim Ursynowie. Środek ubiegłego weekendu. Samo południe. Ulicą jedzie ciężarówka Fundacji PRO – Prawo do Życia. Promuje kampanię sprzeciwiającą się deprawacji seksualnej dzieci. To napisy na bokach i z tyłu ciężarówki oraz hasła głoszone przez megafon, według działaczy fundacji wymierzone w zespół działań prowadzących do zmian kulturowych niebezpiecznych dla najmłodszych. Główne hasło na boku plandeki samochodu brzmi: „Czego lobby LGBT chce uczyć dzieci?”.

Jak relacjonuje potem kierowca ciężarówki, co jakiś czas podjeżdża do niego mężczyzna w białym osobowym bmw. Utrudnia mu jazdę i domaga się zaprzestania głoszenia haseł. Za kolejnym skrzyżowaniem zatarasował drogę swoim samochodem, a sam wyszedł na drugi pas jezdni – uniemożliwiając w ogóle jazdę. Do tarasowania przejazdu dołącza się inni, m.in. kierowca volvo. Kolejny mężczyzna dołącza do kierowcy bmw. Ten jest już agresywny. Otwiera sam drzwi ciężarówki, gdy jej kierowca jest poza nią.

– No i co, nie wyłączysz tego? – pyta kierowcę fundacji. A gdy ten odpowiada, że nie ma powodu, bo to, co emituje z megafonu, jest prawdą, zaczyna grozić. – Spier... stąd! – rzuca. Gdy kierowca tłumaczy, że chętnie by odjechał, tylko tarasują mu przejazd, grozi pobiciem: – Wyje... ci, ku... – mówi.

Do rękoczynów na szczęście nie dochodzi, gdy kierowca fundacji uprzedza go, że wszystko nagrywa swoim telefonem. Potem na miejsce przyjeżdża wezwana tam policja i poucza wszystkich.

– Odbieramy to jako próbę zablokowania prawdy, jako cenzurę – mówi „Do Rzeczy” Mariusz Dzierżawski, członek zarządu Fundacji PRO – Prawo do Życia oraz pełnomocnik komitetu inicjatywy ustawodawczej „Stop pedofilii”. – Nam przecież chodzi o dzieci. Prowadzimy tę kampanię nie po to, by komuś szkodzić, ale by chronić dzieci. Wcześniej zwracaliśmy już uwagę, że gdy prowadziliśmy np. zbiórkę podpisów, to byliśmy atakowani przez środowiska LGBT. Przeszkadzali, skreślali podpisy na kartach, policja to widziała, ale pozostawała bierna – opowiada.

KIEROWCY PRZED SĄD

Zatrzymanie człowieka odbyło się na drodze, zatarasowano przejazd całej ulicy, co nie pozostaje bez wpływu na bezpieczeństwo ludzi poruszających się po drodze. Widać to było zresztą na filmie z zająścia, gdy jeden z kierowców omijał ten „korek”, przejeżdżając nawet kołami po chodniku.

W ten sposób można zainterweniować, gdy podejrzewamy, że samochód prowadzi np. pijany kierowca albo ktoś zagraża bezpieczeństwu innych na drodze. Chociaż zwykle w takiej sytuacji lepiej zadzwonić na policję, podać

numery rejestracyjne i podążać za takim kierowcą, informując funkcjonariuszy o tym, którędy się przemieszcza.

Warto przypomnieć, jak określone jest w prawie „ujęcie obywatelskie”. Jest ono dopuszczalne na podstawie przepisu Kodeksu postępowania karnego, ale zakłada się spełnienie pewnych warunków.

Artykuł 243 KPK mówi, że „Każdy ma prawo ująć osobę na gorącym uczynku przestępstwa lub w pościgu podjętym bezpośrednio po popełnieniu przestępstwa, jeżeli zachodzi obawa ukrycia się tej osoby lub nie można ustalić jej tożsamości” i zaznacza się w nim także, iż „Osobę ujętą należy niezwłocznie oddać w ręce Policji”.

Trudno uznać w przypadku jakiegokolwiek kampanii prowadzonej za pomocą samochodu – który posiada tablicę rejestracyjną i jego kierowca nie ucieka przed nikim, łamiąc przepisy drogowe – że ma się do czynienia z obawą ukrycia się takiej osoby lub trudnością ustalenia jej tożsamości.

Trochę dziwiło więc – skoro nie zachodziły przesłanki do ujęcia obywatelskiego – że interweniujący na miejscu sporu na drodze policjanci pozostawili sprawę bez wręczenia mandatów. Kodeks wykroczeń jasno bowiem wskazuje, że „Kto tamuje lub utrudnia ruch na drodze publicznej lub w strefie zamieszkania, podlega karze grzywny albo karze nagany”.





Samochód Fundacji PRO – Prawo do Życia zablokowany na al. KEN w Warszawie w ubiegłym tygodniu FOT. HALOURLSYNOW.PL/YOUTUBE

Okazało się jednak – jak potem przyznał mi na Twitterze rzecznik Komendy Głównej Policji – że w sprawie kierowców tamujących ruch skierowano wnioski o ukaranie do sądu. Funkcjonariusze mogą tak zdecydować zawsze, gdy uznają, że mandat będzie zbyt niską karą lub gdy ukarany odmawia przyjęcia mandatu.

„W mojej ocenie droga to nie jest miejsce na wyprzedzanie, nagłe hamowanie czy zajeżdżanie komukolwiek drogi, o ile ten inny kierowca oczywiście jedzie przepisowo i nie stwarza zagrożenia dla innych uczestników czy celem nie jest np. ujęcie pijanego kierowcy” – napisał Mariusz Ciarka z Komendy Głównej Policji.

W tej sprawie wydaje się, że kierowcy stać będą na przegranej pozycji, choć oczywiście o wszystkim zdecyduje sąd – trudno zakładać, by sędziowie uznali, iż każdy może zatamować ruch pojazdów, uznając np. że jego zdaniem jakiś napis na samochodzie narusza prawo.

CO WOLNO POWIEDZIEĆ

Jakie napisy były na ciężarówce? Na pytanie „Czego lobby LGBT chce uczyć dzieci?” wypisano też odpowiedzi: „4-latki: masturbacji”; „6-latki: wyrażania zgody na seks”; „9-latki: pierwszych doświadczeń seksualnych”. Każda z tych odpowiedzi na plandecę oznaczona została gwiazdką, a przypis na dole tłumaczył, że to sformułowania na pod-

stawie „Standardów Edukacji Seksualnej w Europie”.

Mówienie o tych standardach WHO już wcześniej było powodem składania zawiadomień. W ubiegłym roku organizatorzy Marszu Równości w Gnieźnie zawiadomili policję o możliwości popełnienia przestępstwa z art. 212 Kodeksu karnego. Uznali, że takie napisy są „homofobiczne” i „zniesławiające”.

Fundację pozwała też stowarzyszenie Tolerado działające na rzecz osób LGBT w Gdańsku. We wrześniu ubiegłego roku gdański sąd uznał, że do czasu ogłoszenia wyroku w tej sprawie w ramach zabezpieczenia powództwa z ulic w kraju i ze strony internetowej ma zostać usunięte zdjęcie i niektóre napisy. Jednocześnie – co w sprawie tarasowania auta w stolicy jest istotne – ten sam sąd nie wydał zakazu wobec informacji głoszonej przez fundację na temat edukacji seksualnej. Sąd stwierdził, że informacje dotyczące standardów wychowania seksualnego WHO umieszczone na bannerach fundacji są prawdziwe.

Tymczasem po dwóch dniach – bo w ubiegłą środę – samochód fundacji znów został zaatakowany i zablokowany na drodze, tym razem w okolicach placu Trzech Krzyży w Warszawie. Ponownie interweniowała policja. Tym razem policja chciała wręczyć mandat kierowcy fundacji za złamanie ustawy o środo-

wisku – czyli za używanie urządzenia nagłaśniającego w miejscu publicznym. Kierowca mandatu nie przyjął i zdecydował się walczyć w sądzie (każdemu przysługuje prawo do odmowy przyjęcia mandatu). Stołeczni funkcjonariusze nie zdecydowali od razu, czy kobieta, która zatrzymała ciężarówkę, miała prawo do takiego „ujęcia obywatelskiego” i czy nie należy jej ukarać za to, że tamowała ruch. To mieli dopiero poddać analizie.

SĄDY ZA WOLNOŚCIĄ SŁOWA OBROŃCÓW ŻYCIA

– Mamy doświadczenie w obronie wolności wypowiedzi działaczy pro-life, ale też fundacji, która prowadzi działania w ramach kampanii „Stop pedofilii”, ostrzegając o negatywnych konsekwencjach permissywnej edukacji seksualnej – mówi mec. Jerzy Kwaśniewski, prezes Instytutu Ordo Iuris. – Ponieważ było już dużo ponad sto procesów, istnieje jednolite orzecznictwo sądów rejonowych i okręgowych. Sądy wszędzie, poza kilkoma wyjątkami, stwierdzają, że prowadzenie kampanii społecznych zostaje pod ochroną konstytucyjną, ale i prawa międzynarodowego do wolności wypowiedzi, wolności słowa. W szczególności do mówienia rzeczy wstrząsających, które burzą spokój i wzbudzają reakcje emocjonalne odbiorców. Kierując się tym, sądy udzielają ochrony i oddalają takie wnioski o ukaranie. A od pewnego czasu robią to nawet bez postępowania dowodowego, umarzając postępowania i stwierdzając, że sprawa jest oczywista – tłumaczy.

Mecenas Kwaśniewski zaznacza, że gdański sąd rozpatrujący pozew organizacji Tolerado uznał nie tylko, że można prezentować treści standardów edukacji seksualnej WHO, lecz także łączyć je z ideologią LGBT. – Uznał, że pokazanie wstrząsających treści, takich jak m.in. uczenie 4-latków o masturbacji, to jest bezpośrednie ukazanie treści standardów WHO. A że oczywiste jest, iż ruch LGBT wspiera wdrożenie tych standardów, to dokonanie połączenia między LGBT a standardami WHO jest uprawnione – zauważa szef Ordo Iuris.

W sprawie zatrzymanych samochodów Fundacji PRO – Prawo do Życia prawnicy Ordo Iuris złożyli zawiadomienie do prokuratury, ponieważ podczas sporu na Ursynowie wobec pracownika wyrażano groźby karalne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ROBERT WOZNIAK/FOTOLIA

Habit kontra COVID-19



Agnieszka Niewińska

Setki sióstr zakonnych, księży i kleryków zgłosiło się do pracy w dziesiątkowanych przez wirusa domach pomocy społecznej i szpitalach. Pielęgnują chorych, dezynfekują oddziały i niosą nadzieję

Jeszcze do niedawna, nawet kiedy odwiedzali chorych, widzieliśmy ich w habitach, z koloratkami. Teraz ubrani są w maski, gogle albo przyłbice, fartuchy, a nawet specjalne kombinezony. Tylko czasem pod jednorazowym czepkiem widać zakonny welon siostry albo prześwitującą przez kombinezon koloratkę księdza czy kleryka.

W dobie pandemii w szpitalach czy domach pomocy społecznej zabrakło personelu medycznego, opiekuńczego, a nawet pracowników do dezynfekcji pomieszczeń. Na płynące z wielu miejsc dramatyczne apele o pomoc odpowiedziało wiele zakonnic, zakonników i księży.

DOMINIKANKI: „PAKUJEMY SIĘ”

Kiedy tuż przed Wielkanocą okazało się, że w Domu Pomocy Społecznej w Bochni zakażonych koronawirusem

zostało przeszło 40 osób, w tym 15 spośród personelu, a kwarantannie musiało zostać poddanych blisko 60 pracowników, sytuacja była dramatyczna. Na co dzień w tym DPS w dwóch budynkach mieszkała 152 osoby wymagające stałej opieki.

Starosta powiatowy Adam Korta zwrócił się z apelem o pomoc dla mieszkańców DPS. Pracownicy starostwa chwycili za telefony, by prosić o wsparcie wolontariuszy. – Do takiej pracy potrzebne są osoby, które mają doświadczenie w pielęgnowaniu chorych. Z prośbą o pomoc zwróciliśmy się więc do sióstr dominikanek, które prowadzą domy pomocy dla chorych, takie jak np. Dom Chłopaków w Broniszewicach. Zadzwoiliśmy w Wielki Piątek. Nie minęły dwie godziny, kiedy otrzymaliśmy informację, że siostry już się pakują – opowiada Sabina Kierepka z biura prasowego Starostwa Powiatowego w Bochni.

Do DPS w Bochni przyjechało 10 sióstr. Podjęły pracę w budynku, w którym pozostało 28 podopiecznych spośród 65. Dołączył do nich misjonarz ks. Piotr Dydo-Roźniecki. Na co dzień pracuje w Kazachstanie. Wrócił do Polski, by przedłużyć wizę. W związku z pandemią jego powrót na misję okazał się niemożliwy. Siostry i ksiądz pomagają m.in. w codziennej opiece chorych, ich pielęgnowaniu, wspierają dobrym słowem, modlitwą. Ksiądz Dydo-Roźniecki spowiada, zakładając na ochronny kombinezon fioletową stułę. – Siostry także muszą przestrzegać reżimu

sanitarnego. Chodzą ubrane w kombinezony, maski, rękawiczki. Trudno je nawet rozpoznać. Mówią, że podopieczni poznają je po oczach – opowiada Sabina Kierepka. – Siostry są bardzo radosne, wesołe i podopieczni już się do nich przyzwyczaili. Ich pomoc była konieczna. Inaczej trudno byłoby zapewnić opiekę nad chorymi. Teraz przyjmujemy już pierwszych ozdrowieńców, do pracy powoli wraca też personel DPS, ale dominikanki jeszcze z nami zostają. Na szczęście pierwsze testy wykazały, że siostry i ksiądz są zdrowi.

Do podobnej sytuacji doszło w DPS w Stalowej Woli. Po tym, jak do placówki został przyjęty mężczyzna zakażony koronawirusem, wirus się rozprzestrzenił wśród mieszkańców i personelu. Do opieki nad 80 pacjentami zostało sześć osób. Na apel o pomoc odpowiedziało kilkanaście osób: kapucyni z Rozwadowa, albertyni z Krakowa, dominikanki z Kielc, siostry skierowane przez sandomierski Caritas, siostra sercanka – pielęgniarka z Poznania. – Spadł nam kamień z serca. Jeszcze kilka dni temu sytuacja w domu pomocy społecznej wyglądała bardzo źle – mówił „Echu Dnia” starosta Janusz Zarzeczny. Dziękował siostrom i zakonnikom. – Dali najlepszy przykład służby Bogu i ludziom. Jesteśmy im za to bardzo wdzięczni.

W Śląskim Centrum Opieki Długoterminowej i Rehabilitacji w Czernichowie do pomocy przyjechały siostry ze Zgromadzenia Serafitek. W DPS w Kaliszu,

gdzie sytuacja też była dramatyczna, chorych pielęgnują siostry z kilku zgromadzeń. Między innymi dominikanki – s. Małgorzata z Kłodzka i s. Krystiana z Gdańska – oraz siostry z klasztoru Zgromadzenia Matki Bożej Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach.

„Pensjonariusze w dużej części zakażeni koronawirusem oraz okrojony w liczbie i przemęczony personel przyjęli nas z wdzięcznością i ze łzami w oczach... Byłyśmy – jak się okazało – pierwszymi wolontariuszkami, które odpowiedziały na apel o pomoc. Strach w oczach, lęk, obawa, brak poczucia bezpieczeństwa, samotność i bezradność ogarniała tu wszystkich w obliczu tego tajemniczego i niewidocznego wroga, jakim jest koronawirus” – napisały w relacjach na Facebooku siostry z Łagiewnik. „Pali się w nas pragnienie, by nieść orędzie Miłosierdzia na ostatnim już etapie życia tych ludzi, bowiem wszyscy są posunięci w latach. Towarzyszymy im modlitwą także przy pielęgnacji. Gdy widzimy powykręcane, często bezwładne ciała, to czujemy się jak na Golgocie. W tych ludziach dotykamy cierpiącego Chrystusa, to dla nas wielki zaszczyt. W odpowiedzi słyszymy to jedno wyszeptane z trudem słowo: Dzie – ku – ję”.

NA SZPITALNYM ODDZIALE

Ponad 20 siostr zakonnych zgłosiło się do pracy w Mazowieckim Szpitalu Bródnowskim w Warszawie. – To zasługa między innymi naszego kapelana, ks. Arkadiusza Zawistowskiego, który zna dobrze nasz szpital i problemy, z jakimi spotkał się w związku z pandemią. Choć nie jesteśmy szpitalem zakaźnym, nie mamy nawet takiego oddziału, to już od momentu, kiedy zostały zamknięte szkoły i przedszkola, borykamy się z brakiem kadry. Część lekarzy, pielęgniarek, pielęgniarzy czy ratowników medycznych to także rodzice, którzy muszą w tej sytuacji zaopiekować się dziećmi. Do tego zawsze ktoś z pracowników może zachorować. I choć koronawirus zatrzymał gospodarkę i wiele innych dziedzin naszego życia, to nie zatrzymał chorób. Cały czas dochodzi do zawałów, wylewów, opieki wymagają przewlekłe chorzy, dochodzi do wypadków drogowych. Zapewnienie w szpitalu kadry to dla nas teraz ogromne wyzwanie. Siostry zakonne odpowiadały na nasze potrzeby i przepięknie się zaangażowały – podkreśla Piotr Gołaszewski, rzecznik prasowy Szpitala

Bródnowskiego i dyrektor Śródmiejskiego Centrum Klinicznego.

W Szpitalu Bródnowskim siostry pracują na kilku oddziałach. – Część ma medyczną wiedzę i często wieloletnie doświadczenie. Jesteśmy pod wrażeniem ich profesjonalizmu, choć w ogóle nie powinniśmy być nim zaskoczeni. Siostry zakonne na co dzień dużą część swojego czasu poświęcają przecież na opiekę nad chorymi, niepełnosprawnymi. Jedną z siostr, która jest psychologiem, pracowała na misjach w Afryce. Doskonale odnalazła się w trudnych warunkach, w jakich teraz pracujemy w szpitalu. Nasza kadra od razu znalazła wspólny język z siostrami – podkreśla Piotr Gołaszewski i przypomina, że nie tylko w szpitalach zakaźnych obowiązuje dziś zakaz odwiedzin. – To bardzo trudna sytuacja zwłaszcza dla starszych pacjentów. Potrzebują wsparcia, podtrzymania na duchu, często też pomocy w wybraniu numeru do dzieci czy wnuków. Siostry podchodzą do pacjentów z wielką pogodą ducha. Na co dzień widzimy ich charyzmat pomocy potrzebującym. Ci, którzy w obecnej sytuacji zgłaszają się do pracy wolontariackiej w szpitalu, to osoby głęboko zmotywowane.

Siostry, zanim zaczęły pracę, zostały wyposażone w środki ochrony osobistej i przeszkolone z zasad bezpieczeństwa. – Nie jestem w stanie wymienić wszystkich zgromadzeń, z których przyszły do nas siostry. W umowie wolontariackiej nie mamy nawet takiej rubryki. Wiem za to, że wszystkie są bardzo skromne. Próbowaliśmy niektóre z nich nawet namówić na jakąś wypowiedź dla mediów, ale podkreślają, że przyszły działać, a nie mówić o działaniu.

Czasami nie potrzeba nawet medycznego przygotowania ani doświadczenia w opiece nad chorymi. W Krakowie 12 salezjańskich kleryków zgłosiło się na wolontariat w jednym z domów pomocy społecznej, w którym mieszkają osoby przewlekłe chore psychicznie. Nie mają kontaktu z podopiecznymi, ale wykonują wiele prac, bez których dom nie mógłby funkcjonować. Dezynfekują klamki, poręcze, windy, obierają warzywa na obiad.

Maciej Sokalski, salezjanin, który podjął się wolontariatu, wyjaśnia w swoich relacjach w sieci, że inspiracją dla grupy kleryków jest ks. Bosko, który w XIX w. posługiwał w Turynie podczas epidemii cholery. „Chrześcijaństwo to przede wszystkim niesienie nadziei tym, którzy

żyją w beznadziei. Chrystus Zmartwychwstały przyszedł do swoich uczniów poprzez zamknięte drzwi. Oby to orędzie o Bożej miłości docierało wszelkimi możliwymi drogami” – pisze salezjański kleryk.

DZIAŁAJĄ PO CICHU

Jak podała Konferencja Episkopatu Polski, tylko z żeńskich zgromadzeń zakonnych braki personalne w szpitalach i ośrodkach opiekuńczych we wszystkich województwach uzupełnia już 377 siostr. Ponad 1,1 tys. siostr zaangażowało się w szycie maseczek i fartuchów ochronnych. Do tego dochodzi praca blisko 500 siostr, które nie tylko w czasie pandemii, lecz także na co dzień pracują w placówkach medycznych, opiekuńczo-wychowawczych i ośrodkach pomocy społecznej. 32 siostry pracują na co dzień jako lekarki, ponad tysiąc jako pielęgniarki.

Choć wiele mediów dziś z podziwem opisuje zaangażowanie osób konsekrowanych w pracę w miejscach, gdzie wystąpiły zakażenia, to publicyści katolickiego Tomasza Wiścickiego taka postawa siostr, zakonników czy księży w ogóle nie zaskakuje. – Zanim nastał w Polsce komunizm, przede wszystkim Kościół i zgromadzenia zakonne prowadziły wszelkiego rodzaju ośrodki pomocy dla chorych, niepełnosprawnych czy ubogich. Po 1989 r. nastąpił powrót do tych aktywności, choć już nie na tak dużą skalę. Nie bez powodu do pielęgniarzy zwracamy się „siostry”. Dawniej to przede wszystkim siostry zakonne pełniły funkcję pielęgniarek – zwraca uwagę Tomasz Wiścicki.

Podkreśla, że choć w społeczeństwach zachodnich nie widać związku między wiarą a zaangażowaniem społecznym, a nawet postrzegane jest ono niejako w opozycji do Kościoła, to w Polsce zaangażowanie jest często motywowane wiarą. – Prowadzone w Polsce badania na temat wolontariatu wskazują, że zaangażowanie społeczne osób świeckich idzie w parze z wiarą. Tym bardziej nie powinno dziwić, że działania charytatywne prowadzą siostry zakonne, zakonnicy czy klerycy. Przyzwyczajaliśmy się do wielkich akcji charytatywnych prowadzonych z przytupem i medialnym rozgłosem. Siostry działają po cichu. Może przy okazji pandemii zauważymy ich pracę, której wcześniej nie dostrzegaliśmy – mówi publicysta.

Uczucie to znają wszyscy bywalcy długich nocnych lotów: odrealnienie. Kiedy w takt symfonii, na którą składają się monotonne buczenie silników, dźwiękowe sygnały, gwar rozmów, szum klimatyzacji, trzask otwieranych stolików, brzęk rozpinanych pasów, wpadamy w trans, unoszeni we wnętrzu sztucznego świata, poza którym wszystko wydaje się odległe i mniej prawdziwe. Świat nie tylko został w dole, pod chmurami. Świat w ogóle wydaje się zniknąć, a gdy lecimy nocą, świetlne rozgwieżdżone metropolie przesuwające się pod nami wyglądają jak złote pajęczyny utkane przez obce istoty.

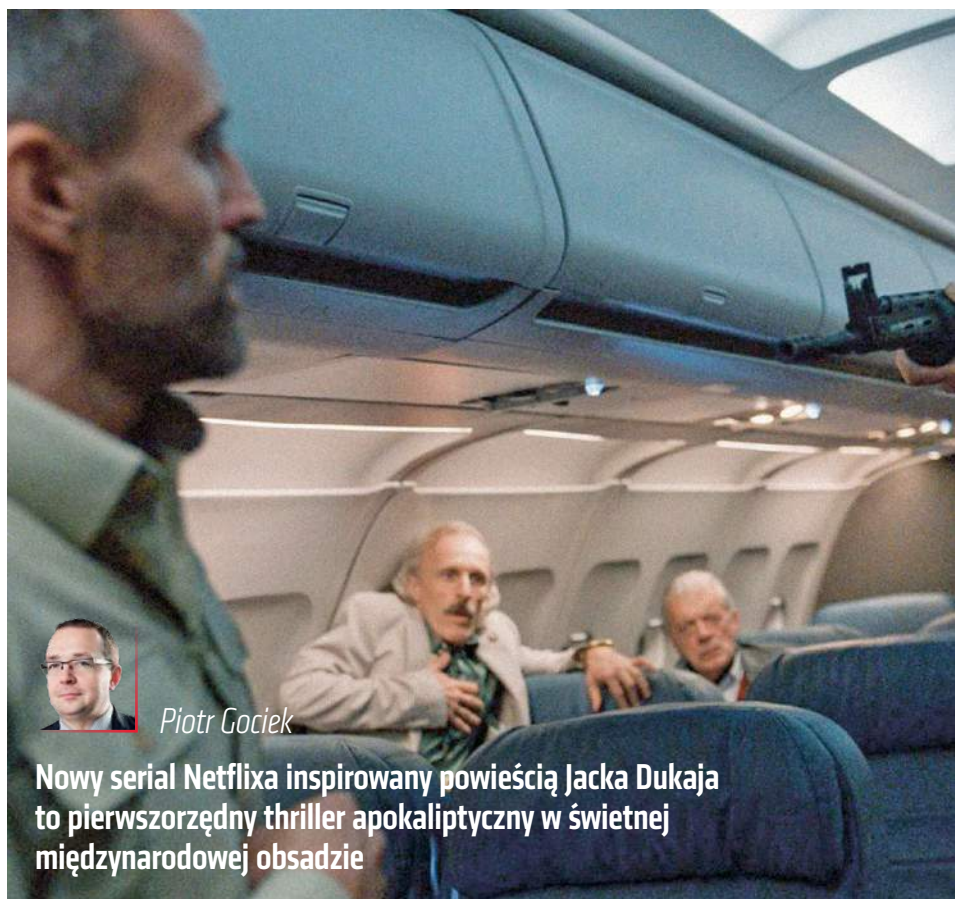
Dla bohaterów serialu „Kierunek: noc” („Into the Night”) ten mikroświatek okazuje się jedyną szansą ratunku. W pierwszych minutach premierowego odcinka widzimy mężczyznę wdzierającego się z bronią na pokład maszyny, która ma odlecieć do Moskwy. To Terenzio, włoski oficer NATO, który terroryzuje załogę i żąda lotu na zachód. „Ratuję wam życie!” – krzyczy. Zbliża się bowiem wschód słońca, który niesie śmierć. Gwiazda naszego systemu planetarnego wypala niespodziewanie życie na Ziemi, bezpieczny będzie tylko ten, kto skryje się po ciemnej stronie planety. A jako że Ziemia się obraca, jedynym sposobem ratunku jest nieustanny lot tak, by pozostawać w objęciach nocy.

„Kierunek: noc” to belgijska produkcja Netflixu na podstawie powieści Jacka Dukaja „Starość aksolotla”, który tym samym stał się naszym drugim, po Andrzejku Sapkowskim, eksportowym autorem docenionym przez światowego giganta streamingu.

TROPEM BAGIŃSKIEGO

– Wszystko zaczęło się od Tomka Bagińskiego – mówi „Do Rzeczy” Jacek Dukaj. – To on wpadł po lekturze na pomysł zaadaptowania na serial jednego z wątków książki, czyli ucieczki samolotem przed zagładą. Razem przygotowaliśmy projekt. Potem „Wiedźmin” otworzył Bagińskiemu szersze możliwości w Netflixie. Pomysł został kupiony i trafił do Jasona George’a, który napisał scenariusz – tłumaczy Dukaj. – A budżet na realizację znalazł się akurat w belgijskiej odnodze Netflixu.

Tak powstał projekt międzynarodowy, z wielojęzyczną obsadą i bohaterami. Szarpiący nerwy thriller apokaliptyczny, w którym skupiamy się na relacjach



Piotr Gociek

Nowy serial Netflixu inspirowany powieścią Jacka Dukaja to pierwszorzędnny thriller apokaliptyczny w świetnej międzynarodowej obsadzie

Nocny lot

wewnątrz grupy uciekinierów. Ciekawa to gromadka. Porwany samolot wystartował z trzyosobową załogą, prócz pilota i kapitana Matthieu, nad wyraz obowiązkowego, mamy więc francuską stewardesę i polskiego mechanika, który zowie się Jakub Kamiński (gra go Ksawery Szlenkier). Jest uwięziony przy okazji Marokańczyk z obsługi technicznej lotniska, jest tajemniczy Turek (świetny jak zawsze Mehmnet Kurtulus, którego znamy z filmów Fatih Akina), jest jedna z najbardziej utalentowanych belgijskich aktorek młodego pokolenia Pauline Étienne. Jest trójka Rosjan.

– To była wieża Babel – wspomina w rozmowie z „Do Rzeczy” Ksawery Szlenkier. – Językiem głównym produkcji

jest francuski, w nim graliśmy i dominował na planie. Pewne sceny były kręcone po angielsku, rozmowy z Jasonem też tak się odbywały. Reżyserzy z częścią aktorów i asystentami komunikowali się po flamandzku, ja mogłem czasem porozmawiać po polsku z Tomkiem Bagińskim i Jackiem Dukajem – wylicza Szlenkier. – Czasami podczas realizacji konkretnej sceny słyszeliśmy cztery różne języki. Natomiast momenty, gdy postaci mówią w swoich językach narodowych, były precyzyjnie wpisane w scenariusz, ta różnorodność jest po prostu prawdziwa.

Jak zdradza mi Jacek Dukaj, dialogi polskie i rosyjskie zostały napisane na nowo przez niego i Tomasza Bagińskiego. Wkład Polaków nie ograniczał się tylko



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

naprawdę okazuje się przerażający i na ogromną skalę. Świat, który znaliśmy, przestaje istnieć, ludzkość zostaje niemal kompletnie wymazana z powierzchni Ziemi. Drugi plan to skomplikowana emocjonalna układanka między uciekinierami, którzy gnają na łeb na szyję, bo by przeżyć, muszą być w ruchu, trochę jak bohaterowie postapokaliptycznego „Snowpiercera”, którzy okrążali planetę na pokładzie pociągu-arki.

Trzecia warstwa, najmniej oczywista, ale obecna, to refleksja na temat obecnego stanu gatunku ludzkiego. Jakże słabo przygotowani jesteśmy do nadzwyczajnych sytuacji! W chwili próby trudno wyobrazić sobie mniej przydatną profesję od internetowej influencerki czy emerytowanego ochroniarza. Gdy trzeba twardo walczyć o przeżycie, grupka desperatów może liczyć na ludzi, którzy doświadczenie zdobyli, brudząc sobie ręce. Wybijają się więc była pilotka wojskowa z misji w Afganistanie czy dumny Turek o szemranej przeszłości.

A decyzje, które trzeba podejmować, są coraz trudniejsze. Kto ma wyrokować o życiu i śmierci, gdy okaże się, że nie wszyscy ocalali mają czyste intencje? Czy przetrwanie zapewni oświecona dyktatura, czy demokratyczne uzgadnianie dalszych ruchów? Aby wspólnie skutecznie działać, trzeba jeszcze sobie nawzajem ufać. Jak scementować grupę przypadkowołączonych przez los ludzi?

„Kierunek: noc” okazuje się niespodziewanie idealnym thrillerem czasów pandemii koronawirusa. Jego bohaterowie muszą najpierw pogodzić się z tym, jak kruchy i podatny na niespodziewane uderzenia był świat, który uważali za trwałe, w pełni zrozumiałe i mimo wszystko bezpieczny. Pierwszy sezon tak naprawdę może być dopiero wstępem do dłuższej, pasjonującej i niegłupiej historii. Pytanie tylko, w którym kierunku rzecz będzie się rozwijać.

Nie sądzę, by pieniędzy i rozmachu starczyło Netflixowi na powrót do oryginalnych konceptów z powieści Jacka Dukaja, w której perypetie po niespodziewanym słonecznym rozbłysku są tylko wstępem do futurystycznej opowieści o wirtualnych światach, sztucznej inteligencji i przepisywaniu

ludzkiej duszy do świata cyfrowego. Serial musiałby się szybko zamienić w coś równie kosztownego i wystawnego jak „Westworld” Jonathana Nolana i Lisy Joy, w dodatku przesuniętego w odległą przyszłość (a więc koszty, koszty, efekty, koszty!). Na razie bardziej umiarkowanym rozmachem przypomina inną europejską produkcję postapo Netflixa, czyli duński serial „Rain”. „Kierunek: noc” jest jednak o klasę lepszy.

– Mocno walczyłem o to, by już teraz w scenariuszu nie przesądzać sprawy zabójczej aktywności Słońca – mówi tajemniczo Jacek Dukaj, nie zdradzając jednak, w jakim kierunku będzie zmierzać serial. – Pracujemy już nad koncepcją drugiego sezonu, ale nie mamy jeszcze decyzji Netflixa, że będzie kontynuacja – dodaje polski pisarz.

– Obsada czuje, że zrobiła dobrą robotę. Wykonana na sto procent praca jest również inwestycją. Zrobiliśmy wszystko, by powstał drugi sezon, a potem kolejne – deklaruje Ksawery Szlenkier, serialowy Jakub. – Teraz

piłka jest po stronie dyrektorów Netflixa, a ci z pewnością śledzą wyniki oglądalności. A może Jason, Tomek i Jacek już mają jakąś tajemnicę, której jeszcze nie wyjawiają? – zastanawia się aktor.

„Kierunek: noc” zasługuje i na uwagę widzów, i na kontynuację. Polscy odbiorcy dostaną w dodatku smakowitą niespodziankę w finale ostatniego odcinka pierwszego sezonu – zobaczcie, że warto czekać. Docenią też inteligentny humor i grę ze stereotypami, jeśli chodzi o „naszego człowieka” na pokładzie uciekającego samolotu. Jakub Kamiński to równy gość, choć po słowiańsku nadmiernie uczuciowy. Ma sumienie, jest solidny, a gdy jedna ze współpasażerek otwiera przed nim duszę, rzuca ładne zdanie: „Jesteś ironiczna i jednocześnie tragiczna – całkiem jakbyś była bohaterką polskiej powieści”. Jackowi Dukajowi życzyć wypada ciągu dalszego i kolejki chętnych do kręcenia kolejnych adaptacji jego opowiadań i książek. Tomkowi Bagińskiemu – by po sukcesie seriali „Wiedźmin” i „Kierunek: noc” szefowie Netflixa nie wyobrażali sobie przyszłości bez niego i bez kolejnych polskich projektów.



★★★★★

SEZON 1.

„KIERUNEK: NOC” („INTO THE NIGHT”)

BELGIA 2020

wyst. Pauline Étienne, Laurent Capelluto, Mehmet Kurtulus, Ksawery Szlenkier

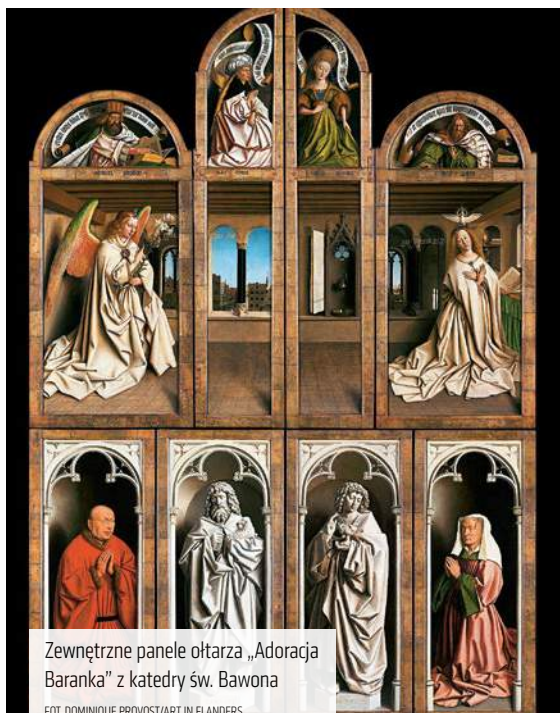
do tego. – Tomek jako executive producer był na planie niemal codziennie – mówi Dukaj. – Ja wpadałem raz na kilka tygodni.

– Tomek i Jacek mieli wpływ na to, co się działo, gdy odbywały się narady „pionu twórczego” – precyzuje Ksawery Szlenkier. – Natomiast w trakcie zdjęć w komunikacji z aktorami musi być pewien porządek, dla nas najbliższymi współpracownikami byli reżyserzy Inti Calfat i Dirk Verheye.

DRAMAT NA TRZECH PLANACH

Efekt jest znakomity. „Kierunek: noc” to jeden z najlepszych seriali wyprodukowanych ostatnio przez Netflixa. Sześć krótkich odcinków (od 35 do 40 minut) trzyma nieustannie w napięciu, dynamika między postaciami zmienia się zaskakująco, ale logicznie, bardzo zręcznie wypadają krótkie retrospektywy, w których poznajemy przeszłość poszczególnych bohaterów.

Dramat tak naprawdę rozgrywa się na trzech planach. Ten najszerzy to oczywiście obraz zagłady. Zero litości, kataklizm



Zewnętrzne panele ołtarza „Adoracja Baranka” z katedry św. Bawona

FOT. DOMINIQUE PROVOST/ART IN FLANDERS



„Zwiastowanie”

FOT. NATIONAL GALLERY OF ART



Na wystawę Leonarda da Vinci w Luwrze wszystkie bilety sprzedano w pierwszych dniach po otwarciu, 24 października. Dla tych, którzy nie zdążyli jej obejrzeć, otwierała się następna szansa bezpośredniego obcowania z geniuszem: Jan van Eyck w Muzeum Sztuk Pięknych w Gandawie. Od 1 lutego do końca kwietnia. Dwa miesiące miała trwać ta, jak obiecywano, największa w historii prezentacja dzieł wczesnoniderlandzkiego mistrza, którego wielu historyków sztuki uważa za największego malarza w dziejach.

Nieprzewidywalne zdarzenia są jednak w stanie pokrzyżować wszystkie plany. Obejrzałam van Eycka w ostatniej chwili – dwa dni przed zamknięciem wystawy z powodu koronawirusa. Paniki jeszcze nie było, ludzie tłoczyli się bez troski w ciasnych grupkach przed 10 zgromadzonymi dziełami, bez oporów brali do ręki elektroniczny przewodnik. Czas pokaże, co z tego wynikło. Kiedy piszę te słowa, zaraza mnie jeszcze nie dosięgła...

Spod ręki van Eycka wyszły dzieła o tematyce religijnej: dyptyki, tryptyki, poliptyki, także portrety „świeckie”. Zachowało się tylko 20 obrazów. Dziesięć z nich można było obejrzeć na prezentacji „Optical Revolution”, przygotowywanej pięć lat. Przeszły trwającą osiem lat konserwację, która zakończyła się w roku 2016. Centrum ekspozycji stanowią zewnętrzne panele ukończonego w roku 1432 ołtarza „Adoracja Baranka”, z katedry św. Bawona w Gandawie. Środkowy panel znajduje się

Rewolucja optyczna Jana van Eycka



Joanna Bojańczyk

Największy malarz w historii – tak wielu historyków sztuki określa Jana van Eycka. Jego obrazy prezentowano niedawno na wystawie w Muzeum Sztuk Pięknych w Gandawie

jeszcze w konserwacji. Dziełom brugejskiego mistrza towarzyszą obrazy artystów niemieckich, francuskich, włoskich i hiszpańskich działających w tym samym czasie.

Sztuka Jana van Eycka to cud realizmu i magia alchemii. „Cud alchemii” – tak właśnie pisał o nim sto lat później włoski historyk Giorgio Vasari. Gdy przy świetle świecy niderlandzki geniusz mieszał swoje składniki w brugejskiej pracowni i nakładał je cieniutkimi warstwami na deskę powleczonej, odkrywał sekret malarstwa olejnego. Dalej pisze Vasari: „Zastosowanie farb olejnych w malarstwie było pięknym wynalazkiem i wielkim

udogodnieniem. Dokonał tego we Flandrii Jan z Brugii”. Gdy na portrecie Jana de Leeuwa, brugejskiego złotnika, patrzy się na palce trzymające złoty pierścionek, widać, jak ten pierścionek chwyta delikatne smugi światła. Złotnik wykonał błyszczący przedmiot, van Eyck tchnął w niego światło. Złoto nie było prawdziwym metalem – malarz otrzymał je, wymieszawszy pigmenty. „Cud alchemii”.

NADWORNY MISTRZ FILIPA DOBREGO

Ale zacznijmy od początku. W XV w. teren dzisiejszej Gandawy i niedalekiej



„Stygmatyzacja św. Franciszka”

FOT. PHILADELPHIA MUSEUM OF ART

Brugii znajdował się pod panowaniem Filipa III Burgundzkiego, którego historia nazwała Filipem Dobrym. Tym przydomkiem doceniono zasługi utalentowanego polityka, zdolnego menedżera, dyplomaty i mecenasa sztuki. Do księstwa rządzonego przez Filipa należały terytoria dzisiejszej Belgii, Holandii i Francji: prowincje Brabancja, Flandria, Holandia, Fryzja, Franche-Comté, miasta Lille, Dijon. Władca rządził pokojowo i skutecznie krajem zamieszkanym przez 2 mln ludzi. Kraj rozkwitał ekonomicznie, jego kultura promieniowała na całą późnośredniowieczną Europę.

60-tysięczna Gandawa była centrum przemysłu tekstylnego i największym miastem przemysłowym XV-wiecznej Europy. Dwór Filipa Dobrego w stolicy księstwa, Dijon, liczył tysiąc osób.

W tym prawdziwie wielokulturowym środowisku dla władcy pracowali najwięksi mistrzowie tego czasu. Jeśli przyjąć, że Jan van Eyck żył w latach 1390–1441, Rogier van der Weyden zmarł w roku 1464, a Dieric Bouts w 1475, to widać, że największy rozkwit tego, co dziś nazywamy malarstwem wczesnoflamandzkim, przypadł właśnie na rządzą Filipa Dobrego.

Bogaty był nie tylko dwór. Standard życia w całym księstwie Burgundii był wysoki. Reformacja i związane z nią problemy nie zdążyły jeszcze zakłócić życia i podzielić kraju na katolickie Flamandy pod rządami Hiszpanii i protestancką Holandię. Gandawa bogaciła się, dzieła sztuki zamawiali nie tylko Kościół

i książęta, lecz także zamożni mieszczanie, których było na to stać. Van Eyck pracował, jak byśmy to dziś powiedzieli, dla sektora luksusowego. Był nadwornym mistrzem Filipa Dobrego, ale tworzył też dla innych zleceniodawców i w związku z tymi pracami odbywał liczne podróże. Dla głównego sponsora wykonał zadanie specjalne. Udał się do Portugalii, aby namalować portret narzeczonej księcia, Izabelli Portugalskiej, której Filip nigdy nie widział. Wykonywał też, za sowite wynagrodzenia, ozdobne portrety eleganckich dam z towarzystwa. Był czymś w rodzaju dzisiejszego dostarczyciela okładek kolorowych magazynów...

Zamówieniem sfinansowanym nie przez samego księcia ani nawet Kościół, ale przez zamożnych mieszczan był główny bohater gandawskiej wystawy: ołtarz „Adoracja Baranka”, który na stałe znajduje się w kościele św. Bawona w Gandawie. Zamówili go parafianie: Jodocus Vyd i jego żona Isabel Borluut do kaplicy, która do dziś nosi ich imię. Jodocus Vyd był ważnym obywatelem Gandawy, pełnił funkcję, która obecnie odpowiadałaby funkcji burmistrza. Jego żona pochodziła ze starej miejscowej zamożnej rodziny. Sponsorzy oczywiście zasłużyli na portrety mistrza. Dostojne, jak się należy. Wykonanie ołtarza zlecono braciom Janowi i Hubertowi van Eyckom. Jan kończył go jeszcze sześć lat po śmierci Huberta.

O baranku jako symbolu Chrystusa umierającego na krzyżu za odkupienie grzechów ludzi opowiadają Ewangelie. Również w Księdze Wyjścia Starego Testamentu mowa jest o baranku, którego Żydzi złożyli w ofierze jako podziękowanie za wyzwolenie z niewoli egipskiej.

DBAŁOŚĆ O DETALE

Van Eyck jest magiem światła, ale też geniuszem realistycznego szczegółu. Perły, rubiny i szafiry na szacie archanioła Gabriela lśnią jak prawdziwe – chłodne, czuje się ich twardość i gładkość. Pismo na księdze, którą trzyma na kolanach Jan Chrzciiciel, jest tak wyraźne, że można je czytać. Van Eyck prawdopodobnie uczył się sztuki miniatury oraz iluminacji i malował małe rysunki w ręcznie pisanych iluminowanych księgach. Na portrecie św. Franciszka jego stygmaty (rany ukrzyżowanego Chrystusa) wydają się tak wyraziste, jakbyśmy stali obok. Dla porównania kuratorzy wystawy umieścili obok obraz przedstawiający św. Franciszka pędzla Fra Angelica – tu jest

już więcej wyobraźni niż realistycznego szczegółu. Malarze włoscy, także późniejsi niż van Eyck – Tycjan, Rubens – nie dbali tak jak on o dokładne przedstawianie rzeczywistości. Nawet wtedy gdy, jak na „Zwiastowaniu”, malarz pozwala nam widzieć pejzaż za oknem, którego zgodnie z prawami fizyki nie mamy prawa widzieć, to i tak nie zaburza to harmonii.

Nikt lepiej niż van Eyck nie przedstawiał kultury materialnej swojej epoki. Wnętrza, przedmioty – dzbany, kielichy, kandelabry, naczynia, podłogi, dywany – wszystko to namalowane jest drobnymi pociągnięciami pędzla, z pedantyczną troską o realizm. Prekursorem, jeszcze przed Leonardem da Vinci, był także w sztuce pejzażu. Obejmował plany zarówno bliskie, jak i dalekie, strukturę skał, drzewa, rośliny. Na krajobrazie wokół baranka widać ogród, który zapewne jest metaforą raju. Botanicy zidentyfikowali na nim 43 rodzaje roślin – to dowód pasji naukowej artysty, który z równą powagą traktował każdy najmniejszy fragment obrazu.

Jeszcze inna umiejętność Brugijczyka. Oto panel boczny „Baranka” przedstawiający Jana Chrzciiciela i Jana Ewangelistę. Obraz to czy rzeźba? Sztuczka wydaje się tak doskonała, że aż niemożliwa. Iluzja przestrzeni, gra światła na marmurowych fałdach szat – tylko magik potrafi stworzyć taką symulację trzeciego wymiaru. Historycy sztuki przypuszczają, że van Eyck także rzeźbił, ale żadna z jego prac się nie zachowała.

Procesje aniołów, rycerze, papież, kardynałowie, biskupi... To wszystko wspaniałe, robi wrażenie maestrii detalu i kompozycją, harmonią, realizmem, czarem. Z tego wyróżnia się para bliźniących przodków ludzkości. Postacie Adama i Ewy namalowane są w naturalnym rozmiarze, statyczne, skupione, niewzruszone. Tylko stopa Adama lekko wysuwa się do przodu... Ciało namalowano z dermatologiczną dokładnością. Włosy łonowe obojga lekko prześwitują sponad zasłaniających je liści. Ewa trzyma w ręku cytrynę, nie jabłko. Kwaśny smak grzechu...

To malarstwo nie tylko religijne, lecz także humanistyczne. Michała Anioła oskarżano, że swoim plafonem kaplicy Sykstyńskiej chwali bardziej sztukę niż Boga. Jan van Eyck daje świadectwo Bogu, ale także wolności sztuki. Jednak tylko takiej, która – tak jak jego – zasługuje na miano genialnej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

To, co utracimy



★★★★★
REŻ. ALAN YANG
„TIGERTAIL”
USA 2020,
NETFLIX

wyst. Tzi Ma,
 Fiona Fu,
 Joan Chen,
 Christine Ko

Proszę zdwoić uwagę, bo pora przedstawić film, który może w tym sezonie liczyć się jako jeden z kandydatów do najważniejszych nagród. Nie wiem co prawda, jak będą wręczane Oscary czy Złote Globy w czasach pandemii, ale wiem, że w wyścigu po statuetki mocno powinien liczyć się przepiękny film Alana Yanga „Tigertail”.

Łatwo zamknąć tę propozycję w szufladce „kino etniczne”, bo rzecz nakręcona jest przez Amerykanina azjatyckiego pochodzenia i w całości rozgrywa się w środowisku Azjatów, ale byłoby to krzywdzące. To, co pokazuje Alan Yang, syn imigran-

ta z Tajwanu (który stworzył tę historię na podstawie rodzinnych doświadczeń), oddaje wybory i tragedie wszystkich ras i nacji, których dotknęła emigracja. Pin-Jui, główny bohater filmu, to postać wykorzeniona kilkakrotnie. Poznajemy go jako dziecko tęskniące za rodzicami (ojca brak, matka często nieobecna), towarzyszymy mu, gdy przenosi się ze wsi do miasta (zrywając jedne więzy), a potem kiedy nadchodzi czas wyjazdu do innego kraju (co niszczy więzy kolejne). Wszystko niby uzasadnione, wszak gonimy za nieco lepszym życiem, jakże często (może za często) tłumacząc własne wybory koniecznością. Te wybory zaś

N bywają bronią obosieczną, my zaś zapatrzeni w to, co możemy zyskać, zapominamy o tym, co na pewno utracimy.

Nie chcę przez to powiedzieć, że Pi-Jui wybrał źle, inna sprawa, iż niewiele miał do powiedzenia. Tragedia tej opowieści polega na tym, że każdy wybór niesie bolesne konsekwencje. Dopiero gdy widzimy dorosłego bohatera, gdy obserwujemy jego rodzinne kłopoty, zaczynamy wraz z nim rozumieć, gdzie szukać przyczyn takich, a nie innych problemów – właśnie w wyrwanych korzeniach. Alan Yang pomieścił w swojej opowieści wiele: dramat emigranta, młodościową miłość, gorycz dojrzałości, poczucie niespełnienia i pewne ważne niespodziewane spotkanie. Jest jednak o wiele mądrzejszy od Richarda Linklatera, który w kontynuacjach „Przed wschodem słońca” nie zauważał, jak nieodwracalnie po latach musieliby się zmienić jego bohaterowie. Ostatnie pół godziny „Tigertail” porusza najtwardsze serce. Znakomite, mądre kino z rewelacyjną kreacją Tzi Ma, aktora o wielkim dorobku, który tu stworzył życiową rolę. ©©



NOWE SERIALE: „MRS. AMERICA”

Wedle lewicowych recenzentów serial zbyt łagodny dla głównej bohaterki, zdaniem jej córki – krzywdzący, bo pomijający jej ciepłą, matczyną część osobowości. Chodzi o Phyllis Schlafly (znakomita rola Cate Blanchett), amerykańską aktywistkę konserwatywną, która powstrzymała pochód feministek w latach 70. i doprowadziła do

zablokowania proponowanej poprawki do konstytucji zakładającej pełną równość kobiet i mężczyzn. Twórcy „Mrs. America” oczywiście sytuują swoje sympatie po stronie liberalnej, ale przedstawiają także obficie argumenty Schlafly, którą wspierały nie tylko gospodynie domowe, lecz także część feministek. ©©

Piotr Gociek

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 2. „**After Life**”, Wielka Brytania 2020, Netflix
- sezon 1. „**Ghost in the Shell: SAC 2045**”, Japonia 2020, Netflix
- reż. Olivia Wilde „**Szkoła melanżu**” („**Book-smart**”), USA 2019, Cinemax

CINEMAX

Koszmar księgowego



Film nakręcony „na motywach prawdziwych wydarzeń”. Cóż za eufemizm! Chodzi o największą kradzież w historii amerykańskiego szkolnictwa, której dopuścili się pospół kurator okręgowy i jego zastępczyni do spraw finansowych. Szok był tym większy, że defraudanci wcześniej wyrobili sobie markę bezinteresownych pracusiów. Złotousty tupeciarz Frank Tassone, drzewiej skromny nauczyciel angielskiego, przyjaciel dzieci oraz bożyszcze kobiet, roztaczał przed rodzicami i radą pedagogiczną świetlane wizje przyszłości. Robiło to piorunujące wrażenie, bo w Ameryce wyścig szczurów zaczyna się już w podstawówce.

„Zła edukacja” potwierdza starą prawdę, że najciemniej bywa pod latarnią, a ludzi łatwo jest ogłupić albo zastraszyć. Dolce vita Franka i Pam na koszt podatników trwało dekadę. Na szczęście gdzie zawodzą dorośli, tam można liczyć na małolatów. Upadek złodziejskiego duetu zainicjowała dociekliwa dziennikarka szkolnej gazetki. Hugh Jackman, aktor niedoceniany, stworzył fascynujący portret załganego do szpiku kości socjopaty, Allison Janney dzielnie mu sekunduje. Chwała Bogu, nad Wisłą coś takiego nie mogłoby się wydarzyć. Polski nauczyciel ma swój honor. Milionowe manka zdarzają się u nas tylko w bankach i w służbach specjalnych. © ©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. CORY FINLEY
„ZŁA EDUKACJA”
(„BAD EDUCATION”)
USA 2019

wyst. Hugh Jackman, Allison Janney, Geraldine Viswanathan



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „STRANDED DEEP”

Lubię raz na jakiś czas zerwać z rutyną opisywania gier wielkich deweloperów, stworzonych za budżety hollywoodzkich superprodukcji. Gdzie wtedy może powędrować uwaga recenzenta? W kierunku debiutantów, potrafiących wychodzić poza utarte standardy. Właśnie tak prezentuje

się „Stranded Deep” – RPG survival od Beam Team Games. W skrócie: po tajemniczej awarii samolotu jesteśmy jedynym rozbitkiem na bezludnej wyspie Pacyfiku. Niczym w filmie „Cast Away” musimy zbierać surowce, tworzyć narzędzia i walczyć o każdy następny dzień, z czasem budując

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



coraz bardziej skomplikowane konstrukcje. Ciekawa odskocznia. © ©

Maciej Makowski

- **Gatunek:** Survival/RPG
- **Platforma:** PS4/XONE/PC
- **Producent, dystrybutor:** Beam Team Games
- **Klasyfikacja PEGI:** 16+

PSI ŻYWOT

CINEMA

Kto pamięta „Drogę na drugą stronę”, ten nie będzie zaskoczony. Surrealistyczna forma i chwytająca za serce treść – oto najkrótsza charakterystyka nowej animacji Anki Damian. Tytułowa suczka nie może się nadziwić ludziom, którzy zamiast docenić to, co mają, ciągle chcą czegoś nowego. Tymczasem psu do pełni szczęścia wystarczy, że człowiek podrapie go za uchem. Marona, chociaż młoda, wiele w życiu przeszła. Zaznała głodu, chłodu, bólu i porzucenia. Każdy właściciel nadawał jej nowe imię. Być może z tego powodu nabrała skłonności do filozofowania i wygłaszania mądrości w rodzaju: „Dobry zapach wart jest tysiąca słów”. Marek Hłasko na amerykańskim etapie swojej kariery utożsamiał się z psem Pluto, gdyż taki miał kaprys. Czworonogi uwielbiają swoich właścicieli, bo inaczej nie potrafią. „Marona” jest dobrą odtrutką na disnejowsko-hollywoodzkie bajeczki tudzież wybrki w rodzaju komputerowo podrasowanego „Zewu krwi”.

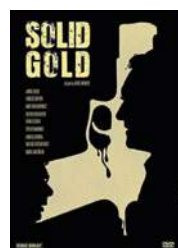


wyst. Lizzie Brocheré, Bruno Salomone, Thierry Hancisse

★★★★★
REŻ. ANCA DAMIAN
„MARONA – PSIA OPowieść”
(„MARONA'S FANTASTIC TALE”)
FRANCJA/RUMUNIA/BELGIA 2019

PAŃSTWO Z TEKSTURY

Polska polityka to teatrzyk dla naiwnych. Kukielki udają, że coś od nich zależy, a za sznurki pociągają emerytowani esbecy, którzy wszędzie (z wyjątkiem KNF) mają swoich ludzi. Jeśli ktoś próbuje wybić się na samodzielność, to wcześniej czy później usłyszy: „Raz z nami, z nami na zawsze”. Trójmiejska macha bezpieczeństwa ośmiornicy, prezes Kawecki, prowadzi interesy tak rozległe, że parabank wydaje się kwiatkiem do kożucha, potrzebnym, by film jakoś zatytułować. Arcyłotra osacza specgrupa z CBS, ale nie chodzi o sprawiedliwość, lecz o prywatną zemstę. Pojedynk starszych panów, z których jeden chciałby być dziadkiem, a drugi żałuje, że nigdy nie został ojcem, jest nużący. Bromski jako reżyser nigdy nie wznosił się ponad przeciętność, a tu w dodatku dał plamę jako scenarzysta. Jazda po stereotypach i błędy obsadowe dopełniają obrazu katastrofy. Tylko Gajosa i Seweryna szkoda. © ©



wyst. Janusz Gajos, Andrzej Seweryn, Marta Nieradkiewicz

★★★★★
REŻ. JACEK BROMSKI
„SOLID GOLD”
POLSKA 2019, KINO ŚWIAT

recenzuje Wiesław Chełmniak

MOJA PÓŁKA

Ukłony od barona Münchhausena

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Bohaterka tej książki, Małga Kubiak, córka scenografki teatralnej Danuty Kubiak i poety Tadeusza Kubiaka – jak twierdzi zainteresowana, nieślubnego syna Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego – w spowiedzi życia zrelacjonowała swoje dzieciństwo zdominowane przez zalkoholizowanego, acz uwielbianego ojca i chorą na schizofrenię matkę, rozerotyzowaną młodość i twórczą dojrzałość, w której osiągnęła wybitną ponoć pozycję w kinie awangardowym, czego dowodzi Niedźwiedź Polarny przyznany jej pięć lat temu przez Tupilak – Skandynawską Organizację LGBTQ.

Kluczową postacią w jej opowieści, powstałej pod wyraźnymi auspicjami niewiarygodnych przysłów barona Münchhausena, jest nie kto inny jak zmarły w 1979 r. w wieku 55 lat Tadeusz Kubiak. Młodszym czytelnikom należy się wyjaśnienie, co to był za poeta. Niektóre jego koncepty – pisał po latach Piotr Kuncewicz – „przeszły do legendy. Oto poeta opowiada, jak to w restauracji małego miasteczka wrogowie ustroju:

*Oj, dziwnie, dziwnie
W oczy mi patrz,
Bo w moim sercu
Zwęszyli Partię.*

*Mówiłem w rynku:
– Praca i pokój!
Wśród gwiazd kończyłem,
Zaczawszy w słońcu.*

Znaczy to, że poeta zaczawszy recytować w dzień, skończył w nocy, czyli ze trzy godziny najmarniej. »Jakżeby chętnie dali truciznę«, powiada dalej Kubiak. Po takim recitalu i ja bym dał. Jednak niespieszno niczym Kubiak wieścił dalej: »Przyjacielu, zniknie różność stron świata w pięknie Pałacu Kultury«. Przy okazji trasy W-Z nawołuje: »inżynierowi – chwała. A poecie – laur«. Zachwycą się »żuchwą stalowej kopaczki«, która »wysoka



jak Notre-Dame, a malownicza jak Hradczyn« i tak dalej, i tak dalej...»

Z Kubiakowych wierszydeł w pamięci pozostały – na szczęście – nieliczne. Co do mnie, wyrecytowałbym dziś jeszcze jego „Kwiaty ojczyste“, ale to tylko dlatego, że wyśpiewał ten wiersz swego czasu Czesław Niemen, który włączył go do swojej znakomitej skądinąd płyty „Enigmatic“.

*Kwiaty nad Wisłą, mazowieckie
Stokrotki, fiołki i kaczęce
Zielone wierzby nad Warszawą
Kwiecie nad domami wieńce.
Kwiaty znad Odry, gąszcz, różę,
Stukolorowe pióra pawie
W parkach Szczecina i Opola
W małych ogródkach pod Wrocławiem...*

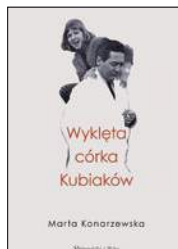
I tak dalej, i temu podobne. Poza tym przetrwał Tadeusz Kubiak w anegdocie, nie da się ukryć, głównie alkoholowej. A serio potrafił go Krzysztof Karasek, wspominając: „Był taki mit o nim, że taki cygan, prawda, bardzo barwna postać [...] to nie był cygan, tylko jednak bardzo karny zawodnik partyjny, co tu dużo mówić, na dziesięć książek, które wydał między czterdziestym ósmym rokiem a pięćdziesiątym czwartym, ostatnia przed Październikiem jest o miłości, a reszta to są... »Żołnierze i robotnicy«, [...] »Rzecz o trasie W-Z«, »Serce Partii«“.

Bardziej do autora tych jedynek w swoim rodzaju tomów pasowałoby jednak określenie „poputczyk“ niż „zawodnik partyjny“, Kubiak

bowiem w tych komunistycznych zawodach poetyckich startował, i to z niemałym powodzeniem, ale do PZPR się nie zapisał, o czym córka jego z dumą teraz informuje, podkreślając ten rzeczywiście zaskakujący news wielokrotnie. Sam Karasek zresztą akcentuje, że „miał Tadeusz Kubiak bardzo piękny życiorys na początku [...] działał w podziemiu, później w AK warszawskim, później gdzieś w Świętokrzyskiem, w partyzantce“. Niemniej jednak podsumowuje jego twórczość bez taryfy ulgowej: „Łatwe pisanie go zgubiło... po 56 roku to była bocznica poetycka“.

Córka poety nie musi się z tym zgadzać, nawet byłoby dziwne, gdyby deprecjonowała ojcowskie pisanie. Nie musi jednak opowiadać kocopołów, gdy np. przywołując swoje młodzieńcze spotkania z Jackiem Łomnickim (synem Tadeusza), wkłada mu w usta zdanie: „Jesteśmy tacy sami, Małgosiu, dzieci dwóch geniuszy: poezji i sceny. Zbyt wrażliwi, zbyt czuli, dzieci idiotów“. O „idiotów“ spierać się nie będę, ale geniusza poezji z Tadeusza Kubiaka nawet nie wiem jak nawalony Jacek by nie uczynił.

Dla Małgi Kubiak – cytuję: „reżyserki filmu niezależnej awangardy, usiłującej zepchnąć tabu w obszar widzialny, aktorki absolutnie czystej pornografii, pisarki upadłej powieści, wokalistki szkalującej rzeczywistości“ – nie ma jednak rzeczy niemożliwych. Swoją niekończącą się opowieść, zasługującą na czytelników za pośrednictwem zasłuchanej w nią Marty Konarzewskiej, kończy szczerem do bólu wyznaniem, że najbardziej w swoim 70-letnim życiu żałuje tego, że ze swoim genialnym ojcem się nie przepała. Cóż, zadowolić się musiała legionem kochanków i kochanek, których wymienia z dokładnością i zapałem stanowczo godnym lepszej sprawy. ©



MARTA
KONARZEWSKA
„WYKLETA CÓRKA
KUBIAKÓW”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA,
WARSZAWA 2020



POCZYTANKI

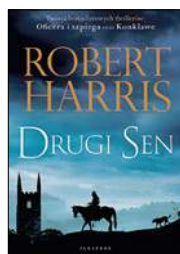
Imię bzdury

Zaczyna się w duchu „Imienia róży” albo opowieści ze świata średniowiecznych kryminałów o braciszku Cadfael. Czas akcji też sugeruje podobne tropy, mamy „wtorek dziewiątego dnia kwietnia Roku Pana Naszego Zmartwychwstałego 1468”. Ojczulek Fairfax podróżuje konno przez Wessex, mija gospody, kościoły, pieszych wędrowców, zarosnięte trakty. Szybko jednak odkrywamy, że coś w tym świecie nie gra: to nie przeszłość, lecz odległa przyszłość. Katakлизм przetrzebił ludzkość, i to poważnie. Żegnaj, zaawansowana cywilizacja! I tak jak ks. Fairfax gromadzi pomału okruchy wiedzy w sprawie, którą wyjaśnia, tak i my pomału kolekcjonujemy napomknienia, dzięki którym jesteśmy w stanie odtworzyć obraz katastrofy.

Robert Harris napisał książkę zajmującą, ale niezbyt mądrą. Ci, którzy pamiętają znakomitą powieść Waltera Millera jr. „Kantyczka dla Leibowitza”, przypomną sobie szybko, że tam mieliśmy sytuację podobną. Nowe średniowiecze po niemal całkowitej zagładzie ludzkości (u Millera chodziło o atomową pożogę). Mnisi i księża przyszłości gromadzili jednak z benedyktyńską cierpliwością dokumenty i artefakty, robili, co mogli, by ocalić dawną wiedzę, nawet kiedy sami nie rozumieli,

co właściwie przepisują i zbierają. Harris napisał „anty-Leibowitza”, bo u niego Kościół to tyrania, która trzyma ciemny lud w niewiedzy, jest wrogiem nauki, wrogiem prawdy i wrogiem wolności. Wywód ów zostawię bez komentarza. Każdy ma prawo do własnych poglądów i przesądów, zwłaszcza kiedy potrafi je ciekawie przedstawić.

Harris tymczasem pisać potrafi. Autor „Vaterlandu”, „Oficera i dżentelmena” czy „Trylogii rzymskiej” opowiada nieinwazyjnym, przezroczystym językiem twórcy gładkich bestsellerów. Zawija wątki zgrabnie, akcję pcha naprzód umiejętnie, nie nudzi, czasem może (szczególnie pod koniec) wpada na pomysły zbyt efekciarskie. To, co szkodzi powieści, to nachalny dydaktyzm, z którego wyzierają kształty nie przyszłości, lecz teraźniejszości. Poucza więc Harris, jacy to nietolerancyjni i niedobrzy byli ludzie XXI stulecia, jak to stoczyli się ku dzikości drogą wybrukowaną przez nieulubiane przez niego postacie i zjawiska współczesności.



★★★★★
ROBERT HARRIS
„DRUGI SEN”
ALBATROS 2020

Podobnie więc jak w przypadku jego thrilleru „papieroskiego” („Konklawe”, polska edycja 2016) czy głupiej i obraźliwej dla Polaków „Enigmy” (polska edycja 2002), mimo całego uznania dla jego warsztatu, mamy prawo czuć się nabić w butelkę. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Gdyby takie książki wydawało w czasach PRL, pewnie miałbym lepsze stopnie z biologii. „Zwariowany atlas roślin” pani Barman to zabawny rysunkowy przewodnik świetnie wprowadzający w temat i małych, i dużych.



ADRIENNE BARMAN
„ELEGANTKI, TRUCIELKI I INNE ZIOŁA”
DWIE SIOSTRY

O rozpacz i ból po utracie najbliższej osoby. Zapis bezradności, zapis smutku, zapis miłości. Krótka, poruszająca powieść serbskiego pisarza, chwilami jak elegia, chwilami jak erupcja żalu i wściekłości.



OTO HORVAT
„SABO SIĘ ZATRZYMAŁ”
BIBLIOTEKA ANALIZ

Rzecz o polskim wzornictwie powojennym. Meble, ceramika, szkło, pomysły na wykorzystanie przestrzeni w małych mieszkaniach w blokach z wielkiej płyty, cele i założenia ówczesne, recepcja dawniej i teraz. Pouczające.



KATARZYNA JASIOŁEK
„ASTEROID I PÓLKOTAPCZAN”
MARGINESY

Drugi w języku polskim zbiór opowiadań nieznanego dotąd u nas klasyka grozy (pierwszym był „Ukryty pokój”). Zawiera m.in. „Kartki z pamiętnika pewnej młodej damy” (World Fantasy Award 1975). ©©

poleca Piotr Gociek



ROBERT AICKMAN
„W GŁĘBI LASU”
WYDAWNICTWO IX

KOMIKS TYGODNIA:

„LOTERIA”

Prerażające opowiadanie Shirley Jackson „Loteria” to jeden z najważniejszych krótkich tekstów w amerykańskiej prozie XX w. Pod ręką wnuka pisarki, Milesa Hymana, zamieniło się w intrygujący, pełnometrażowy album komiksowy. Adaptacja nie była łatwa, ale rysownikowi udało się znaleźć sposób obrazkowej narracji, który doskonale oddaje paranoiczną atmosferę oryginału.



MILES HYMAN, SHIRLEY JACKSON
„LOTERIA”
MARGINESY 2020

Osobisty, ciekawy wstęp wprowadza czytelnika w świat utalentowanej rodziny. A ciekawym literackiego oryginału przypominam, że ukazał się w Polsce w roku 1976 (zbiór „Loteria”, wydany przez PIW). ©©

poleca Piotr Gociek



Piotr Matusik Trio

Mający premierę 24 kwietnia „Independence” to drugi album pianisty, klawiszowca i kompozytora Piotra Matusika. Pierwsza płyta – „Tribute To Chick Corea” – była hołdem złożonym muzycznemu mistrzowi Matusika i zawierała wykonania muzyki tytułowego amerykańskiego pianisty. Najnowszy album to już kompozycje Piotra Matusika.

W projekcie wzięło udział trzech artystów. Lider tria jest

absolwentem wydziału jazzu Akademii Muzycznej w Katowicach w klasie fortepianu prof. dr. hab. Wojciecha Niedzieli (od października 2015 r. koncertują w duecie fortepianowym). Grając w Bartosz Dworak Quartet, zdobył Grand Prix Bielskiej Zadymki Jazzowej, zajął pierwsze miejsce podczas międzynarodowego konkursu na kompozycję jazzową w Belgii – B Jazz 2016, zwyciężył w Novum Jazz

Festiwal w Łomży (2014) – Nadzieja Jazzu. Do pracy nad „Independence” zaprosił również solidnie wykształconych i docenianych na festiwalach muzyków: kontrabasistę Alana Wykpisza oraz perkusistę Patryka Dobosza. – Myślę, że stanowimy bardzo dobry zespół ludzi, bo to ludzie są muzyką, to w nich ona się rodzi. Atmosfera w zespole jest naprawdę znakomita – mówi Piotr Matusik. Czemu służy

zapewne i to, że wszyscy trzej muzycy to równolatki, którzy za rok wkroczą w trzecią dekadę życia.

Przyczynkiem do powstania zespołu było stypendium Młoda Polska, którym na początku zeszłego roku został uhonorowany Matusik. – Wtedy też zapadła decyzja o nagraniu albumu – mówi pianista. – Do studia weszliśmy w czerwcu i zarejestrowaliśmy dziewięć kompozycji. Alan i Patryk mają wielki wkład artystyczny w te utwory. Do studia przyniosłem zarysy tematów i form, wszystko to aranżowaliśmy wspólnie.

Jest to przecież muzyka improwizowana, a im więcej w niej żywych, spontanicznych zmian, tym lepiej – dodaje.

Nagrania trwały trzy dni, ale płyta jest podsumowaniem dwóch lat pracy Piotra Matusika. Kompozycje na nią zaczął tworzyć w 2018 r., a więc w roku, w którym świętowaliśmy stulecie odzyskania niepodległości Polski. Stąd nazwa płyty. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Fajne słuchowisko

Dwa lata po gigantycznym sukcesie płyty „Soma 0,5 mg” (150 tys. sprzedanych egzemplarzy) najpopularniejszy polski raper wydał czwarty album. „Romantic Psycho” zaczyna się od spowiedzi u lekarza dusz, którym jest Taco Hemingway. „Śmierdzieliśmy groszem, wszędzie ten przekłety fetor” – rozwodzi się Kłebon. I dodaje: „Ja z branży, która umie łatwo jebać, sprzedałem więcej płyt niż Sheeran, nie potrafiąc śpiewać”. Uzdrowiciel, po wysłuchaniu dodatkowo sercowych problemów, wyrokuje: „Początki syndromu romantic psycho”.

Kiedy się słucha kolejnych numerów, rośnie współczucie dla

Qubyaautentycznego. Atakują go: nieszczepione psy, zuczki, małpy, a nawet Sebastian Fabijański... A on tęskni za Kanye Westem. Narzeka na nielojalnych kumpli, ale tu chyba przesadził, bo na płycie jest aż 12 gości. Chyba że temu tuzinowi raperów i wokalistek chodzi o własny lans. Całe szczęście, że obok Kuby Grabowskiego jest ukochana Natalia Szroeder, która „chce go zarazić popem”.

Kłebon ma niezłe poczucie humoru, dystans do siebie, rapując, fantastycznie leci, a i muzycznie jest osłuchany. Wszystko to razem sprawia, że „romantyczny psychol” jest fajnym słuchowiskiem z niedrażniającym podkładem dźwiękowym. ©©



★★★★★
QUEBONAFIDE
„ROMANTIC
PSYCHO”
QUEQUALITY



★★★★★
NIGHTWISH
„HUMAN. II:
NATURE”
NUCLEAR BLAST

Fińscy mistrzowie metalowego patosu z żeńskim wokalem ratują matkę naturę. Chóry, gitarowe solówki, celtyckie ozdobniki, a na drugim krążku monumentalna symfoniczna suita przeplatana słowną narracją.



★★★★★
THE HELIOCENTRICS
„INFINITY OF NOW”
MADUB INVASION
Jedenastoosobowy brytyjski kolektyw

zaprasza na swoim 10. albumie w niezwykłą podróż muzyczną. Ta mroczna hybryda stylistyczna nazwana psycho-jazz-funkiem wizjonersko łączy przeszłość z nieodkrytymi dźwiękowymi rejonami. ©©



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO



VEDYCJA NAGRODY

Nagroda
im. Przemysława Gintrowskiego
za wolność w kulturze

SZCZEGÓŁY NA WWW.GINTROWSKI.PL
LUB FUNDACJA@GINTROWSKI.PL

MECENAS KONCERTU:



PARTNER



PARTNER WSPIERAJĄCY:



PATRONI MEDIALNI:



eprasa.pl e467b49a0f



Warszawa, Krakowskie
Przedmieście, 10 kwietnia 2010 r.

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

Mylne tropy posmoleńskiej katastrofy



Paweł Pawłowski

Autor książki „Katastrofa posmoleńska. Kto rozbił Polskę?” nie bada przyczyn nasilenia się polaryzacji polskiego społeczeństwa po 10 kwietnia, ale wykorzystuje instrumentalnie ten temat, by zaatakować prawicowe środowiska kultywujące pamięć o polskim ruchu narodowym

Na początku kwietnia ukazała się kolejna książka Grzegorza Rzeckowskiego, dziennikarza tygodnika „Polityka”. „Katastrofa posmoleńska. Kto rozbił Polskę?” miała być mocnym punktem narracji opowiadającej w 10. rocznicę tragedii pod Smoleńskiem o inspiratorach głębokich podziałów w polskim społeczeństwie. Pandemia znacząco przyćmiła siłę oddziaływania książki zadedykowanej Maciejowi Laskowi i jego współpracownikom, ale jej treść obrazuje, komu próbuje się przypisać sprawstwo.

Jeżeli ktoś spodziewał się, że powstał tekst, który nawet w stronnicy sposób, ale jednak przedstawia całe spektrum środowisk i postaci, które były zaangażowane w spory po katastrofie smoleńskiej, lub stara się wyważyć, kto miał rację

w poszczególnych kwestiach, to niestety gorzko się rozczaruje. Rzeckowski podchodzi do tematu bardzo wybiórczo. Czytelnik nie dowie się niczego o organizatorach i kulisach odrażających burd, które najlepiej symbolizuje krzyż wykonany z puszek po piwie lech. Całość narracji poprowadzona jest w taki sposób, by dopasować rzeczywistość do przewodniej tezy głoszącej, że głęboki podział polskiego społeczeństwa po katastrofie smoleńskiej jest efektem operacji rosyjskich służb, w której wzięli udział PiS i jego zwolennicy, a w szczególności środowiska kultywujące pamięć o Narodowych Siłach Zbrojnych.

Jest to częściowo kontynuacja narracji zarysowanej we wcześniejszej książce Rzeckowskiego – „Obcym alfabetem. Jak ludzie Kremla i PiS zagrali podsłuchami”.

Autor po raz kolejny postanowił przekonać czytelników o istnieniu ścisłych więzów pomiędzy rosyjskimi służbami specjalnymi a środowiskami związanymi w sposób mniej lub bardziej ścisły z PiS. Temperatura sporów i podziałów powstała w polskim społeczeństwie w następstwie katastrofy smoleńskiej bez wątpienia były na rękę Rosji i należy zakładać, że z tego względu były podsycane i podtrzymywane przez wschodnie służby. Rzetelne śledztwo dziennikarskie w tej sprawie jest bardzo potrzebne. Niestety to nie ujawnienie rzeczywistych operacji było najwyraźniej celem autora „Katastrofy posmoleńskiej”.

HARCERZE I KRZYŻ

Mając na uwadze książki o podobnej tematyce, można by się było spodziewać, że oto kolejny tekst, którego autor skupia się na rzekomych rosyjskich powiązaniach Antoniego Macierewicza. Tu jednak Rzeckowski zaskakuje. Oczywiście obarcza winą za wojnę polsko-polską Jarosława Kaczyńskiego i Antoniego Macierewicza, którzy mieli – jego zdaniem – wykorzystywać katastrofę lotniczą do zbijania politycznego kapitału. Znajduje się także miejsce na oskarżenia wobec duchownych katolickich, którzy mieli zaszczeptać nienawiść w społeczeństwie. Jednak inicjato-

rów rozłamu w polskim społeczeństwie dopatruje się w dwóch prokremlowskich grupach o „profilu katolicko-narodowym”: „pogrobowcach Moczara” i „neoendekach”.

Jako pogrobowców Moczara chyba dosyć trafnie wskazuje raczej marginalne środowisko Telewizji Narodowej, które otwarcie chwali agresywne działania putinowskiej Rosji, odwołując się do słowiańskiego braterstwa, a jednocześnie wykazuje wrogość wobec Żydów i Izraela, Stanów Zjednoczonych i innych państw Zachodu. To, że Telewizja Narodowa była niezwykle aktywna na Krakowskim Przedmieściu, gdzie podsycala emocje i kreowała kolejne teorie spiskowe, rodzi uzasadnione wątpliwości i Grzegorz Rzeczkowski słusznie może to wiązać z rosyjskimi operacjami na terenie Polski.

Jednakże pogrobowcy Moczara w „Katastrofie posmoleńskiej” odgrywają głównie rolę kontekstu, w którym autor chciał ukazać swój prawdziwy obiekt zainteresowania, czyli grupę określoną przez siebie mianem „neoendeków”. Zdaniem Rzeczkowskiego to przede wszystkim „osoby związane ze środowiskiem ZHR, piewcy »żołnierzy wyklętych«” oraz prof. Marek Jan Chodakiewicz z waszyngtońskiego Institute of World Politics kierowanego przez byłego doradcę Ronalda Reagana ds. sowieckich, dr. Johna Lenczowskiego. To atak na tę grupę wydaje się głównym celem dziennikarza „Polityki”.

Autor bardzo szczegółowo opisuje zyciorysy i powiązania części harcerzy obecnych w kręgach rządowych i spółkach Skarbu Państwa. Brakuje natomiast jasnych związków z Moskwą. Można dojść do wniosku, że ich winą było przede wszystkim ustawienie krzyża na Krakowskim Przedmieściu. Rzeczywiście, gdy tłumy gromadziły się pod Pałacem Prezydenckim, by oddać hołd prezydentowi i pozostałym ofiarom katastrofy, opisywani przez Rzeczkowskiego harcerze – Michał Kuczmierowski i Piotr Trąbiński – ustawili tam krzyż, który trzy miesiące później stał się przedmiotem sporu. Jednakże czy w tym geście można się doczytywać uczestnictwa w moskiewskiej operacji? Czytając „Katastrofę posmoleńską”, można odnieść wrażenie, że większy problem stanowi to, iż obaj harcerze związani są z Mateuszem Morawieckim i Michałem Dworczykiem oraz zajmują

dziś eksponowane stanowiska, a całe środowisko angażuje się w walkę o dobre imię Narodowych Sił Zbrojnych.

PROFESOR NA CELOWNIKU

Najwięcej uwagi autor poświęcił jednak prof. Markowi Chodakiewiczowi. Ten zasłużony dla umacniania relacji polsko-amerykańskich historyk kieruje Kościuszkowski Chair of Polish Studies w ramach waszyngtońskiego Institute of World Politics. Uczelnia kształci amerykańskich dyplomatów, urzędników oraz oficerów służb i wojskowych. Wyróżnia się poszanowaniem tradycyjnych wartości oraz zainteresowaniem regionem Europy Środkowej i Wschodniej, co jest zasługą nie tylko Marka Chodakiewicza, lecz także prezydenta uczelni – Johna Lenczowskiego, którego ojciec był ambasadorem II RP w Persji. IWP miało – zdaniem Rzeczkowskiego – uczestniczyć w rosyjskiej operacji przeciwko Polsce, czego wyrazem była przede wszystkim współpraca osób związanych z uczelnią z zespołem Antoniego Macierewicza oraz wyraźne związki pomiędzy IWP a prominentnymi postaciami z administracji Donalda Trumpa, co niemal automatycznie jest kwalifikowane jako prorosyjskość. Sytuację pogarsza to, że wśród absolwentów jest Piotr Trąbiński, a nieformalnym przedstawicielem uczelni w Polsce jest inny harcerz z ZHR – Sebastian Bojowski.

Institute of World Politics i prof. Marek Chodakiewicz są wyraźnie nie na rękę kręgom lewicowo-liberalnym w Polsce. Prawicowe przekonania i mocny głos w Waszyngtonie kłócą się z obowiązującą narracją. Profesor był nominowany przez prezydenta George’a W. Busha do US Holocaust Memorial Council. Miał także konsultować pamiętne przemówienie obecnego prezydenta USA w Warszawie. Mimo że od niemal 40 lat żyje w USA, to publikuje w Polsce i często w wyrazisty sposób sprzeciwia się nie tylko zakłamywaniu historii ruchu narodowego, lecz także rewolucji obyczajowej.

Szczególnie ciekawe, że Grzegorzowi Rzeczkowskiemu nie spodobało się także, że prof. Chodakiewicz jest autorem książki „Intermarium”, w której przekonywał amerykańskich decydentów do koncepcji, którą w dużej mierze urzeczywistnia inicjatywa Trójmorza. Redaktor

„Polityki”, posiłkując się słowami Radosława Sikorskiego, dostrzega tu działanie zgodne z intencjami Kremla i nawiązanie do przedwojennej myśli Ruchu Narodowo-Radykalnego, co jest znaczącym nadużyciem, ponieważ dla Bolesława Piaseckiego czynnikiem jednoczącym państwa Europy Środkowej miała być słowiańskość. Inicjatywa Trójmorza opiera się natomiast na wspólnocie interesów i obejmuje takie państwa, jak Węgry, Austria, Rumunia czy Estonia, o których bardzo trudno powiedzieć, że jednocy jest „jedność psychiczna i kulturowa Słowian”.

W JEDNYM WORKU

Należy przyznać, że rażący jest zabieg manipulacyjny, którego dopuścił się Grzegorz Rzeczkowski, zestawiając ze sobą po jednej stronie otwarcie prokremlowską Telewizję Narodową, a po drugiej stronie weteranów walki z ZSRS z Institute of World Politics i środowisko ZHR, a następnie umieszczając wszystkich w jednym worku ze względu na odwołania do polskiego ruchu narodowego oraz zaangażowanie w wydarzenia po katastrofie w Smoleńsku.

W wielu miejscach Rzeczkowski robi wrażenie znajomością szczegółowych informacji o opisywanych osobach. Przykładowo znany mu był fakt bliskiej współpracy Sebastiana Bojowskiego z Mariuszem Kamińskim i Maciejem Wąsikiem w Lidze Republikańskiej. Bardzo często jednak powołuje się na wątpliwe informacje zawarte w tekstach tak kontrowersyjnych autorów jak Tomasz Piątek, przy czym cytując, wykazuje się instynktem samozachowawczym, który powinien pozwolić uniknąć licznych procesów, które słusznie wytaczają Piątkowi zniesławione osoby i organizacje.

Polaryzacja w Polsce jest zjawiskiem szkodliwym, a wydarzenia po katastrofie smoleńskiej przyczyniły się do jej nasilenia. Jednakże Grzegorz Rzeczkowski zamiast zbadać jej przyczyny i udział obcych służb w powstaniu podziałów, wykorzystał instrumentalnie temat, by zaatakować prawicowe środowiska kultywujące pamięć o polskim ruchu narodowym, zrównując je jednocześnie z groteskowymi aktorami kremlowskich operacji w Polsce. Zastanawiające, że dziennikarz „Polityki” oskarża o realizację celów Moskwy właśnie to środowisko, które stara się blokować jej działania i umacniać relacje transatlantyckie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



GRZEGORZ RZECZKOWSKI
„KATASTROFA POSMOLEŃSKA. KTO ROZBIŁ POLSKĘ?”
TARCZA 2020



FOT. JAKUB KANISZKI/GET NEWS

Z Andrzejem Mikoszem, prawnikiem
rozmawia Marcin Makowski

Temat odszkodowań nie zniknie

MARCIN MAKOWSKI: Czy rząd popełnił błąd, wprowadzając stan epidemii na terytorium kraju?

ANDRZEJ MIKOSZ: Nie wiem, czy rząd popełnił błąd, ale na pewno realizował swoje cele. W związku z tym wprowadził taki stan, jaki chciał wprowadzić. Pytanie, jak je definiował? Odnosnie do polityki nie chciałbym spekulować, ale w wąskim horyzoncie realizuje to cel swoistej „ochrony” kalendarza wyborczego. Mam wrażenie, że cena, jaką przyjdzie za to zapłacić, jest jednak zbyt wysoka.

Dlaczego?

Ponieważ stan wprowadzony przez rząd nie odpowiada temu, co dzieje się w naszym kraju. Nie mamy bowiem do czynienia z epidemią, ale z transmisją poziomą patogenu na terytorium całej Polski w efekcie pandemii, która występuje globalnie. Nie da się zwalczać pandemii metodami czysto epidemicznymi. Nie da się izolować jednego ośrodka choroby, nie możemy go również zamknąć, tworząc „strefy zero”.

Tyle że przy wprowadzeniu stanu epidemii posłużono się konkretną podstawą prawną – ustawą z 2008 r. oraz ustawą o zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych z 2019 r.

Owszem, ale rozporządzeniom władzy wykonawczej nie przysługuje domniemanie zgodności z konstytucją. W każdej sprawie rozważanej przez siebie sędzia Rzeczypospolitej podejmuje

decyzje na podstawie ustawy. Chociaż nie może podważyć jej w sposób skuteczny erga omnes – czyli wobec wszystkich – to może samodzielnie stwierdzić, że uchwalone przepisy nie obowiązują, bo zostały uchwalone z naruszeniem prawa. Taki przypadek wydarzył się w tej chwili u naszego południowego sąsiada. W Czechach sąd miejski w Pradze stwierdził, że rozporządzenie wydane przez ich ministra zdrowia na tej samej zasadzie co w Polsce jest niezgodne z konstytucją. Czeski rząd się zreflektował, wprowadzając nowe rozporządzenia, oparte na przepisach o stanach nadzwyczajnych. Tego typu błędy nie są zatem popełniane tylko nad Wisłą.

Analogiczny scenariusz powinien zostać powtórzony w Polsce?

Jeśli byłaby na to szansa, to należałoby działać błyskawicznie, niedługo bowiem będzie za późno. W tej chwili istnieje możliwość dokonania zmian w ustawie o odpowiedzialności państwa w przypadku ogłoszenia stanów nadzwyczajnych. Została ona przyjęta 18 lat temu przez większość SLD i jest – mówiąc wprost – fatalna. Dopiero później moglibyśmy bezpiecznie wprowadzić stan klęski żywiołowej.

Sądzi pan, że to jeszcze możliwe przy całkowitym upolitycznieniu kwestii wprowadzania stanów nadzwyczajnych w kontekście wyborów?

Nie wiem, ale jeśli się to nie uda, wówczas można powiedzieć, że politycy, którzy rządzą Polską, lekce sobie ważą dobro wspólne i interes obywateli. Dlatego że konsekwencje ich złych decyzji poniesiemy wszyscy jako podatnicy.

W jakim sensie? Rządzący argumentują przecie, że nie wprowadzają stanu klęski żywiołowej, aby nie musieć po jego ustaniu wypłacać wielomiliardowych odszkodowań przedsiębiorcom, które zrujnowałaby budżet państwa. Chronić przed tym ma właśnie wariant pośredni, czyli stan epidemii.

To nieprawda. Konstytucja przewidziała możliwość miarkowania odszkodowań za naruszenie praw, wolności i własności obywateli oraz przedsiębiorców wyłącznie w przypadku wprowadzenia jednego ze stanów nadzwyczajnych. Mówi o tym przepis art. 228 ust. 4 konstytucji, który uprawnia Sejm i Senat do określenia zakresu i podstaw, a także trybu wyrównywania przez Skarb Państwa strat majątkowych. Takiego uprawnienia polski ustawodawca i rząd nie posiadają w przypadku innych stanów, czyli np. epidemii. Obserwujemy w tej chwili krótkotrwałą radość władzy, że udało jej się „obejść” temat odszkodowań, ale on nie zniknie. Na podstawie działań podjętych w Polsce to, czego się najbardziej boimy – czyli wystosowania roszczeń przez międzynarodowe korporacje przeciw naszemu państwu – może się za kilka lat wydarzyć. I takie odszko-

dowania zostaną najprawdopodobniej zasądzone.

Na jakiej dokładnie podstawie prawnej?

Przynajmniej na kilku. Po pierwsze, można się domagać odszkodowań na podstawie przepisów Kodeksu cywilnego art. 417 dotyczącego bezprawnego działania urzędników. Firmy mogą również działać w oparciu o umowy o wzajemnej ochronie inwestycji oraz korzystać z narzędzi prawa międzynarodowego. Nawet jeżeli coś nie zostanie zasądzone przez polski sąd, to będzie można wystąpić przeciwko Polsce w międzynarodowych trybunałach arbitrażowych.

Rząd nie uwzględnił tego ryzyka?

Możliwe, że władza czeka na przyjęcie standardu międzynarodowoprawnego, który zostanie ustanowiony już po zwalczeniu pandemii koronawirusa i będzie chronił państwa przed dochodzeniem za dochodzących w podobnych sytuacjach. Nie wiem jednak, na czym realnie opiera się nadzieja PiS, że uniknie najgorszego scenariusza.

A może rozwiązaniem tego problemu byłaby poprawka do „ustawy COVID-dowej”, która wzbogacała ją o zapis porównywalny z miarkowaniem odszkodowań przy stanach nadzwyczajnych?

Ustawowo nie da się tej luki załatać; konstytucja nie przewiduje zastosowania takiej ewentualności w żadnym innym scenariuszu – nic na to nie poradzimy. Trzeba się po prostu stosować do zapisów ustawy zasadniczej, a ta jasno wskazuje, że stan epidemii nie jest jednym z trzech stanów nadzwyczajnych.

I tutaj koło się domyka. Nie pomogłoby nawet wprowadzenie stanu klęski żywiołowej ze względu na suszę?

Samo wprowadzenie nie, jeśli nie zostałaby również znolizowana wspomniana ustawa z 2002 r. o miarkowaniu odszkodowań. Ona w przypadku szkody rzeczywistej i utraconych zysków jest niezwykle ułomna, zakłada bowiem, że gdyby w momencie wojny dowódca musiał wyburzyć kilka budynków na linii strzału, państwo byłoby zobowiązane do wypłacenia ich właścicielom odszkodowania. Kompletna bzdura. Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. Żeby to jednak zmodyfikować, musielibyśmy najpierw mieć ów stan nadzwyczajny – inaczej się nie da. Zamiast tego mamy jednak legislacyjne „buble” w postaci nieodpowia-

dającego faktom stanu epidemii, który miałby sens tylko wtedy, gdyby w Polsce pojawiło się – dajmy na to – odizolowane ognisko cholery. Na tym polega właśnie paradoks i szkodliwość sytuacji, w której musimy prawnie funkcjonować.

Dlaczego pana zdaniem ten argument – a wydaje się przecież w pełni racjonalny – nie jest obecny w debacie publicznej? Dlaczego nie sięga po niego opozycja?

Być może dzieje się tak dlatego, że większość decydentów nie przeczytała ustaw i samej konstytucji, a dyskusję o wyborach i stanie klęski żywiołowej sprowadza do roli ideologicznej wymiany ciosów. Tak jest znacznie prościej.

Skoro – jak pan twierdzi – mamy do czynienia z obchodzeniem prawa i konstytucji, to komuś z rządzących może grozić odpowiedzialność karna?

W tym przypadku w szeregach władzy mamy do czynienia z odpowiedzialnością konstytucyjną, a jak wiemy, zajmuje się nią Trybunał Stanu. A tam jeszcze nigdy nikogo nie ukarano. W związku z tym nie wiem, czy kiedykolwiek dojdzie do tego, że ktoś poniesie przed tym organem odpowiedzialność. Pewne zdarzenia mogą jednak powodować odpowiedzialność karną czy cywilną. Jeśli działanie urzędnika spowodowało czyjeś straty, to taka osoba może dochodzić praw indywidualnie. Na razie jednak nie wydaje mi się, aby to było bardzo prawdopodobne.

I może tutaj leży sedno problemu – świadomość trudnych do wyegzekwowania konsekwencji obchodzenia prawa i iluzoryczna odpowiedzialność?

Trudno z tym polemizować.

A gdybyśmy obudzili się jutro w rzeczywistości, w której prawo działa, kto pana zdaniem powinien odpowiadać przed Trybunałem Stanu?

Za wydanie rozporządzeń odpowiadają członkowie rządu. Zwykli posłowie nie ponoszą odpowiedzialności przed Trybunałem Stanu.

Pójdźmy dalej. Skoro – jak pan przekonuje – stan epidemii został wprowadzony niezgodnie z prawem, czy wybory, które najprawdopodobniej odbędą się w takiej sytuacji w maju – a nie będą przesunięte ze względu na pauzę konstytucyjną po stanie klęski żywiołowej – same w sobie nie będą obciążone wadą prawną?

Nie, ponieważ w tym przypadku mówimy o braku działania rządu. Nie o niezgodnej z prawem zmianie czy

przesunięciu terminu, ale pozostaniu na tym wyznaczonym wcześniej. Upraszczając, zaniechanie rządu odnośnie do wprowadzenia stanu nadzwyczajnego nie przekłada się na ważność wyborów prezydenckich. Osobną kwestią jest sama konstytucyjność ustawy o powszechnych wyborach korespondencyjnych, ale w to nawet nie wchodzi, bo to osobna i zawiła historia, która nie jest przedmiotem mojej analizy.

Czy sądzi pan, że polską klasę polityczną – gdy dowie się już o zaistniałym problemie – będzie stać na jedność w temacie stanu nadzwyczajnego oraz zmiany ustawy o odszkodowaniach?

Moim zdaniem absolutnie powinni to zrobić, bo posiadają w rękach wszystkie niezbędne narzędzia. Senat w tej chwili ma inicjatywę ustawodawczą – jeśli opozycja ma w nim większość, to powinna ją wykorzystać do stworzenia projektu, który później musiałby być rozpatrzony przez Sejm, wywołując dyskusję i stając się punktem odniesienia. Byłby to istotny fakt polityczny, dodatkowo oparty na chęci uniknięcia ryzyka zapłacenia przez Polskę wielomiliardowych odszkodowań. Czy przywódcy opozycji są w stanie zdobyć się na taki akt polityczny? Nie wiem.

A gdyby miał pan na coś postawić? Jest szansa na taki obrót wypadków?

Ciągle wierzę, że Polacy dojrzeli do tego, aby mieć niepodległe państwo. Jeżeli rząd, w imię partyjnie zdefiniowanych celów, nie próbuje, to może opozycja jest w stanie z siebie taką inicjatywę wykrzesać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Andrzej Mikosz – prawnik, były członek Komisji Papierów Wartościowych i Giełd (1998–2000), minister skarbu państwa w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza (2005–2006), obecnie partner w międzynarodowej kancelarii Taylor Wessing; w latach 2008–2009 reprezentował Republikę Polską w sporze z holenderskim Eureko BV o kontrolę nad PZU SA, zakończonym ugodą. Poglądy wyrażone w wywiadzie stanowią przejaw osobistych zapatrywań i niekoniecznie są zgodne z opinią kancelarii Taylor Wessing



25 kwietnia na naszym portalu Dorzeczy.pl opublikowaliśmy tekst „Uczona niewiedza koronawirusa. Wielka pandemia czy największa pomyłka?”. Jego autor, prof. Włodzimierz Julian Korab-Karpowicz pisał w nim m.in.: „Wielkie spustoszenie w medycynie zrobiła nadmierna specjalizacja. Poza nielicznymi wyjątkami lekarze boją się mówić o tym, co wykracza poza ich wąską dziedzinę. Kiedy się wypowiadają, to rzadko wybiegają poza swoją specjalność. Tymczasem, aby w pełni ogarnąć zjawisko koronawirusa, potrzebna jest wiedza syntetyczna, nie tylko z medycyny, lecz także z socjologii,

Miałem okazję przedstawić te opinie w rozmowie z redaktorem Krzysztofem Skowrońskim dnia 30 marca. Dzisiaj rano [list otrzymaliśmy 28 kwietnia – przyp. red.] miałem przyjemność wysłuchać rozmowy pani redaktor Uchaniuk-Gadowskiej z panem profesorem w Radiu Wnet. Bardzo dziękuję również i za tę dzisiejszą wypowiedź.

Z perspektywy miesiąca od mojego wystąpienia, śledząc bardzo uważnie najróżniejsze komunikaty i niesłychanie bogatą debatę w Internecie na temat wirusa, dochodzę do paru wniosków, którymi chciałbym się z Państwem podzielić.

Po pierwsze i bardzo dla mnie zaskakujące. Przodownikiem w tej debacie okazały się Niemcy! Śledzę głównie niemieckie

głosy polskich wirusologów, epidemiologów czy lekarzy, którzy mieliby odwagę wyrazić inne zdanie niż minister zdrowia Łukasz Szumowski. W każdym razie, nie na taką skalę jak w Niemczech.

Opierając się na opiniach specjalistów głos zabrali obrońcy wolności. W Niemczech, zdaje się, że także w USA, podchodzi się do oceny narzucanych ograniczeń od strony obrony wolności i obrony demokracji. Podnoszona jest sprawa kosztów humanitarnych tych ograniczeń. O kosztach gospodarczych słyszy się także w mediach oficjalnych, ale tam nie mówi się wcale

Wolność odchodzi

ekonomii, psychologii i politologii. Ponieważ osób posiadających tak szeroką wiedzę jest niewiele, a jednocześnie potrzeba odwagi cywilnej, aby wypowiedzieć poglądy znacznie różniące się od tzw. mainstreamu, otrzymujemy dziś błędny, o ile nie zakłamany, obraz pandemii i równie błędne zalecenia”.

Artykuł kilka dni po publikacji przeczytano blisko 1,2 mln razy, pojawiły się pod nim tysiące komentarzy. Publikujemy jeden z przesłanych do nas e-maili. Jego autorem jest dr Andrzej Fleszar, fizyk z Uniwersytetu w Würzburgu.

Szanowni Państwo,

z zainteresowaniem i całkowitą akceptacją przeczytałem artykuł pana profesora pt. „Uczona niewiedza koronawirusa. Wielka pandemia czy największa pomyłka?”.

Jestem bardzo wdzięczny panu profesorowi za wyrażony publicznie rozsądny głos w sprawie tej tzw. pandemii. Miesiąc temu sam próbowałem tego dokonać, kontaktując się z Radiem Wnet. Moim celem było zwrócenie uwagi polskiej opinii publicznej na fachowe głosy, które pojawiły się w Niemczech, głosy przeciwne zastosowaniu środków walki z epidemią.



PIS. ANDRZEJ FLESZAR

wypowiedzi na temat pandemii i środków walki z nią, do pewnego stopnia jestem też zapoznany z głosami angielskojęzycznymi i trochę też włoskimi.

W Niemczech nastąpiło coś w rodzaju „erupcji” w Internecie. Głos zabrało bardzo wielu uczonych i lekarzy, którzy fachowo i przekonująco krytykują środki podejmowane przez rząd niemiecki (nb. środki łagodniejsze od bardzo drastycznych środków podjętych w Polsce). Liczba, a zwłaszcza jakość tych głosów jest doprawdy imponująca. Są to bowiem głosy czołowych, światowej sławy ekspertów niemieckich.

Takiego zjawiska chyba nie można zaobserwować w Polsce. Nie są mi znane

o powstałych ogromnych problemach humanitarnych. Tam panuje oficjalna i powszechna propaganda słuszności polityki rządu. W Niemczech włączają się do działania adwokaci, składając przeciw decyzjom rządowym pozwy do sądów.

Zrobił tak również mój znajomy adwokat z Würzburga (Rechtsanwalt) RA Georg Dierkes, który złożył do bawarskiego Trybunału Konstytucyjnego (Bayerischer Verfassungsgerichtshof) tzw. Popularklage, czyli skargę konstytucyjną. Opierając się na konkordacie zawartym pomiędzy Stolicą Apostolską a Państwem Bawarii w roku 1924, dowodzi on bezprawności wprowadzenia zakazu sprawowania mszy św., jak też domaga się swobody odwiedzania ludzi starszych i upośledzonych w ośrodkach opiekuńczych przez ich rodziny i duszpasterzy. RA Georg Dierkes dokonał bardzo gruntownej analizy danych naukowych nt. wirusa i doszedł na ich podstawie do bardzo interesującej tezy. Sugeruje on, że wirus, z którym mamy obecnie do czynienia, nie pojawił się po raz pierwszy w Chinach pod koniec ubiegłego roku, lecz był już obecny wcześniej w Niemczech. Przez ostatnie dwa zimowe sezony, a więc w latach 2017/2018 i w latach 2018/2019, nawiedziły Niemcy bardzo silne fale grypy. W sezonie gry-

W Polsce trwają w najlepsze walka polityczna, spory o termin i formułę wyborów prezydenckich, ale nie zauważa się, że nagle odebrano nam wszystkim naszą wolność, wręcz naszą codzienność

powym 2017/2018 ofiar śmiertelnych grypy w Niemczech było co najmniej 25 tys.! Wówczas jednak nie robiono żadnych testów na obecność wirusów SARS-CoV, uważano je podobno za nieobecne.

Z robionych wówczas punktowo testów okazało się jednak, że tylko w ok. 50 proc. przypadkach zostały zidentyfikowane „normalne” wirusy, takie jak influenza

Myślę, że tak. Dzisiaj wysłuchałem bardzo ciekawej rozmowy Ewy Herman z Andre-
asem Poppem: <https://www.youtube.com/watch?v=VOMMmOfhals>

Polecam ją Państwu. Mowa w niej o na-
głej i zadziwiającej wolcie pisma „Bild”,
pisma, które podobno decydująco wpływa
na politykę niemiecką. Otóż „Bild” po
miesiącach popierania polityki kanclerz

Ofiar w Niemczech zupełnie nie widać, szpitale są puste, wszelkie alarmistyczne prognozy serwowane wcześniej przez Instytut Roberta Kocha, przez profesora Drosten z berlińskiej Charite czy – nie wiedzieć dlaczego – Johns Hopkins University, który stał się światowym centrum „walki” z pandemią, a więc te prognozy zupełnie się nie sprawdziły.

Teraz chciałbym napisać parę słów o Polsce. Otóż zadziwiło mnie to, że w Polsce udało się znacznie łatwiej i na większą skalę „spacyfikować” społeczeństwo, niż miało to miejsce w Niemczech. Spacyfikować, czyli wytworzyć powszechny strach i bezbronność wobec całej sytuacji. Uzyskać akceptację dla jednych z najbardziej drastycznych działań, jakie podjęło jakieśkolwiek państwo w świecie wobec swojego społeczeństwa. W Polsce trwa w najlepsze walka polityczna, spory o termin i formułę wyborów prezydenckich, ale nie zauważa się tak mocno, jak to jest w Niemczech, że nagle odebrano nam wszystkim naszą wolność, wręcz naszą codzienność. Nie ma nad tym szerszej refleksji w mediach, które uważałem dotychczas za niezależne (myślowo) i reprezentujące również i moje poglądy.

Jestem rozczarowany faktem, że tak mało w polskich mediach mówi się o faktach dotyczących koronawirusa, przedstawianych przez naukowców z różnych krajów, których to naukowców nazywam teraz „dysydentami”, w najbardziej pozytywnym znaczeniu tego słowa. Wypowiedź pana profesora Korab-Karpowicza jest niestety jedną z nielicznych, chciałoby się, aby polskie media podjęły ten temat znacznie szerzej.

I jeszcze ostatnia uwaga. Jeśli jest prawdą, że to otoczenie Donalda Trumpa spowodowało zwrot w polityce redakcyjnej „Bild” i wkrótce okaże się już oficjalnie, że te wszystkie odgórne ograniczenia w Niemczech były zupełnie niepotrzebne, to jak będzie wyglądała sytuacja rządu PiS i jak będą się tłumaczyli minister Szumowski i premier Morawiecki? Należy się spodziewać, że pan Szumowski zostanie ofiarą tej sytuacji. Sądząc jednak po jego posunięciach, to albo nie zdaje sobie z tego sprawy, albo z jakichś powodów uważa się za mocniejszego niż prezydent Trump. Może więc jest po stronie Billa Gatesa, WHO i Johns Hopkins University?

**Serdecznie Państwa pozdrawiam
Andrzej Fleszar**

po cichu

A czy B. Pozostałe 50 proc. przypadków mogło być więc związanych z wirusem SARS-CoV. Gdyby tak było, można by postawić pytanie, którego jednak RA Dierkes nie stawia: czy obecność SARS wówczas w Niemczech nie wiąże się z ogromną falą uchodźców, którą przyjęły Niemcy?

W każdym razie obecna epidemia COVID-19 przebiega w Niemczech bardzo łagodnie, co RA Dierkes przypisuje uzyskanej przez społeczeństwo w latach poprzednich odporności zbiorowej. [...]

Ze swej strony dodam, że z uwagi na trwającą od bardzo wielu lat wymianę ludzi między Niemcami a Polską (setki tysięcy pracujących w Niemczech Polaków, odwiedziny w Polsce osób polskiego pochodzenia z Niemiec itd.), sytuacja epidemiczna i odpornościowa w Niemczech i Polsce musi być podobna.

Merkel wobec pandemii, nagle, z dnia na dzień, publikuje na pierwszej stronie materiały podważające słuszność tej polityki. Materiały zgodne z opiniami ekspertów dysydentów, o których już wspominałem. Rozmówcy, Eva Herman i Andreas Popp, sugerują, że przyczyną tej wolty o 180 stopni jest nowa polityka prawdziwego właściciela pisma, którym od niedawna nie jest już Axel Springer Verlag, lecz amerykański koncern KKR, podobno stojący blisko prezydenta Donalda Trumpa.

Tak więc przejście przez środowisko Donalda Trumpa pisma mającego podobno ogromny wpływ na politykę niemiecką może się okazać znaczącym ruchem w polityce europejskiej i światowej. Już nie tylko w polityce wobec koronawirusa, a więc w sporze Donalda Trumpa z WHO, czyli także w konflikcie z Billem Gatesem, lecz także istotne dla stabilności sytuacji politycznej w Niemczech.

Można sobie wyobrazić zatem, że krytyka rządu pani Merkel coraz silniej będzie obecna w oficjalnych niemieckich mediach, a podłożem tej krytyki będzie ogromne niezadowolenie społeczne z zastosowanych środków w walce z wirusem. Te środki są bowiem niezrozumiałe wobec widocznej gołym okiem dla każdego fikcyjności zagrożenia ze strony wirusa.

Widoczne w Niemczech „w podziemi”, czyli w Internecie, oburzenie i szok wydaje się być tak głębokie, że mówi się o powołaniu nowej partii. Ktoś już wymyślił dla niej nazwę: Widerstand2020! Czy możliwa jest więc w przyszłości spowodowana pandemią przebudowa sceny politycznej w Niemczech?

Refleksje „obywatela”

Ja pracuję zazwyczaj nocą – a obudził mnie przeziły redaktor Bardzo Popularnej Gazety, pytając, czy na apel Pana Prezydenta nie przekazałbym „500+” (jak rozumiem: Skarbowi Państwa?). Odruchowo odpowiedziałem, że niespecjalnie bym zauważył różnicę, a państwo to już na pewno nie – i chciałem nadal spać, gdy zadzwonił po raz drugi.

I wtedy uprzytomniłem sobie, co przed chwilą powiedziałem...

Ja miałbym dobrowolnie przekazać choćby złotówkę temu państwu, którego nienawidzę?

Powiedzmy jasno: ja kocham Polskę. Kocham mój kraj jęczący pod okupacją – a to sanacji, a to Generalnej Guberni, a to PRL, a to III Rzeczypospolitej. Każdy kraj, poza Antarktydą, jest pod okupacją jakiegoś państwa – ale są państwa lepsze i gorsze.

O Polakach śp. Winston Churchill powiedział, że jesteśmy narodem „najdzielniejszym z dzielnych, ale rządzone przez najpodlejszych z podłych”. Bardzo celna opinia. I ja mam tym podlecom wręczyć jakieś pieniądze?

Przecież natychmiast kupią za to jakiś fotoradar, dadzą na benzynę policjonomu samochodowi, który będzie śledził kierowców... Gorzej: dadzą jakiejś „samotnej matce” dzieci wielu ojców – a ja mam jej potem płacić alimenty zwane „zasiłkiem”? Albo jakimś nysusowi, któremu się nie chce pracować?

Mój śp. Ojciec nienawidził Adolfa Hitlera, któremu musiał płacić podatki i który nakładał na Niego rozmaite



ograniczenia. I słusznie: socjalistów trzeba nienawidzić. Tylko obecne państwo nakłada na mnie podatki trzy razy wyższe, niż Hitler nakładał (na początku okupacji...) na mojego Ojca! I w aptece Ojciec mógł kupić bez recepty niemal dowolny lek (o ile był – bo w socjalizmie zawsze wszystkiego brakuje...) – nawet amfetaminę!

Pod koniec wojny podatki w Generalnej Guberni doszły PRAWIE do obecnego poziomu – ale przynajmniej część szła na zbożny cel, którym była walka ze Związkiem Sowieckim. Natomiast obecne państwo „polskie” wydaje moje pieniądze na demoralizację mojego narodu! Bo dawanie pieniędzy za nic to demoralizacja. A najskuteczniej niszczy naród nie ten, kto wymorduje połowę jego członków, lecz ten, kto daje przywileje tym, którym się one nie należą!

PRL trzymała ludzi w rykach terrorem, przynajmniej na początku. III RP nie stosuje terrorku, tylko ludzi przekupuje. Jest to znacznie bardziej niemoralne. I bardzo kosztowne.

Nienawidziłem PRL za to, że zadłużyła Polskę na 40 mld dol.; 10 razy bardziej nienawidzę III Rzeczypospolitej, która zadłużyła Polskę na 400 mld dol.! Przecież tych pieniędzy nie spłaca pp. Kwaśniewski, Wałęsa, Tusk, Morawiecki czy Kaczyński – te pieniądze będą musiały zapłacić NASZE dzieci i wnuki. Oni sobie z „zarobionymi uczciwie” lub ukradzionymi umiejętnie pieniędzmi wyjadą na wyspy Fidżi, a nasze dzieci będą musiały to spłacać!

Czy rozumiecie, jaką krzywdę ta banda „polityków” wyrządziła obywatelom Polski i ich potomkom?

Ja jestem wybrany przez Polaków, bym kontrolował to państwo. Podobnie Pan Prezydent, W. Dostojni Senatorowie i W. Czcigodni Posłowie. Jednak poza małą garstką wszyscy oni, z Panem Prezydentem na czele, zamiast wziąć ten aparat państwa pod but, zmusić premiera, ministrów, wojewodów i innych urzędników, by działali dla Polski – oni działają na rzecz III Rzeczypospolitej, czyli okupanta Polski!!! Przy

okazji pozwalając urzędnikom rozkradać – a co gorsze: marnować – nasze pieniądze.

Albo za pieniądze babci spod Mławy wybudują jakąś operę (do której potem trzeba dopłacać...) i wmurują swoje nazwiska jako Twórcy Kultury – albo, co gorsze, zdemoralizują wnuka tej babci, wręczając mu zasiłek za nieróbstwo.

Jako poseł powinienem to państwo kontrolować – ale nie mogę! Polską rządzi horda ludzi, którzy albo są łajdakami, albo – co gorsza – nie rozumieją, czym różni się Polska od okupanta naszej ziemi, i uważają, że jeśli odbiorą Polakom 1 tys. zł, 400 zmarnują i wpłacą 600 do Skarbu Państwa – to wzbogacili Polskę!!! Oni tak naprawdę myślą – i uważają się za patriotów! Tymczasem wzbogacili państwo – a Polskę zubożyli.

Mam 78 lat i przy życiu trzyma mnie szczerza nienawiść do tych najpodlejszych z podłych, którzy rządzą tym państwem, niszczącym mój kraj; którzy wyrzucili na emigrację kwiat naszej młodzieży, a resztę demoralizują zasiłkami. Oczywiście jestem lojalnym obywatelem tego państwa, obowiązki względem niego przykładnie wykonuję (ale zakazu wchodzenia do lasu i innych kretynizmów nie przestrzegam!), co trzeba, płacę, na ile mogę, kontroluję i donoszę obywatelom, co te łajdaki z ich pieniędzmi robią. Ale żebym miał dobrowolnie wpłacić na to państwo?

Jeśli się uda obalić III Rzeczpospolitą i na jej miejscu zbudować normalne państwo polskie – mam nadzieję dożyć tej chwili – to wtedy pogadamy!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Janusz Korwin-Mikke



dla **młodszych**
i tych trochę
starszych

W **soboty i niedziele**

17:35

od **poniedziałku do piątku**

9:20

Austria 1945, czyli godzina zero



Piotr Semka

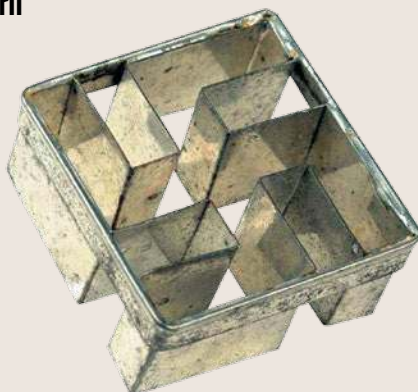
Pomysł na tę wystawę był dziecinnie prosty. Z 11 muzeów zebrano po jednym przedmiocie symbolizującym dramaty, ale i nadzieje ostatniego okresu wojny oraz pierwszego półrocza odrodzonej Austrii. Pochylmy się nad tymi niemymi świadkami historii

Nie wiadomo, jak długo jeszcze muzea na całym świecie będą zamknięte ze względu na koronawirusa. W tej sytuacji wiele placówek kultury uruchamia ekspozycje wirtualne. Przyzwyczailem państwa do recenzji z wystaw muzealnych, ale czas oswoić się z tą świeżą formą obcowania z ekspozycjami. Jednym z nowatorów jest Haus der Geschichte Österreich – Dom Historii Austrii w Wiedniu. 75. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej na terenie ziem austriackich uczcił on wystawą „Jedenaście spojrzeń na rok 1945”.

1. SWASTYKA – FOREMKA DO BOŻONARODZENIOWYCH CIASTECZEK Muzeum Górnej Austrii w Linzu

Ta foremka do ciastek w kształcie swastyki została znaleziona przez zaszokowaną mieszkankę Linzu wiele lat po wojnie w pudle wraz z 80 innymi tradycyjnymi foremkami do bożonarodzeniowych ciastek. Ten niewielki eksponat uświadamia, jak głęboko nazizm przeniknął w życie rodzinne i w obyczajowość związaną z religią.

Dzisiaj mało kto już zaprzecza, że Austria po zajęciu jej przez Hitlera w ramach Anschlussu w marcu 1938 r. była krajem dogłębnie znazyfikowanym. W referendum z 10 kwietnia 1938 r. za wejściem w skład III Rzeszy opowiedzia-



ło się 99,73 proc. wyborców. Przeciw było 0,27 proc., czyli 11 929 wyborców.

Chociaż wybory odbywały się w atmosferze utajonego terroru, a głosowanie trudno uznać za tajne, to historycy są zdania, że wynik raczej nie został sfałszowany. Przez kolejne siedem lat nazyfikacja postępowała, ruch oporu był słaby i dopiero od klęski stalingradzkiej zaczęły powoli budzić się obawy przed konsekwencjami zauroczenia Hitlerem.

2. MANIERKA WYKOPANA Z GROBU OFIAR MARSZU ŚMIERCI W ST. FLORIAN Dom Historii Austrii

Ta metalowa butelka na wodę została wydobyta z grobu ofiar masowej masakry, Żydów węgierskich, których wywieziono na przymusowe roboty w zachodniej Austrii. Gdy zbliżali się Sowieci, przeganiano ich w kierunku zaimprovizowanego obo-



zu koncentracyjnego w Günskirchen koło Wels. W grobie odnaleziono 99 innych ciał. Sprawcami mordu byli strażnicy rekrutowani z miejscowej ludności. Z 30 tys. ofiar marszy śmierci węgierskich Żydów wymordowano do końca wojny 23 tys. ofiar.

Okres kwietnia i maja 1945 r. uzyskał w austriackiej historiografii określenie „kulminacja przemocy”. Na teren Austrii spędzano wtedy ewakuowanych więźniów z obozów leżących na ziemiach zajętych przez aliantów. Im bliżej było końca wojny, tym częstsze były masakry więźniów kacetów. Także próby kapitulacji miast w wielu wypadkach kończyły się rozstrzeliwaniem przez SS „defetystów” i „tchórzy”. Ostatnie ofiary nazistowskiego fanatyzmu zginęły 10 maja 1945 r. Było to dziewięciu węgierskich Żydów, których zabrali w góry niedaleko Übelbach w Styrii ukrywający się esesmani i członkowie Volkssturmu.

3. OPASKA PRACOWNIKA WYDZIAŁU KULTURY RATUSZA MIASTA WIEDNIA PO ZDOBYCIU WIEDNIA PRZEZ ARMIĘ CZERWONĄ Muzeum Miasta Wiednia

9 marca 1945 r. wojska radzieckie na 3. froncie ukraińskim pod dowództwem



marszałka Fiodora Tolbuchina przekroczyły dzisiejszą granicę austriacką pod Klostermarienberg w Burgenlandzie. Próba wojskowej grupy oporu poddania Wiednia bez walki skończyła się niepowodzeniem; trzech członków sprzysiężenia zostanie powieszonych na Floridsdorfer Spitz 8 kwietnia – wojska radzieckie już walczą w niektórych częściach miasta. Walki o wyzwolenie Wiednia trwały od 6 do 13 kwietnia 1945 r. i były niezwykle zacięte.

Sowieci podkreślali, że chcą odbudować Austrię i nie chcą decydować o jej ustroju. Na dowód szacunku dla austriackiej kultury delegacja oficerów sowieckich złożyła kwiaty na grobach Mozarta i Johanna Straussa. Rosjanie stworzyli nowe władze miejskie, szczególnie dbając o kulturę. W końcu tak Wiedeń, jak całą Austrię podzielono na cztery alianckie strefy okupacyjne.

4. DRZWI DO PIWNICY NABIJANE GWOŹDZIAMI Z DEKORACJĄ KU CZCI PRZYŁĄCZENIA AUSTRII DO RZESZY

Muzeum Joanneum w Styrii

Po zakończeniu wojny większość spontanicznych dekoracji czczących Anschluss do III Rzeszy była pospiesznie usuwana i likwidowana. W przypadku tych drzwi do piwnicy z Priebing, widocznych z ulicy, właściciele domu uznali, że zamalowanie dekoracji białą farbą

wystarczy. W 2018 r. kolejni właściciele domu odkryli ponurą pamiątkę i przekazali ją do muzeum.

5. DZIENNIK USTAW OKRĘGU RZESZY TYROL-VORARLBERG Z DZIURĄ PO ODŁAMKU POCISKU Muzeum Vorarlbergu w Bregencji

Ten przedziurawiony tom to pamiątka po francuskim ostrzale artyleryjskim Bregencji z 1 maja 1945 r. Francuzi za-



Dopiero po pewnym czasie odkryto, że „Alpenfest” było blefem.

6. ZDJĘCIE Z ARESZTOWANIA GAULEITERA KARYNTII FRIEDRICHA RAINERA Muzeum Landu Karyntia w Klagenfurcie

Gauleiter Karyntii i części okupowanej Słowenii – Friedrich Rainer – uciekł w góry kilka godzin przed zajęciem Klagenfurtu przez wojska brytyjskie. Wraz z Odilo Globocnikiem, katem Lubelszczyzny, i innymi wysokimi rangą masowymi mordercami Rainer ukrył się w Górnej Karyntii, skąd – tak jak wielu innych nazistów – chciał uciec do Włoch. Grupa Rainera została aresztowana 31 maja w Alpach niedaleko Paternion.

Fotografia pokazuje brytyjskich żołnierzy z więźniami: w środku stoi Friedrich Rainer, za nim Hermann Höfle i Georg Michalsen – obaj odpowiedzialni za liczne zbrodnie w Polsce. Ciało



atakowali też z powietrza. Skąd taka nawała ogniowa przy zdobywaniu miasta?

Wiosną 1945 r. propaganda Goebbelsa zaczęła lansować hasło „Twierdzy alpejskiej”. W myśl tych przechwałek Górny Tyrol, Styria i Karyntia miały stać się doskonale ufortyfikowanym ostatnim bastionem Rzeszy, w którym schroniłyby się czołówka III Rzeszy. Jej zdobycie miało być dla aliantów niemożliwe. W rezultacie zarówno oddziały francuskie, które 29 kwietnia dotarły do Vorarlbergu, jak i Amerykanie, którzy osiągnęli Tyrol, zachowywali się bardzo ostrożnie i wszelkie punkty oporu zasypywali pociskami.

Globocnika widać w tle – po pierwszym przesłuchaniu popełnił samobójstwo, łykając cyjanek. Rainera wydano Jugosławii, gdzie odpowiedział za swe zbrodnie w Słowenii. Po procesie został powieszony 19 lipca 1947 r. w Lublanie.

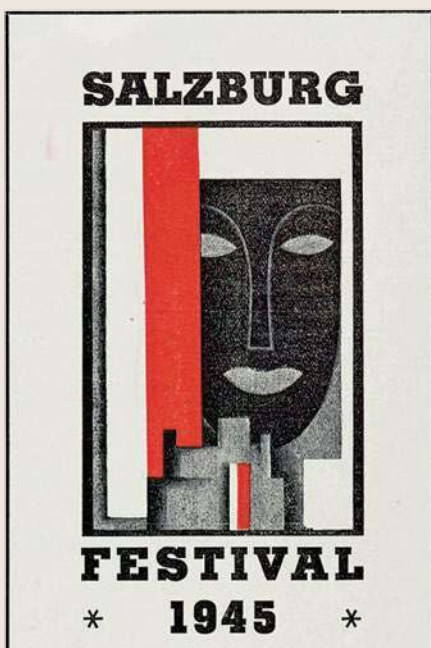
7. BUT KOBIETY Z RODZINY KOZACKIEJ WYDANEJ PRZES BRYTYJCZYKÓW SOWIETOM Muzeum Tyrolskie w Lienzu

Gdy w maju 1945 r. wojska brytyjskie dotarły do Dolomitów i doliny Drawy w Karyntii, zastały tu 50 tys. kozaków, którzy po agresji na ZSRS poszli na służbę III Rzeszy. Wszystkich (nawet





■ białogwardzistów – emigrantów z lat międzywojnia) wydano Sowieciom. Wagony pojechały prosto na Syberię.



8. PLAKAT PIERWSZEGO PO WOJNIE FESTIWALU MUZYCZNEGO W SALZBURGU Z SIERPNI 1945 R.

Muzeum Miasta Salzburga

Amerykanie, podobnie jak Rosjanie, bardzo dbali o afirmację kultury austriackiej jako antytezy dla nazizmu. Przygotowania do wskrzeszenia festiwalu zaczęto po zdobyciu miasta 4 maja. Jak piszą autorzy wystawy: „Amerykański oddział Information Service Branch założył swoją siedzibę w Salzburgu, aby koordynować odbudowę kultury. Heinrich Puthon, usunięty w 1938 roku przez nazistów, został ponownie Prezesem Festiwalu po siedmioletniej przerwie. [...] Wielu artystów pracowało dla naziowskiej sceny kulturalnej lub nawet należało do nazistowskiej elity.

Podczas otwarcia festiwalu, 12 sierpnia 1945 r., amerykański generał Mark Wayne Clark po raz pierwszy wystąpił publicznie w Austrii. Program obejmował utwory Hugona von Hofmannsthal

i Mozarta. Sześć »Wieczorów austriackich« miało pomóc w budowaniu świadomości Austrii. Dwie trzecie odwiedzających to byli wojskowi z US Army”.

9. TABLICA REJESTRACYJNA Z ZAMALOWANYMI WYŁOZKAMI Z HITLEROWSKIM ORŁEM

Zbiory Landu Dolna Austria



W pierwszych miesiącach po wojnie znak hitlerowskiej „gapy” był raczej zamalowywany niż niszczony. Brakowało metalu na nowe tablice rejestracyjne. Z czasem takie tablice wymieniano i wyrzucano. Ta przetrwała i trafiła do muzeum.

10. UMOWA WŁOSKICH I AUSTRIACKICH PARTII POLITYCZNYCH WE WŁOSKIM TYROLU POŁUDNIOWYM NA TEMAT AUTONOMII REGIONU

Muzeum Tyrolu Południowego w Bolzano

Pożółkły plakat z listopada sygnalizował wstęp do zakończenia niezwykle ostrego sporu. W 1918 r., po klęsce Austro-Węgier w pierwszej wojnie światowej, zwycięskie Włochy wymogły na aliantach przyłączenie południowej części Tyrolu do Włoch. Ta kraina zamieszkała w 80 proc. przez Niemców była w epoce Mussoliniego brutalnie italianizowana, a język niemiecki rugowano z przestrzeni publicznej. Dopóki Hitler związany był sojuszem z Mussolinim, dopóty III Rzesza ignorowała skargi

Tyrolczyków. Zmiana zaszła po upadku Mussoliniego w 1943 r., gdy Südtirol zajął Wehrmacht i faktycznie włączył ten rejon do Rzeszy. W maju 1945 r. teren ten zajęli Brytyjczycy. Tyrolczycy ogłosili się ofiarą włoskiego faszyzmu i zażądali powrotu do Austrii. Włosi ripostowali, że taki czyn będzie powtórką z aneksji tych ziem do Rzeszy z 1943 r. W końcu pod naciskiem aliantów włoscy i tyrolscy politycy zawarli ugodę gwarantującą regionowi autonomię polityczną i językową. Lepiej lub gorzej umowa ta przetrwała do dziś.

11. MENAŻKA Z OBOZU DLA JEŃCÓW WOJENNYCH Z WEHRMACHTU W ZWIĄZKU SOWIECKIM

Muzeum Landu Burgenland

Według historyka Stefana Kramera z Uniwersytetu Wiedeńskiego w ostatniej wojnie w ręce Sowieców wpadło 156 681 Austriaków, którzy służyli w Wehrmachcie lub SS. 10 891 zmarło w niewoli, a 145 790 wróciło do domu. Pierwszy transport z Rosji przybył do Austrii 12 września 1947 r. Do 1949 r. wróciło 136 tys. jeńców. Zostali jedynie więźniowie skazani na długoterminowe



wyroki. Ostatni z nich, tzw. Spätheimkehrers, wrócili do ojczyzny w połowie 1955 r., gdy podpisanie traktatu czterech mocarstw inaugurowało powstanie niepodległej, ale i neutralnej Austrii. Dla porównania: z 3 mln niemieckich jeńców w Rosji zmarło w lagrach ok. 400 tys.

© Wszystkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Jedenaście spojrzeń na rok 1945” jest do obejrzenia na stronie: www.hdgoe.at/category/1945.





PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Litwin Piłsudski

Naród polski niegdyś dzielił się na dwie części. Koroniarzy (mieszkańców Królestwa Polskiego) oraz Litwinów (mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego). Ci ostatni byli przedstawicielami szlachty litewsko-ruskiej, których przodkowie, po zawarciu unii, stopniowo przyjęli polską kulturę i język. Nigdy jednak nie wyrzekli się swojej tożsamości i poczucia odrębności.

Sytuacja taka trwała przez wiele stuleci, aż do przełomu XIX i XX w. A więc do paskudnej epoki nacjonalizmów. W Europie Wschodniej zaczęły rodzić się nowe narody. Każdy z nich miał ambicję, aby stworzyć własne, plemienne, ludowe republiki. Spowodowało to, że potomkowie obywateli dawnej Rzeczypospolitej – Polacy, Litwini, Ukraińcy i Białorusini – zaczęli nagle skakać sobie do gardeł.

Szlachtę litewską postawiło to w niezwykle trudnym położeniu. Z kim iść? Za kim się opowiedzieć? Za litewskimi chłopami, którzy chcieli tworzyć małą etniczną Litwę dla Litwinów? Czy za Polakami, którzy chcieli tworzyć małą etniczną Polskę dla Polaków? Obie propozycje wydawały się mało kuszące. Do obu projektów mówiąca

po polsku litewska szlachta nie bardzo pasowała.

Jeden z litewskich szlachciców postanowił więc znaleźć rozwiązanie kompromisowe. Szlachcicem tym był oczywiście Józef Piłsudski, a rozwiązaniem – federacja Polski i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Niestety, z planu tego nic nie wyszło. Nie chcieli go ani Litwini, ani Polacy. Nacjonalizmy okazały się silniejsze niż wielusetletnia tradycja i racja stanu obu krajów.

Nie zrozumiany przez Polaków, uznany za zdrajcę przez Litwinów Piłsudski przegrał tę rozgrywkę. Było to bez wątpienia tragedią jego życia.

Między innymi tej sprawie poświęcona jest książka „Bez emocji. Polsko-litewski dialog o Józefie Piłsudskim”. To ciekawy zbiór referatów i zapis dyskusji między polskimi i litewskimi historykami. Dowód na to, że o Piłsudskim, umowie suwalskiej, wyprawie Żeligowskiego i innych punktach spornych można spokojnie rozmawiać.



★★★★★
„BEZ EMOCJI.
POLSKO-LITIEWSKI
DIALOG O JÓZEFIE
PIŁSUDSKIM”
IPN,
INSTYTUT POLSKI
W WILNIE,
INSTYTUT
HISTORII LITWY

Minusem książki jest to, że wiele spośród polskich referatów jest całkowicie ni przyzom. Są to teksty ciekawe, ale dlaczego znalazły się akurat w tym tomie – nie sposób zrozumieć. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wizjoner kina

W 1904 r. uruchomiono pierwsze stałe kino w Warszawie (Bioskop), którego widownia liczyła 260 miejsc. Niebawem w Łodzi Szwajcar z pochodzenia, Teodor Junod, otworzył Teatr Iluzji Urania, nie podejrzewając zresztą, że jedną z największych gwiazd nowej sztuki zostanie jego syn Eugeniusz Bodo.

W 1908 r. nakręcono pierwszy polski film fabularny, „Antoś po raz pierwszy w Warszawie”, z Antonim Fertnerem w roli głównej. Obraz trwał siedem minut, nieco dłuższa okazała się „Pruska kultura” z tego samego roku, najstarszy zachowany do dzisiaj film polski.

Początkującej kinematografii potrzebni byli producenci z prawdziwego zdarzenia, a pierwszym z nich okazał się Aleksander Hertz. Był typem wizjonera, jego wytwórnia filmowa Sfinks jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej zaplanowała sfilmowanie „Pana Tadeusza”! Zaskakiwały również pomysły innych producentów, Kosmofilm zrealizował „Halke” (w czasach niemego kina!), film wyświetlano zresztą często z muzyką Moniuszki jako podkładem. Planowano nawet ekranizację „Potopu” – uzyskano na to osobistą zgodę Henryka Sienkiewicza. Nakręcono kilka scen do epizodu zatytułowanego „Obrona Częstochowy”, jednak na dalsze zdjęcia nie pozwoliły władze carskie. Warto jednak przypomnieć obsadę tej

pierwszej ekranizacji: w rolę Kmicica wcielił się Bronisław Oranowski, Wołodyjowski był Stefan Jaracz, a Marię Dulebę obsadzono w roli Oleńki.

Hertzowi udało się natomiast nakręcić film o Napoleonie Bonaparte i pani Walewskiej („Bóg wojny”), który premierę miał 5 maja 1914 r. W głównych bohaterów wcielili się Jaracz i Duleba; rok później Sfinks połączył się z Kosmofilmem, nowa wytwórnia zachowała pierwszą nazwę. W tym samym czasie Hertz zwrócił uwagę na pewną początkującą aktorkę, którą zatrudnił w filmie „Niewolnica zmysłów”. Była nią niejaka Apolonia Chałupiec, która do historii przeszła jako Pola Negri. Po sukcesie pierwszej produkcji podpisał z nią kontrakt na dwa lata i 12 (!) filmów, jednak Pola zagrała tylko w kilku obrazach, po czym wyjechała do Berlina, gdzie miała szansę na europejską karierę. Producent wytoczył jej proces, ale Negri skalkulowała zyski i straty. I zamiast płacić wysokie odszkodowanie, w ramach ugody wołała wrócić nad Wisłę, by zagrać tu jeszcze w jednym filmie. Zachowała jednak do szefa Sfinksa urazę i nie wspominała o tym epizodzie w swoich pamiętnikach.

Aleksander Hertz zmarł przedwcześnie na gruźlicę w 1928 r. w wieku 49 lat. Nie dożył rewolucji dźwiękowej, ale zapewne poradziłby sobie także i z tym wyzwaniem... ©©



Wiesław Chełminiak

Porównanie obecnej pandemii z dawnymi potwierdza, że czasy się zmieniają, jednak ludzie nie bardzo

Kulturowo byliśmy na inwazję koronawirusa przygotowani. Apokaliptyczne wizje opustoszałych ulic, szpitali pełnych umierających, którymi nie ma kto się zająć, bezradności rządów i totalnego rozkładu życia społecznego mniej lub bardziej utalentowani twórcy rozciągali od stuleci. Teraz cywilizacja jeszcze się jakoś trzyma, można więc umilać sobie kwarantannę, oglądając w kinie domowym „12 małp” i „28 dni później”. Komputerowa wyszukiwarka w sekundę wypłuka dziesiątki wizerunków triumfującej śmierci. Literaci też stanęli na wysokości zadania. Temat zgłębiano po wielokroć – w konwencji paradokumentalnej (Daniel Defoe), upiornej (Edgar Allan Poe), makabryczno-frywolnej (Giovanni Boccaccio) i egzystencjalnej (Albert Camus).

SPOKOJNIE, TO TYLKO DŻUMA

Poczesne miejsce w epidemicznym imaginarium zajmuje XVII-wieczny strój, chroniący lekarzy przed zarażeniem. Ponoć wymyślił go Charles de Lorme, nadworny medyk królów francuskich. On też zaprojektował najbardziej rzucający się w oczy element – ptasią maskę. W dziobie znajdowała się mieszanka ziół, pozwalająca znosić feter ciał pacjentów. Zaraza jeszcze szalała w Europie, gdy „maska doktora” stała się przebojem weneckiego karnawału. No cóż, trzeba było jakoś odreagować grozę i przymusową beczyność.

MOMENT PRAWDY

Historyk Jean Delumeau w pasjonującej monografii „Strach w kulturze Zachodu XIV-XVIII w.” poświęcił epidemiom sporo uwagi. Nic dziwnego, pochłaniały więcej ofiar niż wojny. Dżuma, zdecydowanie bardziej mordercza niż COVID-19, zredukowała populację Starego Kontynentu co najmniej o jedną trzecią, po czym atakowała cyklicznie, co kilka, kilkanaście lat przez prawie cztery wieki. Jak będzie z koronawirusem, jeszcze nie wiemy.

Doktor Dziób prosi do tańca

Czarna śmierć zastała Europę beznadziejnie skłóconą. W obliczu islamskiego zagrożenia władcy woleli gnębić chrześcijańskich sąsiadów. Kościół – naturalny czynnik jednoczący – popadł w schizmę i stał się źródłem zgorznienia. Stabilność wewnętrzna też była dobrem deficytowym. Ówczesne państwa nie potrafiły zapewnić ludziom bezpieczeństwa ani uchronić ich przed głodem (niedożywienie, jak wiadomo, obniża odporność na choroby). W miastach burzyło się pospólstwo, chłopcy wszczynali regularne bunt, na handlowych szlakach grasowali rycerze rabusie. Towarzyszyła temu ekonomiczna stagnacja.

Dzisiaj wirusy podróżują samolotami, w średniowieczu przywoziły je okręty. Włoskie porty były bramą, przez którą dżuma przedostała się do Europy. My przynajmniej wiemy coś niecoś o niewidzialnym zabójcy. Nasi przodkowie gubili się w domysłach. Katastrofę tłumaczyli fatalnym układem planet, „zgniłym” powietrzem, a najczęściej gniewem Bożym. Zapowiadały ją dziwne zjawiska meteorologiczne i przyrodnicze, np. obfitość żab.

Władza reagowała podobnie jak dzisiaj. Najpierw bagatelizowała niebezpieczeństwo, wiedząc, że wybuch paniki zagrozi porządkowi społecznemu (oraz interesom). Ludzie zresztą chcieli być oszukiwani. „Ktokolwiek na placu, w sklepie czy w domu wspominał o niebezpieczeństwie czy zarazie, zasypywany był drwinami, otaczany gniewną wzgardą” – takie nastroje panowały w Lombardii w roku 1630, w przeddzień powrotu moru.

Delumeau wspomina o miastach, w których lekarze, pod naciskiem notabli, stawiali uspokajające diagnozy. Przychodził jednak moment, gdy prawdy nie dało się już dłużej ukrywać. Odwoływano wtedy uroczystości i zamykano bramy przed obcymi. Zaraza dostarczała też wygodnego pretekstu do pozbycia się włóczęgów i żebraków.

Rozpalanie „oczyszczających” ognisk na rogach ulic miało tyle sensu, co zakaz wstępu do lasów, ale prawdopodobnie poprawiało urzędnikom samopoczucie. Innym popularnym środkiem zapobiegawczym była rzeź zwierząt domowych. W 1665 r. w Londynie zaszlachtowano 40 tys. psów i pięć razy tyle kotów. Mniej gorliwie eksterminowano konie, krowy i świnie. Wiadomo, miały swoją cenę. Na pomysł, by

zabijać pchły, które przenosiły dżumę, niestety nie wpadł nikt.

STRACH ŻŁERA DUSZE

Zarażeni umierali w męczarniach. Zdrowym pozostawały dwa wyjścia: samoizolacja lub ucieczka. Bogacze czmychali do odciętych od świata rezydencji, biedacy do pobliskich lasów i wsi. Chłopi nie byli zachwyceni, bywało, że intruzów witały strzały z muszkietów. Tyły podawali również ci, na których liczono najbardziej – księża i biskupi.

Reszta, zamknięta w domach, zatykała uszy, by nie słyszeć jęków konających i turkotu kół wozów, którymi wywożono na cmentarz zwłoki zebrane z ulic. Obowiązkiem żywych było wyrzucać ciała przez okna. Ludzie umierali jak zwierzęta, bez spowiedzi, sakramentów i odwiecznych ceremonii pozwalających ośwoić śmierć. Porzuceni przez rodziny i przyjaciół, gdyż nawet najbliżsi bali się zbliżyć do chorego.

Krążyły opowieści o sanitariuszach okradających zarażonych i okrętach widmach pełnych zmarłych żeglarzy (dziś zastąpiły je wycieczkowce z chorą załogą i turystami). Czarna śmierć najbardziej srożyła się w wielkich miastach – zabiła połowę mieszkańców Paryża, Londynu, Hamburga, Neapolu, Sewilli i Marsylii. Wzbudzała panikę graniczącą z obłędem – niektórzy, nie czekając, aż zachorują, sprawiali sobie trumny lub kopali groby.

„Strach, który diabeł wkłada w serca tych biednych ludzi, jest najgroźniejszą zarazą” – diagnozował Luter. Oczywiście dziejopisów mogła ponosić fantazja, samobójstw i samosądów było w rzeczywistości mniej, lecz zbiorowa psychoza bez wątpienia miała miejsce. Uliczne harce desperatów stały się inspiracją dla „tańców śmierci”.

Dżuma, podobnie jak trąd i cholera, przybyła ze wschodu. Nikomu jednak nie przyszło do głowy, by mieć pretensje do Chińczyków. Winnych hekatombyszukano bliżej. O zatrucie źródeł wody i studni posądzano Turków, Żydów, heretyków, ludzi obcych albo nie lubianych, np. katów, grabarzy albo cyrulików. Czarownice oskarżano natomiast o smarowanie drzwi i ścian domów trującą substancją, złożoną ze śliny ropuch i węży.

Polska, słabo zaludniona i leżąca na uboczu głównych szlaków komunikacyjnych i handlowych, początkowo cierpiała mniej od Zachodu. Częstotliwość

epidemii zwiększyła się u nas dopiero za Wazów. Dwór królewski nie jeden raz uciekał od „morowego powietrza” z Krakowa i Warszawy, by zaszyć się w jakimś zameczku w środku puszczy. Państwo też na czas zarazy zawieszało działalność, choć prawdę mówiąc, dla poddanych jego istnienie i tak było mało zauważalne.

MÓDL SIĘ I KOCHAJ

Chcąc podtrzymać morale obywateli, władze miejskie organizowały zbiorowe modły, procesje pokutne i festyny. Im dłużej jednak trwała pandemia, tym trudniej było o godziwą rozrywkę. W Londynie tłumy gapiów schodziły się na cmentarze, by obserwować, jak trupy wrzuca się do zbiorowego grobu. Internetu jeszcze nie znano, więc w kwarantannie kwitło życie towarzyskie.

XVI-wieczny chirurg Ambroise Paré radził: „Trzeba trzymać się dziarsko w dobrej, a niewielkiej kompanii, czasem słuchać śpiewaków i instrumentów muzycznych, niekiedy czytać i słuchać jakiejś przyjemnej lektury”. Przestrzegał przed obżarstwem, pijaństwem i folgowaniem chuciom, albowiem „istną dżumą jest pani Wenus, jeśli jej nadużywać”.

W tej ostatniej kwestii nie było zgody między medykami. Jedni zalecali absolutny celibat, drudzy ostrzegali, że „rozdzielenie mężczyzn od kobiet czyni człowieka smutnym i melancholijnym”, co przyciąga chorobę. W opowiadaniu „Maska Czerwonego Moru” Poe postawił tezę przeciwną – hedonizm to prosta droga do zguby. Moralizowanie było naturalną reakcją na renesans popularności „Dekameronu”, uważanego za dzieło frywolne, jeśli wręcz nie pornograficzne. W PRL sprzedawano je spod lady, w roku 1984 kolejne, studyjne wydanie rozeszło się na pniu.

Czytelnicy, ciekawi „momentów”, z reguły pomijali makabryczny prolog. A przecież nad bohaterami unosi się widmo śmierci. Autor, zwany w Polsce Janem Bokkacuszem, przeciwstawia jej miłość, rozumianą jako wszechmocny, lecz anarchiczny żywioł, któremu wszyscy ulegają. Nie jest to zwykły zbiór fascji o zabawieniu erotycznym, lecz opis obyczajów, bardziej neapolitańskich niż tokańskich, bo Giovanni młodość spędził na południu Italii.

Jedna z opowieści snutych w „zacnym gronie” traktuje o Żydzie, który nawrócił się mimo zepsucia, które ujrzał w Rzymie. Wiara, która mimo grzechów papieża, kardynałów, mnichów i księży nie upa-



Wielka zaraza w Londynie w latach 1665–1666 pochłonęła od 75 tys. do 100 tys. ofiar. FOT. DOMENA PUBLICZNA

da, lecz przeciwnie – pięknie się rozwija, musi być prawdziwa – konkluduje Boccaccio ustami Abrahama. Swoje dzieło zadekował kobietom (czyżby już w XIV w. panie czytały więcej niż mężczyźni?).

Antyklerykalizm „Dekameronu” stał się powodem wpisania go na indeks ksiąg zakazanych. Na patrona współczesnych wrogów Kościoła włoski klasyk się jednak nie nadaje. Uciekinierzy z Florencji pamiętają o poście, modlitwie i mszy, jedyny zaś wspomniany w książce homoseksualista jest postacią zdecydowanie negatywną.

MYCIE SKRACA ŻYCIE

Wpływ pandemii na religijność nie wyrażał się jedynie w ożywieniu ruchu pielgrzymkowego, pochodach biczowników i handlu odpustami. Dżuma dała Europie nowych bohaterów w osobie św. Rocha, opiekuna chorych, i św. Karola Boromeusza, który w ogarniętym zarazą Mediolanie odwiedzał lazarety, niosąc cierpiącym duchowe pocieszenie. Gdy dżuma po latach wróciła, jego relikwie obnoszono po mieście. Takich nieustraszonych księży było więcej. W gdańskiej Oliwie żywa jest pamięć o dziewięciu cystersach, którzy podczas epidemii 1709 r. po śmierci miejscowego proboszcza pełnili posługę religijną dla mieszkańców. Wszyscy się zarazili i umarli.

Z lekcji udzielonej ludzkości przez czarną śmierć nowożytna medycyna wyciągnęła zgoła opaczne wnioski. Lekarze zalecali puszczanie krwi, stanowczo zaś odradzali kąpiel i używanie mydła. Wiara w ochronne właściwości brudu przy-

jęła kolejnym plagom. Do trądu i dżumy doszedł syfilis, przywleczony z Ameryki. Ospa nie dość, że masowo zabijała dzieci, to jeszcze dożywotnio oszpecała ozdrowieńców.

Zastosowanie podpatrzonej u Turków wariolizacji stało się przełomem, początkiem nowej ery, choć nie obyło się bez wpadek. Szczepionka, wynaleziona przez Edwarda Jennera w roku 1798, okazała się stuprocentowo skuteczna, lecz należało ją powtarzać. Ten haczyk sprawił, że ospę udało się definitywnie okiełznać dopiero w XX w.

Epoka Oświecenia dostarczyła również wzoru na polityczne wykorzystanie zarazy. Caryca Katarzyna II szczyciła się, że osobiście nadzoruje szczepienie swoich dzieci i dam dworu (o kochankach nie wspomniiała). Cesarz Józef II, entuzjasta budowy szpitali, na wieść o pojawieniu się w Rzeczypospolitej dżumy ustanowił kordon sanitarny. W ten sposób Austria jeszcze przed pierwszym rozbiorem zagarnęła Spisz i Podhale. Używając identycznego pretekstu, wojska pruskie wkroczyły na Pomorze.

JAK ZDOBYTO MADAGASKAR

W XIX w., nazywanym stuleciem nauki, udało się podnieść w Europie stan higieny i wprowadzić surowe przepisy sanitarne. Natura nadal jednak dokonywała okrutnej selekcji. Cholera zabijała w ciągu kilku do kilkunastu godzin od momentu zarażenia, dając objawy jak przy otruciu arszenikiem. Nad Wisłą zadebiutowała w dramatycznych okolicznościach – towarzyszyła wojsku rosyj-

skiemu tłumiącemu powstanie listopadowe. Ofiary liczone w tysiącach. Źródło pandemii pozostawało tajemnicą jeszcze przez 50 lat, aż do odkrycia bakterii cholery przez Roberta Kocha. Uciekano się więc do półśrodków. Prusacy na granicy prali banknoty i odymiali listy podróżnych.

W tym optymistycznym stuleciu śmiertelne żniwo zbierały też tyfus, czerwonka i dur brzuszny – choroby nędzarzy. Gruźlica, uważana za przypadłość dziedziczną, szerzyła się w salonach i wiejskich chatkach. Wirusy były utrapieniem generałów. Podczas wojny krymskiej więcej żołnierzy alianckich umarło na cholere, niż zginęło w boju. Francuzi, zdobywając Madagaskar, stracili 6 tys. ludzi po ataku malarii, a tylko 20 w walce z tubylcami.

Kres epidemiom miały położyć kanalizacja, sprzątanie ulic, wywóz śmieci i wspierane przez rządy kampanie zdrowotne. Ledwie jednak ogłoszono triumf medycyny, przyszła następna lekcja pokory. Grypa hiszpanka zabiła miliony młodych, silnych mężczyzn. Pokolenie świadków tej katastrofy już odeszło. Europa obrosła w piórka i uwiaryła we własną nietykalskość. Kolejne alarmy okazywały się fałszywe.

Koronawirus paraliżuje działalność gospodarczą. Czarna śmierć była wstrząsem jeszcze silniejszym, lecz świat wrócił do równowagi. Część historyków twierdzi nawet, że gwałtowna depopulacja okazała się korzystna dla tych, którzy przeżyli. Po ustąpieniu dżumy na wsi brakowało rąk do pracy i chłopci mogli stawiać panom warunki. W rezultacie z zachodniej Europy zniknęło poddaństwo.

Na krótką metę najwięcej zyskali sprzedawcy cudownych leków i talizmanów. Wzrost religijności szedł w parze z erozją zaufania do Kościoła. Gdy koszmarsko skończył, wybuchła epidemia chrztów i ślubów. Jeśli wierzyć pesymistom, nam grozi co najwyżej plaga... rozwodów. Bohater „Dziennika roku zarazy” Defoe wykorzystał okres przymusowej samotności na lekturę i medytację. Francuzi w obliczu obecnego kryzysu ponoć przeprosili się z „Dumą” Camusa.

Dawne pandemie doczekały się upamiętnień w postaci kolumn, obelisków i zjawiskowych kościołów – Santa Maria della Salute w Wenecji czy św. Karola Boromeusza w Wiedniu. Jakimi arcydziełami uczymy pokonanie COVID-19, czas pokaże.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBIELACZ TRUMPA

Prezydent USA podczas konferencji tak się zapędził, że opowiadał, iż dobrym sposobem byłoby „wprawianie światła” do organizmu ludzi, bo promieniowanie UV może zwalczać COVID-19. Palnął też o pożywności zbadania wstrzykiwania do organizmu środków dezynfekujących. Zaprotestowali lekarze i eksperci. A koncern chemiczny Reckitt Benckiser wydał oficjalny komunikat, w którym odradza podawanie ludziom takich preparatów jak np. wybielacze. Donald Trump stwierdził potem, że on po prostu żartował i prowokował dziennikarzy.



PRZECINANIE WSTĘGI ON-LINE

Pandemia uniemożliwiła to, co politycy lubią najbardziej – czyli zjawienie się na ukończonej inwestycji i przecięcie wstęgi oraz zebranie politycznych punktów u wyborców. Gdy więc w ubiegłym tygodniu ukończono wieloletni projekt drogowy w Norwegii (Ryfast – system dróg i tuneli za w sumie 12 mld koron), minister transportu Norwegii Knut Arild Hareide usiadł przed komputerem i na wizji oficjalnie przeciął wstęgę oraz zjadł tort.

FOT. FACEBOOK/KNUT ARILD HAREIDE

MANDARYŃSKA PUŁAPKA

Portugalczyki – jak wiele innych nacji – zrobili duże zakupy w Chinach, by mieć sprzęt medyczny przydatny podczas pandemii. Sekretarz stanu w ministerstwie zdrowia Portugalii Antonio Sales wyjął, że część kupionych respiratorów nie nadaje

się do użytku. Okazało się bowiem, że jedne z nich instrukcje obsługi mają jedynie w języku mandaryńskim, z kolei inne mają przyciski tylko w tym języku. Choć – jak pocieszał Sales – na przyciskach są też obrazki i „można się domyślić, do czego służą”. Według urzędnika wystarczy przeprowadzić szkolenia, by pracownicy służby zdrowia wiedzieli, co przedstawiają napisy i obrazki.

Tego optymizmu nie podzielili sami pracownicy, w tym szefowa portugalskiej Izby Pielęgniarskiej.

AWANTURA O ZAKUPY

Burmistrz japońskiej Osaki podpadł wszystkim, bo głośno powiedział to, co wielu mężczyzn mówi między

sobą na spotkaniach towarzyskich. Ichirō Matsui stwierdził bowiem, że podczas pandemii koronawirusa to mężczyźni powinni chodzić po zakupy do sklepów spożywczych, bo kobiety wykonują te zakupy dłużej. Zdaniem Matsui mężczyzna, gdy ma za zadanie kupić „to lub tamto”, po prostu wchodzi po to i od razu wraca do domu. „Kiedy kobieta idzie, zajmuje jej to trochę czasu” – powiedział. Burmistrzowi Osaki zarzucono w Internecie seksizm.

SKĄPA GWIAZDA

Roger Federer, Novak Djoković, Rafael Nadal – uznali, że mając majątki liczone w setkach milionów dolarów, mogą pomóc nisko notowanym tenisistom, którzy przez zawieszenie rozgrywek zostali pozbawieni dochodów. Pomysł stworzenia funduszu dla graczy z końcówki rankingu nie spodobał się obecnej trzeciej rakiecie świata – Dominicowi Thiemowi. Austriak powiedział, że „z głodu nie umrą”, i stwierdził, że nie widzi powodu, by dzielić się pieniędzmi z tymi, którzy nie są tak oddani tenisowi jak on. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

W Korei bez zmian

Globalna wioska, w której newsy (w tym fake newsy) błyskawicznie się rozprzestrzeniają, nie lubi niepewności. To właśnie ona sprawiła zaś, że nagle media zaczęły tęsknić za agresywnym grubiotem cukrzykiem z walizką atomową.

Gdy zamykaliśmy to wydanie, „wiadomo” było, że 36-letni Kim albo nie żyje, albo jest w stanie wegetatywnym, albo żyje i dochodzi do siebie po operacji, albo żyje i ma się dobrze, ewentualnie żyje, cieszy się dobrym zdrowiem, lecz przebywa w izolacji ze strachu przed koronawirusem, który wśród wyniszczonych przez komunizm

obywateli rozprzestrzeniać się może bardzo łatwo.

Brak potwierdzonych danych nie przeszkodził co odważniejszym i bardziej naiwnym blogerom podawać szczegółów dramatycznej śmierci Kima. Niestety, na pewno wiadomo jedynie, że Kim Dzong Un nie pokazał się publicznie od ponad dwóch tygodni i że nie wziął udziału w obchodach ważnych świąt (zabrakło go m.in. na urodzinach nieżyjącego dziadka Kim Ir Sena – zbrodniarza, który zapoczątkował czerwoną dynastię w Korei). Wiadomo też, że dyktator zniknął już raz na półtora miesiąca w 2014 r. Tym razem ma zaś – poza

wirusem – jeszcze jeden powód, by się ukrywać: w niepewnych czasach wzrosło ryzyko zbrojnej interwencji z zewnątrz. Lepiej siedzieć cicho.

Nawet jeśli jednak potwierdziłyby się plotki o śmierci dyktatora, to władzę obejmie zapewne kolejny członek zbrodniczego klanu, najpewniej siostra. Szanse na radykalną dobrą zmianę w Korei Północnej i tak będą wówczas niewielkie. Podobnie jak po przejęciu władzy przez młodego Kima – wykształconego w Szwajcarii miłośnika amerykańskiej koszykówki – świat mogą jednak obieć plotki o rychłym upadku reżimu i szansie na demokratyczną zmianę. ©©



Olivier Bault

Poczucie osamotnienia oraz już uprzednio katastrofalne zadłużenie sprzyjają we Włoszech nastrojom antyunijnym

Obecnie aż 49 proc. Włochów twierdzi, że gdyby doszło do referendum, zagłosowałoby za italexitem – wynika z opublikowanego 13 kwietnia badania instytutu Tecne. 51 proc. opowiedziało się za pozostaniem w UE (wynik nie uwzględnia 14 proc. niezdecydowanych). 77 proc. Włochów jest zdania, iż Unia w żaden sposób nie pomogła Włochom pogrążonym w kryzysie związanym z epidemią COVID-19.

To samo badanie w 2018 r. pokazywało 71 proc. pragnących pozostać w UE i 29 proc. zdecydowanych ją opuścić.

Rosnący eurosceptycyzm Włochów nie jest czymś nowym. W ubiegłorocznym wydaniu unijnego badania Eurobarometr zleconego przez Parlament Europejski pytano, czy ludzie uważają, że przynależność ich kraju do Unii jest rzeczą dobrą, złą czy też ani dobrą, ani złą. Zaledwie 37 proc. respondentów z Włoch odpowiedziało pozytywnie, co było najniższym wynikiem (na równi z Czechami) wśród wszystkich badanych z 28 krajów. Nawet w zmierzającej do brexitu Wielkiej Brytanii wskaźnik ten był wyższy – 42 proc. Dla porównania w Polsce wynosił 63 proc., a w Irlandii i Luksemburgu, gdzie był najwyższy – 81 proc.

Nastrój na italexit

Na początku lat 90. ponad trzy czwarte Włochów uważało, że przynależność ich kraju do Unii Europejskiej jest czymś dobrym. Te nastroje osłabiały po kolei: przyjęcie waluty euro, które negatywnie odbiło się na gospodarce włoskiej; kryzys finansowy z 2008 r. i kolejne plany „ratowania” Grecji, które powodują, że Włosi nie chcą dziś słyszeć o pożyczkach w ramach Europejskiego Mechanizmu Stabilności; a także trwający od 2014 r. kryzys migracyjny. Jednak jeszcze tuż przed pandemią COVID-19 66 proc. Włochów twierdziło, że czuje się Europej-

czykami. Pod koniec marca odsetek ten spadł do 49 proc.

SALVINI ZA WYJŚCIEM

W wywiadzie opublikowanym 8 kwietnia w niemieckim „Bildzie” włoski premier Giuseppe Conte ostrzegł, że jeśli Unii nie uda się porozumieć w sprawie pomocy finansowej dla krajów najbardziej dotkniętych kryzysem sanitarnym, to będzie oznaczało koniec snu o zjednoczonej Europie. „Europa musi stanąć na wysokości zadania” – mówił też wcześniej Conte 28 marca we włoskim „Il Sole

24 Ore” i dodawał, że w przeciwnym razie „cała konstrukcja europejska może stracić rację bytu”.

Po prawej stronie włoskiej sceny politycznej już w połowie lutego, zanim epidemia koronawirusa wybuchła z całą siłą we Włoszech, lider przodującej w sondażach Ligi Matteo Salvini zaczął uchylać drzwi przed możliwością opuszczenia Unii, twierdząc, że jeśli Unia nie może się zmienić, jej dalsze istnienie jest pozbawione sensu. „Anglicy pokazali, że chcą, to moc” – powiedział Salvini, dodając: „Albo zmieniamy zasady, albo bezcelowe jest pozostać w klatce, w której nas duszą”.

Dzisiaj Salvini odrzuca możliwość korzystania z Europejskiego Mechanizmu Stabilności (ESM), w ramach którego Niemcy i Holendrzy chcieliby udzielać pomocy Włochom, co wiązałoby się z narzucaniem ogólnego planu restrukturyzacji finansów publicznych.

Koalicja rządowa jest w tej sprawie podzielona. Ruch 5 Gwiazd (M5S), bardziej eurosceptyczny niż Partia Demokratyczna (PD), jest także w większości przeciwny wszelkim pożyczkom z ESM w imię zachowania suwerenności, a także z powodu tego, co się stało z grecką gospodarką po przymusowym wdrożeniu europejskich planów „naprawy”. Salvini, który jako wicepremier pierwszego rządu Giuseppe Contego wykluczał postulat italexitu, uważa teraz, że taki postulat „jest całkiem zrozumiały w świetle tego, co zrobiła Europa” oraz ze względu na „egoizm i oddalenie Brukseli, Berlina, Frankfurtu czy Amsterdamu”.

ROZCZAROWANI BRAKIEM WSPARCIA

Po rozczarowaniu, u którego podstaw leży brak wsparcia materialnego ze strony europejskich partnerów w pierwszych tygodniach epidemii we Włoszech, chodzi teraz o formę wsparcia finansowego do odbudowy gospodarki w sytuacji, w której Włochy to zarówno jeden z najmocniej dotkniętych krajów pod względem epidemicznym i gospodarczym, jak i jeden z krajów w najtrudniejszej sytuacji finansowej ze względu na wysoki poziom zadłużenia, ryzyko utraty zaufania przez inwestorów, przekładające się na wyższe oprocentowanie włoskich obligacji państwowych oraz stagnację gospodarczą w ostatnich latach.

UE późno reagowała na kłopoty Włoch. Pierwsze transporty ze sprzętem medycznym i ekipami lekarzy nadlecia-

ły z Chin, Kuby i Rosji. Dopiero później nadeszła pomoc z krajów unijnych, również z Polski, która m.in. wysłała 30 marca do Lombardii ekipę 15 lekarzy wojskowych, czy z Niemiec, które przyjeźły do swoich szpitali włoskich pacjentów chorych na COVID-19. Sputnik, kremlowska zagraniczna tuba propagandowa, przy okazji opublikował fake news o tym, że Polska rzekomo odmówiła przelotu samolotom z rosyjską pomocą dla Włoch. W rzeczywistości strona rosyjska nigdy nie wnioskuje o przelot nad Polską, co zostało później potwierdzone przez MSZ Polski i Rosji.

Ogólne wrażenie, które odnieśli Włosi w pierwszych tygodniach pandemii, jest takie, że w czasie prawdziwej próby przynależność do Unii Europejskiej i cała retoryka o europejskiej solidarności są niewiele warte.

Wrażenie to zostało wzmocnione przez początkowe umywanie rąk przez prezes Europejskiego Banku Europejskiego Christine Lagarde w obliczu wzrostu oprocentowania na obligacjach włoskich w stosunku do niemieckich oraz przez pierwsze działania Unii Europejskiej. We Włoszech oburzono się, gdy ogłoszono podział pierwszych funduszy przekierowanych na łagodzenie skutków kryzysu wywołanego przez pandemię koronawirusa. „Koronawirus, Włochy oszukane przez fundusze unijne: Węgry i Polska dostają więcej pieniędzy” – pisała 15 marca w tytule prawicowa „Il Giornale”. Gazeta wyjaśniała swoim czytelnikom, że 10 marca Komisja Europejska ogłosiła uruchomienie transzy 25 mld euro (którą później powiększono do 37 mld), mającej wspierać systemy zdrowia, ale także małe i średnie przedsiębiorstwa oraz rynki pracy w krajach dotkniętych pandemią. Z tej transzy Włochy miały dostać 853 mln euro, podczas gdy Polska i Węgry miały otrzymać odpowiednio 1,12 mld i 855 mln euro. Sęk w tym, że owa pierwsza transza pomocy polegała na zmianie przeznaczenia już istniejących i wydzielonych funduszy spójności, a nie na wygospodarowaniu nowych pieniędzy: ich podział na poszczególne kraje nie uległ przy tym zmianie. Dlatego w Polsce i na Węgrzech można było słyszeć, że tak naprawdę Unia nie dała żadnych pieniędzy na walkę ze skutkami pandemii, ale tego „Il Giornale” już nie wyjaśniał. Jeszcze 4 kwietnia lewicowa „La Repubblica” pisała, że węgierski premier Viktor Orbán nie mówi prawdy, twierdząc, że Węgry

nie dostały od Unii ani centa na walkę z koronawirusem, skoro w przeliczeniu na mieszkańca dostały 15 razy tyle, co Włochy.

SPADEK I DEFICYT

W opublikowanych w kwietniu prognozach Międzynarodowy Fundusz Walutowy przewiduje spadek PKB Włoch o 9,13 proc. w 2020 r., co ma skutkować deficytem finansów publicznych na poziomie 8,3 proc. PKB. Ponieważ zadłużenie Włoch wynosiło już 135 proc. PKB, istnieje duże ryzyko powtórki sytuacji, która miała miejsce w Grecji po kryzysie finansowym z 2008 r. Po to, aby móc zadłużać się dalej na rynkach finansowych, i to na przyzwoitych warunkach, rząd Giuseppe Contego chciał powrócić do wcześniej zarzuconego pomysłu euroobligacji. Miał przy tym poparcie Hiszpanii, Portugalii i Francji. Kraje północy kontynentu, mające z reguły mniejsze deficyty, nie chcą jednak słyszeć o wspólnym zadłużaniu się. W tym przypadku zwłaszcza Holandia, Niemcy, Austria i Finlandia powiedziały bardzo wyraźnie „nie”. Premier Holandii Mark Rutte był najbardziej nieugięty w czasie europejskiego szczytu z 26 marca, podczas którego jego minister finansów Wopke Hoekstra domagał się, aby Bruksela badała, dlaczego niektóre państwa strefy euro nie zdołały uporządkować swoich finansów w okresie przed pandemią i proszą teraz o „koronaobligacje”. To z kolei oburzyło liderów i wielu mieszkańców wspomnianych krajów Południa, w których pandemia zbierała w tym czasie śmiertelne żniwo.

Unijny szczyt z 23 kwietnia przyniósł uspokojenie nastrojów i pozwolił poczynić pewne wstępne uzgodnienia co do przyszłych funduszy, mających przeciwdziałać skutkom gospodarczym pandemii. Mówi się nawet o dodatkowych 1,5 bln euro w ramach wieloletniego budżetu unijnego na lata 2021–2027. Do uzgodnienia pozostaje forma tej pomocy – pożyczki z unijnego funduszu czy specjalne bezzwrotne dotacje.

Tymczasem 23 kwietnia opublikowano nowy sondaż Termometro Politico. Wynika z niego, że 40 proc. Włochów jest za wyjściem ze strefy euro oraz UE; 6,1 proc. za wyjściem tylko z UE; 7,3 proc. za wyjściem tylko ze strefy euro; a 41,7 proc. chce pozostać zarówno w UE, jak i w strefie euro. Niezdecydowanych jest 4,9 proc. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Włoczyk

Kubański rząd zbiera brawa za wysyłanie za granicę lekarzy do walki z koronawirusem. Trudno o lepszą reklamę dla tej najważniejszej branży eksportowej Kuby – „leasingowanie” medyków przynosi więcej pieniędzy niż sprzedaż cukru czy tytoniu. Trump stara się jednak wyeliminować ten biznes

Lekarze i pielęgniarki pozują do zdjęć ustawieni jak wojsko w równych szeregach. Każdy trzyma kubańską flagę, a pierwszy rząd prezentuje duże transparenty z hasłami o solidarności między narodami. Obowiązkowe maski na twarzach nie dziwią, ale białe fartuchy wyglądają jednak trochę nienaturalnie w scenerii lotniska. Tak prezentowali się kubańscy lekarze i pielęgniarki 22 marca tuż po przylocie do Włoch. Równe szeregi i białe kitle ubierane od razu na „dzień dobry” nie powinny nikogo zaskakiwać, w końcu Fidel Castro wielokrotnie nazywał swoich medyków „armią w białych kitlach”.

Za pięknymi obrazkami kryje się jednak smutna rzeczywistość – wypożyczanie innym krajom kubańskich lekarzy i pielęgniarek to niezwykle ważne źródło dochodu komunistycznej dyktatury, a cały ten model biznesowy odbywa się na zasadach, które zbiegli lekarze nazywają półniewolnictwem.

Obecnie, wobec całkowitego obumarcia branży turystycznej na wyspie, to źródło twardej waluty staje się tym cenniejsze dla reżimu Castro. Co roku zagraniczna sprzedaż usług medycznych przynosi budżetowi Kuby nawet do 11 mld dol. Nawet turystyka nie generuje takich dochodów.

„Kuba oferuje swoje międzynarodowe misje medyczne wszystkim zmagającym się z COVID-19 po to tylko, by odbić sobie straty finansowe poniesione w krajach, które przestały brać udział w tym pełnym nadużyć programie” – zatweetował pod koniec marca amerykański Departament Stanu. Amerykanie, nazywający kubań-



Lekarz na sprzedaż

ski biznes sprzedaży usług medycznych „handel ludźmi”, od lat przekonują inne państwa, by nie brały w tym udziału, starając się przykryć dyktaturze kurek z pieniędzmi.

„Mieszanie kubańskiej współpracy medycznej z potworną zbrodnią handlu ludźmi, niewolnictwem czy przymusową pracą jest niedopuszczalne” – odpowiada na amerykańskie zarzuty kubański rząd. Tamtejsi komuniści przekonują, że naciski Amerykanów oznaczają odcięcie rzeszy ubogich ludzi od podstawowej pomocy medycznej. Wysyłanie medyków nazywają natomiast pomocą humanitarną.

Epidemia koronawirusa stała się doskonałą okazją, by rozreklamować ten kubański „hit eksportowy”, który podob-

nie jak wiele innych komunistycznych projektów za fasadą pomocy humanitarnej skrywa wyzysk i odbieranie nawet najbardziej podstawowych wolności.

POD OKIEM BEZPIEKI

„Teoretycznie wszystko opiera się na pracy ludzi chętnych do wyjazdu, ale to nie do końca prawda. Jeżeli cię wskażą, to musisz jechać. Na Kubie państwo może dowolnie dysponować każdym pracownikiem, ale szczególnie dotyczy to personelu medycznego. Oni naprawdę uważają nas za swoją armię” – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” Miguel, jeden z wielu kubańskich lekarzy, który uciekł z misji medycznej prowadzonej w Wenezueli. Szacuje się, że w latach 2006–2016 nawet 7 tys. kubańskich



FOT. ERNESTO MASTRASCIA/EEF/FORUM

lekarzy pracujących za granicą zdecydowało się na podobny krok.

„»Ucieczka« to naprawdę nie jest przesadzone słowo. Wraz z innymi kubańskimi kolegami medykami byliśmy skoszarowani i obserwowani przez naszą bezpiekę. Od razu po przyjeździe zabrali nam paszporty. Oczekuje się od nas pracy na okrągło, żeby wyrobić absurdalnie wysokie normy. To prosta matematyka – im więcej wizyt, tym więcej pieniędzy dostanie kubański rząd. Obowiązuje nas coś na kształt godziny policyjnej. Ja uciekłem, bo poznałem w Wenezueli kobietę, z którą chciałem wziąć ślub. Ta znajomość bardzo się jednak nie podobala moim przełożonym. Zakazywali mi wychodzenia poza sprawy służbowymi, bo bali się, że po ślubie nie będę chciał wrócić na Kubę. A oni są przecież rozliczani z każdego medyka. Jeżeli stracą »towar« – bo tak na nas patrzą – to sami będą mieli problemy” – mówi Miguel. Po opuszczeniu misji kubańskie władze anulowały jego dokumenty, ale tu z pomocą przyszła mu niewyobrażalna korupcja, która od blisko 20 lat, od kiedy władzę przejął obóz Cháveza, niszczy Wenezuelę. Miguel po prostu kupił sobie wenezuelskie obywatelstwo. Wobec pogłębiającej się ruiny Wenezueli musiał jednak wyjechać do jednego z sąsiednich państw.

Miguel był jednym z ok. 30 tys. kubańskich pracowników służby zdrowia

pracujących w ramach porozumienia rządów Wenezueli i Kuby, które złośliwie zostało okrzyknięte programem „Ropa za lekarzy”. W gruncie rzeczy dokładnie do tego sprowadza się ten deal. Strona kubańska oferuje tu jednak dużo więcej niż samo świadczenie usług medycznych.

„Wysyłają naszych lekarzy do biednych dzielnic, co samo w sobie jest oczywiście jak najbardziej pozytywne. Biedacy mają podstawową opiekę medyczną na wyciągnięcie ręki, ale nasi lekarze urabiają ich politycznie. Część naszych medyków faktycznie jest przekonana do socjalizmu, ale większość widzi oczywiście, że ten system to w praktyce jedno wielkie kłamstwo. Każdy musi jednak zachwalać wenezuelskie władze, bo bezpieka nad nami czuwa. Jesteśmy zwykłymi agitatorami politycznymi, ale ci ludzie ufają lekarzom. Cały kraj upadł przez socjalizm, a my mamy powtarzać, że trudności to wina USA i innych kapitalistycznych sabotażystów” – mówi Miguel.

Lekarze na misjach zarabiają oczywiście lepiej niż ci pracujący na Kubie (kiedy Miguel wyjechał z Kuby, zarabiał miesięcznie 25 dol.), ale dostają za swoją pracę jedynie ułamek tego, co państwo przyjmujące płaci Kubie. Przyjmuje się, że do kieszeni medyków wpada od 10 do 25 proc. tej kwoty. Miguel opowiada, że pieniądze przelewane są na konto rodziny pozostającej na Kubie, ale wypłata

z niego możliwa jest dopiero po powrocie do kraju.

BOLSONARO MÓWI „NIE”

Kubańscy komuniści właściwie od początku swoich rządów na wyspie (1959) postanowili uczynić służbę zdrowia swoim sztandarowym projektem. Wobec skoncentrowania wysiłków całego państwa na tym jednym sektorze usług publicznych opieka zdrowotna na Kubie wygląda wręcz fantastycznie na tle ogólnej ruiny tego państwa. Kubańskie władze do znudzenia wykorzystują ten temat w propagandzie, zapraszając do siebie wpływowych gości z zagranicy i pokazując to, co chcą pokazać. Przykładem jest choćby głośny film „dokumentalny” „Sicko” w reżyserii Michaela Moore’a. Zestawia on patologie amerykańskiego systemu ochrony zdrowia z tym, co oferują kubańscy medycy. Kompletnie bezkrytyczny materiał Moore’a aż kłuje w oczy propagandowym przekazem.

Kubański reżim od początku kształcił o wiele więcej medyków, niż wymagałaby tego wielkość społeczeństwa. 11-milionowa Kuba dysponuje ok. 90 tys. lekarzy (dla porównania licząca ok. 38 mln obywateli Polska ma ok. 140 tys. lekarzy). Tę „nadwyżkę” komuniści od lat eksportują do innych państw, głównie do Ameryki Łacińskiej oraz do Afryki.

W ostatnim czasie jednak ten model biznesowy utracił część strategicznie ważnych klientów. O ile w 2016 r. poza granicami Kuby pracowało ok. 50 tys. medyków, o tyle obecnie liczba ta – według wyliczeń przedstawionych przez Reutersa – spadła do 28 tys. Największym problemem dla reżimu Castro była wygrana Jaira Bolsonaro, który jeszcze w kampanii wyborczej ostro atakował lewicowe władze Brazylii za podjęcie współpracy z Kubą. Bolsonaro nazywał lekarzy „kubańskimi niewolnikami” i stwierdził, że ich praca w Brazylii „żywi kubańską dyktaturę”. Za każdego z nich Hawana dostawała od brazylijskich władz ok. 3,6 tys. dol. miesięcznie. Wiedząc, że Bolsonaro zamierza wycofać się z umowy, Kubańczycy sami odwołali z Brazylii do domu 8,3 tys. medyków.

Wybuch pandemii koronawirusa to dla reżimu Castro wielka szansa, by załatać rosnącą dziurę w budżecie. Im dłużej będą zamknięte kubańskie hotele, tym cenniejsza będzie – i to dosłownie – „armia w białych kitlach”.



Małgorzata Wołczyk

Hiszpania dryfuje w stronę socjalizmu XXI w., zwanego boliwariańskim. Modelowym jego przykładem jest Wenezuela, a właściwie rozmiar klęsk i głodu spowodowanych przez rządy wyznawców projektu boliwariańskiego: Hugona Cháveza i jego następcy Nicolása Maduro

Nie jest już tajemnicą, że Pablo Iglesias Turrión, obecny wice-premier Hiszpanii i lider skrajnie lewicowej partii Podemos, przez wiele lat był finansowany przez obu wenezuelskich dyktatorów. Fundacja Iglesiasa CEPS otrzymała 7,1 mln euro w celu „sprowadzenia rewolucji do Hiszpanii i walki z kapitalizmem”. Marzenia Iglesiasa o władzy spełniły się już w styczniu, choć premier Sánchez przysięgał Hiszpanom, że nie wejdzie z nim w żaden układ, „bo nie zmrużyłby oka, mając takiego koalicjanta”. Obietnicę złamał w drugim dniu po wyborach. Od czasu zaprzysiężenia wydaje się, że z każdym miesiącem coraz większą władzę ma właśnie wicepremier Iglesias.

Ten młody hiszpański polityk (1978 r.), politolog, wykładowca i pre- zenter telewizyjny po zaledwie kilku latach w ławach Kongresu nie tylko objął urząd wicepremiera, tekę ministra ds. praw socjalnych, lecz także – co budzi uzasadnioną grozę Hiszpanów – wszedł do komisji służb specjalnych. Sánchez nie zawahał się bowiem zmodyfikować prawa pod pretekstem walki z pandemią, aby w nadzwyczajnym trybie spełnić życzenie koalicjanta i postawić go wśród ludzi służb. Iglesias, który współpracował z narkodyktaturami w Wenezueli, Nikaragui, Boliwii, a także przez parę lat był dziennikarzem irańskiej stacji Hispan TV, będzie miał wgląd w najbardziej poufne sprawy i archiwa.

CENZURA I GEST HOJNOŚCI

Od czasu przejęcia władzy przez rząd zwany tam „social-comunista” rozpoczął się dryf Hiszpanii w dramatycznie złym kierunku. Madryt to już nie tylko „stolica



Hiszpania się czerwieni

śmierci” na skalę światową (1613 zmarłych na milion mieszkańców z powodu COVID-19), lecz także synonim fatalnego zarządzania kryzysem. Według rankingu Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa z Baltimore i Centrum Badań nad Chorobami (CDC) Hiszpania zajęła ostatnie miejsce w Europie pod względem dbania o bezpieczeństwo obywateli. Jeszcze gorsze miejsce przypisali Hiszpanii naukowcy z Uniwersytetu w Oksfordzie: przypadła im pozycja za Afganistanem i Papuą-Nową Gwineą.

Te i wiele innych znaków kompletnej katastrofy w zarządzaniu premier Sánchez usiłuje ukryć przed opinią publiczną za pomocą coraz bardziej dyktatorskich metod. Nie ogranicza się już do notorycznego kłamania w swoich niedzielnych wystąpieniach (np. „Uniwersytet Oxford dał Hiszpanii najwyższy wynik w krajach zachodnich”), ale rozpoczął etap cenzurowania mediów oraz sieci społecznościowych. W szczycie epidemii, kiedy każdego dnia

gasiło życie ok. 900 Hiszpanów, dziennikarze nie mogli zadawać pytań podczas konferencji prasowych. Te przypominały zresztą bardziej wiece wyborcze pełne fanfaronady.

Dłatego na początku kwietnia 400 dziennikarzy, i to bynajmniej nie kojarzonych z prawicowymi mediami, podpisało protest przeciwko takim praktykom. Manifest zbiorowy potępiał zachowania sekretarza stanu ds. komunikacji Miguela Ángela Oliveri za filtrowanie pytań, selekcję według nieznanych kryteriów, wymawianie się problemami technicznymi, aby uniknąć połączenia on-line z chętnymi do zadawania pytań dziennikarzami. W proteście wzięli udział m.in. dziennikarze tygodników „ABC” i „El Mundo”, odmawiając uczestnictwa w tak zorganizowanych konferencjach.

Czarę goryczy przełał jednak gest niebywałej hojności państwa wobec zaprzyjaźnionych prywatnych (!) telewizji,



Pablo Iglesias Turrión, wicepremier Hiszpanii i lider skrajnie lewicowej partii Podemos (z lewej), z premierem Pedro Sánchezem
FOT. RICARDO RUBIO/EUROPA PRESS/GETTY IMAGES

które wiernopoddaczo służą socjalistom od lat. Podczas gdy cały świat oglądał lekarzy hiszpańskich, którzy z braku dostępu do podstawowych zabezpieczeń ubrani byli w worki na śmieci, rząd ofiarował mediom 15 mln euro w nadzwyczajnym trybie dekretu królewskiego pod pretekstem „potrzeby dalszego zagwarantowania świadczenia usługi, niezbędnej w każdym społeczeństwie demokratycznym zwłaszcza w obecnym kontekście kryzysu związanego z epidemią”. Powszechna jest jednak wiedza, że oba domy medialne Atresmedia i Mediaset odniosły w 2019 r. ogromne zyski w wysokości odpowiednio 118 i 211 mln euro, nie groził im więc żaden kataklizm finansowy.

ALERT DEMOKRATYCZNY

To jeszcze nie koniec zatrzważających poczynań Sáncheza, który zdaje się zwyczajnie używać pandemii do zainstalowania na Półwyspie nowej wersji socjalizmu. Pomimo szalejącej śmiertelności postanowił ukrócić wolność wypowiedzi i komunikowania się pod hasłami „walki z fake newsami”. Innymi słowy, pod pretekstem chronienia obywateli przed dodatkowym stresem rząd uznał, że kłamliwe treści (tzw. bulos) generowane (a jakże!) przez sympatyków prawicy i konserwatystów nie tylko są bezpodstawnym atakiem na rząd, lecz także utrudniają obywatelom powrót do zdrowia. Już 6 kwietnia minister spraw

wewnętrznych ogłosił, że „monitoruje” sieci społecznościowe, określając jako „przestępcze” rozpowszechnianie „absolutnie fałszywych i stronniczych wiadomości”. W następnym tygodniu Centrum Badań Socjologicznych (CIS), uzależnione od rządu, opublikowało ankietę wyraźnie mającą na celu wsparcie cenzury mediów i sieci. Pytania były sformułowane tak podchwytliwie, aby jak najwięcej osób zgodziło się na cenzurę w celu walki z fake newsami. Wywołało to prawdziwy skandal, ale rząd i tak nie wycofał się ze swoich zamierzeń. Minister ds. edukacji María Isabel Celaá, ta sama, która w grudniu oświadczyła, że „w Hiszpanii dzieci nie należą do rodziców” (czyli muszą być poddane edukacji seksualnej niezależnie od poglądów swych opiekunów), także wzięła w obronę rządowy projekt kontrolowania sieci społecznościowych: „Nie możemy zaakceptować pojawiania się negatywnych wiadomości”.

Wstrząsem dla Hiszpanów okazała się jednak konferencja prasowa, na której szef Sztabu Generalnego Gwardii Cywilnej, gen. José Manuel Santiago, przyznał, że służby pracują nad tym, „aby zminimalizować atmosferę sprzeciwu wobec działań rządu”. Stłamszona opozycja, której ogłoszony 15 marca stan alarmowy niemal zupełnie odebrał głos w Kongresie i możliwość sprawowania kontroli nad poczynaniami rządu, ogłosiła „alert demokratyczny”. Trzecia siła w parlamencie, konserwatywna partia VOX, która od początku kryzysu usiłowała wpływać na rząd i zmuszać go do podejmowania sensownych kroków, jest lekceważona nie tylko przez inne ugrupowania, lecz także większość mediów, które po 40 latach hegemonii lewicowej nauczyły się powtarzać mechanicznie obelgi typu „frankiści i faszyści”. Gdy VOX dopominał się jeszcze w lutym o zamknięcie połączeń lotniczych z Chinami i Włochami, został przez wszystkie media wyśmiany jako partia panikujących ksenofobów.

Lider konserwatystów Santiago Abascal jako jedyny próbuje punktować rząd za wszystkie próby odebrania ludziom wolności wypowiedzi pod hasłami walki „z mową nienawiści”. Zamachem na demokrację jest nie tylko cenzura mediów, wywieranie presji na redakcje, aby pozbywały się niepokornych dziennikarzy, monitorowanie sieci społecznych, lecz także ingerencja w komunikatory typu WhatsApp, której doświadcza także

niżej podpisana w rozmowach z Hiszpanami. Od pewnego czasu niektórych plików wideo lub obrazków nie można przekazać, ponieważ funkcja w jakiś przedziwny sposób przestaje działać albo załącznik można wysłać wyłącznie jednej osobie.

W Hiszpanii istnieją dwa podmioty prywatne i jeden publiczny zajmujące się weryfikacją informacji pojawiających się w sieciach społecznościowych: Newtral, Maldita.es i EFE Verifica. Są to tzw. fact-checkerzy, czyli akredytowane podmioty przy Międzynarodowej Sieci Kontroli (IFCN). Problem w tym, że na najwyższych stanowiskach w obu pierwszych podmiotach znajdują się osoby personalnie związane z partią PSOE. Sieć licznych powiązań między „weryfikatorami prawdy”, szefami sympatyzujących z rządem mediów a partiami będącymi u władzy dość szybko została rozpoznana. Dziennikarz Alvisé Pérez upublicznił powiązania, a nawet przelewy rządowe dla tych firm. Publiczna telewizja hiszpańska już rok temu została zawłaszczona przez ludzi z kręgu Podemos, więc nietrudno sobie wyobrazić, jak zideologizowany obraz rzeczywistości dostają Hiszpanie zamknięci w domach z powodu trwającego stanu alarmowego.

WSZYSTKO PAŃSTWOWE

Stałym problemem pozostaje język oficjalnych mediów, tak dalece nasiąknięty lewicowym myśleniem, że liberalno-konserwatywny VOX jest nazywany „skrajną prawicą”, podczas gdy radykalnie neokomunistyczna partia Podemos, której niektórzy członkowie chlubią się symbolami sierpa i młota na koszulkach lub celebrytą datę urodzin Lenina, pozostaje po prostu „lewicą”. Nikt nie ośmielił się nazwać Iglesiasa komunistą, nawet gdy otwartym tekstem mówi o potrzebie nacjonalizacji służby zdrowia, banków, kluczowych przedsiębiorstw i szkolnictwa. Zdanie, które wypowiedział pod koniec marca: „Całe bogactwo kraju w różnych formach powinno być podporządkowane interesowi państwa”, spowodowało przerażenie wśród przedsiębiorców, inwestorów i spowodowało ciche procedery przenoszenia oszczędności z banków hiszpańskich do tych w Luksemburgu czy Andorze.

Niestrudzone „widmo komunizmu krąży po Europie”, a dokładnie w słonecznym kraju nad rzeką Tag.

Urlop w czasach zarazy



FOT. ADAM STOK



Jacek Przybylski

Polskie hotele od 4 maja mogą znów być otwarte. Do wielu zagranicznych kurortów w Europie polecieć będzie można jednak najwcześniej za kilka tygodni, a może nawet miesięcy. I w Polsce, i za granicą podczas urlopu w czasach koronawirusa będą obowiązywały inne niż dotąd zasady

Bezpieczna szczepionka na koronawirusa nie będzie gotowa wcześniej niż wiosną albo latem 2021 r. W najbliższych miesiącach ani w Polsce, ani w wielu krajach Europy nie będzie więc kolonii dla dzieci ani wypełnionych po brzegi hoteli. Restauratorzy, hotelarze i właściciele biur podróży w Polsce i na całym świecie ostrzegają jednak rządy, że jeśli szybko nie wrócą do działalności, to bankructwo będą musiały ogłosić setki tysięcy przedsiębiorców, a do urzędów pracy zgłoszą się dziesiątki milionów nowych

bezrobotnych. Turystyka odpowiada bowiem za ponad 10 proc. światowego PKB.

Jak podała „Rz”, powołując się na szacunki Izby Gospodarczej Hotelarstwa Polskiego (IGHP), każdy miesiąc zamknięcia hoteli z powodu epidemii koronawirusa oznacza spadek przychodów całej polskiej branży hotelowej w granicach od 870 mln zł do 1 mld zł. Premier Morawiecki ogłosił więc, że od 4 maja hotele mogą znów działać.

Władze Hiszpanii – której branża turystyczna tylko podczas Wielkiego

Tygodnia w wyniku zamknięcia hoteli i restauracji straciła w tym roku ponad 18 mld euro – już w zeszłym tygodniu zdecydowały o otwarciu pierwszych plaż na Costa del Sol. Na razie mogą z nich korzystać jednak tylko mieszkańcy miast, przy których są położone. Obowiązuje również zakaz kąpieli w morzu.

Nie wiadomo jeszcze, kiedy na przykład zagranicznych turystów otworzą się kurorty w kontynentalnej Hiszpanii. Wyspy Kanaryjskie – według zapewnień minister transportu Yaizy Castilli – pierwszych gości z zagranicy chcą przyjąć w październiku 2020 r. Wcześniej – już w lipcu i w sierpniu – do kanaryjskich kurortów będą mogli przylatywać Hiszpanie z kontynentalnej części kraju. Inne europejskie kraje też przymierzają się do otwarcia na turystów, być może nawet jeszcze latem 2020 r. Turcja chce przyjmować gości już od maja i kuścić turystów certyfikatami obiektów „wolnych od wirusów”. Grecy sezon na ograniczoną skalę chcą zacząć w lipcu.

Wpływ koronawirusa na amerykańską branżę turystyczną sprawi z kolei – według szacunków podanych przez magazyn „Fortune” – że z gospodarki USA wyparuje 910 mld dol. Po obu stronach oceanu wręcz praca nad wznowieniem podróży. Tak źle jak teraz w wielu krajach nie było bowiem nawet podczas drugiej wojny światowej.

ŁUŻNIEJ W SAMOLOTACH

Wiele linii lotniczych już w maju zamierza wrócić do przewozu pasażerów. Przewoźnicy zamierzają wprowadzić jednak wiele środków ostrożności, aby zapewnić lepszą ochronę przed wirusem zarówno dla podróżnych, jak i pilotów oraz stewardes.

Po pierwsze, promowana będzie automatyczna odprawa. Również podczas boardingu linie będą robić wszystko, aby unikać ścisłości i umożliwić pasażerom zachowanie bezpiecznego dystansu. Aby skrócić czas zajmowania miejsc, prawdopodobnie na pokład nie będzie można wносить żadnego bagażu podręcznego poza torebkę, laptopem czy zabawką dla dziecka.

Przewoźnicy najpewniej będą nie tylko mierzyć temperaturę wszystkim wchodzącym na pokład (nie będzie to konieczne na lotniskach wyposażonych w specjalistyczne skanery termiczne, które monitorują wszystkich pasażerów chodzących po terminalu), lecz także mogą wymagać, aby przez cały czas lotu wszyscy pasażerowie mieli na sobie maseczki. Stewardesy podczas lotów w czasach koronawirusa będą wymarzone kobietami dla wszystkich pasażerów, którzy lubią Marcela Prousta – do podróży będą podchodzić zawsze zamaskowane (i w rękawiczkach), więc ich piękny, szeroki, śnieżnobiały uśmiech będzie można sobie tylko wyobrazić.

Oczywiście nawet jeśli wirus dostanie się na pokład, to nie wyskoczy nagle i nie ugryzie nikogo w kostkę. Trzeba go najpierw dotknąć. Aby zredukować ryzyko, z samolotów znikną różnego rodzaju magazyny, które jeszcze przed pandemią koronawirusa były uznawane przez ekspertów za największe siedlisko wszelkich bakterii i wirusów, a stosowane wysokowydajne filtry HEPA – podobne do tych, których używa się w nowoczesnych salach operacyjnych – mają wyłapywać jeszcze większy odsetek różnego rodzaju drobnoustrojów.

Aby zmniejszyć ryzyko zarażenia się nawzajem przez pasażerów idących

do toalety – a tych pewnie nie uda się wyeliminować nawet na krótkich trasach – najlepiej jest rezerwować miejsca przy oknach lub z przodu kabiny pasażerskiej – osoby siedzące na tych miejscach według badań przeprowadzonych przez FlyHealthy Research Team podczas epidemii SARS w 2003 r. są najmniej narażone na zarażenie.

Na krótkich trasach linie lotnicze zrezygnują także z serwowania przekąsek, a na trasach międzykontynentalnych rozdać będą jedynie gotowe, zafoliowane zestawy – te podawane były już zresztą w drugiej połowie marca, gdy przed zamknięciem granic samoloty przewoziły jeszcze ostatnich pasażerów. Zamiast batoników czy orzeszków stewardesy będą roznosić najprawdopodobniej chusteczki dezynfekujące.

Niewykluczone, że aby ułatwić zachowanie maksymalnie dużego dystansu społecznego, linie lotnicze zablokują możliwość rozkładania foteli i będą zostawiać wolne jedno miejsce między pasażerami w danym rzędzie (w samolotach, w których w obu rzędach są po trzy miejsca, w takim scenariuszu wolne będą po prostu środkowe fotele, co pozwoli na zachowanie około metrowego dystansu). Przy niewielkim obłożeniu lotów – a takie zapewne będzie w pierwszych tygodniach, a być może i miesiącach luzowania epidemiologicznych restrykcji – nie powinien być to wielki problem dla tradycyjnych przewoźników. Wprowadzenie takiego rozwiązania zapowiedziały już więc m.in. linie Delta, easyJet czy Emirates. Gorzej będzie z tanimi liniami.

Wprawdzie Wizzair najprawdopodobniej zgodnie z sugestią zablokuje środkowy fotel, ale już rozwrzeszczany szef Ryanaira ani myśli stosować się do nowych zasad, które uważa za „idiotyczne”. Być może rozwiązaniem byłoby zainstalowanie między rzędami i między poszczególnymi fotelami przezroczystych ścianek – projekt „Glassafe” zaprezentowała w kwietniu włoska firma Aviointeriors. Czy projekt się przyjmie? Nie wiadomo. Z pewnością jednak podobnych pomysłów szybko będzie przybywać.

NOWY ŁAD HOTELOWY

Ścianki oddzielające gości na tarasie z widokiem na urzekającą panoramę Madrytu, wraz z oddzielnymi korytarzami dla turystów wchodzących i wychodzących z tarasu, planuje też wprowadzić

luksusowy Plaza España Design. Według „El Pais” każdy gość tego hotelu będzie miał do dyspozycji „sterylną bańkę” wolną od wirusa, w pokojach piloty do telewizorów będą zapakowane próżniowo, a stoliki w restauracjach będą czyszczone za pomocą parownic ciśnieniowych.

Do „nowej normalności” przygotowują się też polscy hotelarze. W drugiej połowie kwietnia zespół ds. hoteli sztabu kryzysowego #TUgether – w którego skład wchodzi m.in. IGHP – przesłał do Ministerstwa Rozwoju rekomendacje dotyczące tzw. protokołów bezpieczeństwa w obiektach hotelowych, pensjonatach etc.

Wśród procedur zapobiegawczych zaproponowano m.in. badanie temperatury i wprowadzenie oświadczenia dla gości dotyczącego stanu zdrowia (w razie odmowy hotel mógłby odmówić zakwaterowania).

Do minimum skrócić ma się również czas przebywania gości w okolicach recepcji.

W ramach walki z koronawirusem wszystkie pokoje hotelowe miałyby być regularnie dezynfekowane i ozonowane. Łatwo dostępne dla gości mają być również dozowniki z płynem do dezynfekcji.

Liczba gości w hotelu ma zostać ograniczona maksymalnie do dwóch osób na pokój (oczywiście rodziny z dziećmi nadal mogłyby przyjeżdżać, ale wówczas hotel powinien odpowiednio ograniczyć możliwość rezerwacji innych pokoi, aby zapewnić zmniejszoną liczbę gości w hotelu). Obowiązywać ma również absolutny zakaz odwiedzin gości. Sale konferencyjne miałyby zaś zostać uruchomione w reżimie obiektów sakralnych (jedna osoba na 15 mkw. powierzchni).

Goście mogliby też na wyłączność wynajmować saunę, siłownię etc. – a po każdorazowym użyciu prowadzona byłaby dezynfekcja użytych elementów infrastruktury. Dezynfekowane mają być również wypożyczane gościom sprzęty, takie jak rowery, kajaki etc.

Popularny serwis Airbnb od maja wprowadza nowe instrukcje prowadzenia działalności dla właścicieli wynajmowanych obiektów. Zgodnie ze specjalnym „protokołem czystości” – opracowanym we współpracy z Vivekiem Murthym, naczelnym lekarzem USA za rządów prezydenta Baracka Obamy – właściciele mieszkań z pokojami na wynajem będą musieli używać nie tylko maseczek i rękawiczek, lecz także zatwierdzonych środków dezynfekujących.

■ Po dokładnym sprzątnięciu wymagana jest 24-godzinna przerwa w przyjmowaniu gości, aby nie narażać ich na działanie szkodliwych substancji, które mogą unosić się w powietrzu po sprzątnięciu. Ci, którzy nie zgodzą się na wprowadzenie nowych zasad dezynfekcji, mogą stosować „bufor rezerwacyjny”, który polega na tym, że nowych gości można zameldować dopiero 72 godziny po wymeldowaniu poprzednich. Aby ułatwić klientom wybór obiektów, serwis zamierza pokazywać, który gospodarz korzysta z protokołu czystości, a który z bufora rezerwacji. Początkowo zasady działania w czasach koronawirusa mają obowiązywać tylko w USA, ale stopniowo rozszerzane będą też na inne kraje.

Według szefa organizacji World Tourism Forum Institute pandemia zmieni m.in. sposób serwowania posiłków w hotelach. Bulut Bagci prognozuje, że zamiast nieustannie odkładać naczyń i sztućców leżących przy szwedzkich stołach, hotelarze będą częściej oferować menu à la carte.

Rezygnację z bufetu zaproponował także wspomniany zespół ds. hoteli sztabu kryzysowego #TUgether. Posiłki mają być podawane prosto do stolików. Polski zespół rekomendował również, aby hotelowe restauracje wydawały posiłki tylko gościom danego obiektu. W restauracjach liczba osób miałaby być ograniczona tak, aby można było zachować zasady dystansu społecznego. Niewykluczone jest również, że posiłki będą przez gości zamawiane i dostarczane prosto do pokoju. Jeśli podobne zasady przyjmą zagraniczne kurorty, to dramatycznie spadnie atrakcyjność ofert typu all-inclusive.

PLAŻE NIE DLA TŁUMÓW

Czy plastikowe bańki powstaną nie tylko w samolotach, ale również na plażach? Takie pomysły też już się pojawiły, ale na szczęście gospodarze największych kurortów wiedzą, że trzymając turystów w plastikowych klatkach, nie przyciągnęliby zbyt wielu gości.

Władze popularnego przed pandemią, położonego niedaleko Wenecji, kurortu Bibione próbują za to skusić do przyjazdu rodziny z dziećmi gwarancją prywatnych „apartamentów” na szerokiej piaszczystej plaży. Aby każdy mógł się czuć bezpiecznie, zamiast 18 tys. parasoli z leżakami, w najbliższym sezonie liczba miejsc spadnie zaledwie do 7 tys. Dzięki temu każda z wypoczywających nad

wodą rodzin ma mieć do własnej dyspozycji 50–55 mkw. plaży. Dzięki takiemu rozwiązaniu plażowicze będą zwolnieni z obowiązku noszenia maseczek.

Również Portugalia planuje ograniczyć liczbę osób, które mogą jednocześnie korzystać z plaż. Jak poinformował portal The Portugal News dokładne instrukcje dotyczące obliczania limitów dla konkretnych publicznych plaż – których powierzchnia zmienia się przecież w zależności od tego, czy jest przypływ, czy też odpływ – mają zostać podane do publicznej wiadomości jeszcze w maju. Eksperti mają oszacować bezpieczny dystans między plażowiczami, uwzględniając powierzchnię potrzebną na leżaki, parasole oraz zmieniające się położenie słońca.

Niestety, wciąż nie wiadomo, czy portugalscy plażowicze będą musieli nosić kostiumy dwuczęściowe dla mężczyzn (kąpielówki plus maseczka) i trzyczęściowe dla kobiet. Nie wiadomo również, czy będą mogli korzystać z nadmorskich barów i pryszniców, a także jak przeprowadzać dokładną dezynfekcję leżaków, zjeżdżalni etc.

Wiadomo jedynie, że Portugalia mocno odczuje w tym roku ograniczenia w podróżowaniu. Według prognoz analityków Oxford Economics będzie krajem, który po Włoszech i Hiszpanii najmocniej odczuje spadek zagranicznych odwiedzin, a liczba gości z zagranicy zmaleje w porównaniu z rokiem 2019 o 40 proc., czyli aż o 7 mln osób.

WYDŁUŻONY SEZON

Chociaż wiele szczegółów wciąż wymaga dopracowania, to jedno wydaje się niemal pewne: podczas wakacji w czasach koronawirusa nasza prywatność będzie mocno ograniczona. Władze popularnych wśród turystów krajów będą chciały bowiem dokładnie wiedzieć, skąd i dokąd przemieszczał się dany gość i z kim miał kontakt. Obowiązek ścigania specjalnej aplikacji umożliwiającej śledzenie położenia każdego turysty zapowiedziały już władze popularnych Wysp Kanaryjskich.

W Hiszpanii pojawił się również pomysł wprowadzenia zupełnie nowych kolorowych opasek dla turystów: nie będą już one dzieliły gości kurortów na tych, którzy mają prawo do posiłków i napojów w ramach all-inclusive i tych tylko ze śniadaniem, ale raczej wprowadzą podział na tych, którzy przeszli już koronawirusa, i tych, którzy potencjalnie

mogą zachorować. Według „El Mundo” stowarzyszenie hiszpańskich hotelarzy rozważa wprowadzenie trzech kolorów. Białą opaskę nosiłyby osoby, które zostały wyleczone z COVID-19, zieloną – osoby zdrowe, które nie należą do grup wysokiego ryzyka, a czerwoną – goście, którzy są zdrowi, ale należą do grupy wysokiego ryzyka. Pomysł ten wydaje się jednak trudny do wprowadzenia. Po pierwsze, według Światowej Organizacji Zdrowia nie ma wcale pewności, że ozdrowieńcy nie mogą znów złapać wirusa. Po drugie, sądząc po atakach na lekarzy i pielęgniarki w Polsce, nosiciele białych opasek mogliby nie być zbyt dobrze traktowani przez pozostałych gości.

Koronawirus może też zakończyć sztywne podziały na sezon niski i wysoki. Ludzie będą bowiem starali się unikać dużych skupisk, co sprawi, że mogą chętniej decydować się na wakacje w terminach, które przed wybuchem pandemii były mniej popularne.

Pandemia COVID-19 może też zmniejszyć popularność największych światowych kurortów (od Dubaju poczynając) i sprawić, że na atrakcyjności zyskają mniejsze ośrodki, niewielkie gospodarstwa agroturystyczne, domki letniskowe czy domy, które właściciele w całości będą wynajmować na wyłączność jednej rodzinie na dwa, trzy tygodnie. Popularne mogą stać się też indywidualne spływy kajakowe oraz rejsy na niewielkich żaglówkach.

Najbardziej znane ośrodki zdają sobie sprawę, że nie będzie łatwo przyciągnąć gości. Sycylia – która tylko w marcu i kwietniu straciła już ponad 1 mld euro – ogłosiła program „współfinansowania wakacji”. Jak poinformował dziennik „The Daily Mail”, turystom, którzy zdecydują się zaryzykować i wybrać w podróż akurat w tę część Włoch, władze regionu opłaca do 50 proc. kosztów biletu lotniczego, pokryją koszt co trzeciego noclegu, a także sfinansują bilety wstępu do wybranych muzeów i parków archeologicznych. Akcja ma kosztować 50 mln euro, a jej szczegóły mają być dostępne w maju na stronie VisitSicily.info.

Inne kraje też mogą być zmuszone do walki o zagranicznych gości. Według ekspertów Niemieckiego Rządowego Centrum Kompetencyjnego ds. Turystyki sytuacja w branży wróci do normy najwcześniej we wrześniu 2021 r. (wariant optymistyczny), a najpóźniej we wrześniu roku 2023.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM**V, U, L czy, niestety, I?**

Na temat tego, jak się potoczą losy wojny przeciw pandemii COVID-19, a tym bardziej tej drugiej – przeciw gospodarczym skutkom pandemii choroby i pandemii paniki, którą ona wywołała – wiadomo na razie tylko tyle, że niewiele wiadomo. Rozpiętość prognoz rozmia-rów recesji, przed którą stoją Polska i reszta świata, jest ogromna i jeśli coś przypomina, to loterię. Minus 5 proc.? – proszę bardzo. Minus 10 proc., a nawet minus 20 proc.? – także to mamy w karcie. A może tylko minus 1 proc.? – tak, to też może się zdarzyć.

W związku z kłopotami z przewidywaniem przyszłości eksperci i instytucje analityczne zwracają się ku przeszłości, prześcigając się w poszukiwaniu najtrafniejszego – ich zdaniem – porównania spodziewanej głębokości obecnego krachu do głębokości któregoś z poprzednich. Międzynarodowy Fundusz Walutowy obstawia, że światowa gospodarka przejdzie na skutek COVID-19 najgłębsze załamanie od wielkiego kryzysu z lat 30. XX w. Jeszcze dalej w przeszłość zapuściło się brytyjskie Biuro Odpowiedzialności Budżetowej, które to, co nas czeka, porównało do kryzysu z 1720 r., czyli pęknięcia tzw. bańki mórz południowych.

Brak dostatecznej liczby danych, na których można by oprzeć symulacje, sprawia, że nie sposób nawet przesądzić, czy będziemy mieli do czynienia z kryzysem typu V,

a więc spadkiem i szybkim odbiciem już w następnym kwartale, typu U – spadkiem, nieco dłuższym spowolnieniem i odbiciem, czy jednak – niestety – z kryzysem typu L, czyli ze spadkiem, a potem długotrwałą stagnacją. Specjalista od czarnych prognoz, Nouriel Roubini, obstawia już nawet nie „L”, lecz po prostu „I” – swobodny spadek gospodarek w przepaść, choć przecież wie nie więcej od tych, którzy liczą – w najgorszym wypadku – na „U”.

Ale co my się będziemy przejmowali jakimś krachem, skoro mamy hojne programy pomocowe – od amerykańskich bilionów dolarów przez unijny „nowy plan Marshalla”, opiewający na setki miliardów euro, po własną Tarczę Antykryzysową, która w ciągu kilku dni – niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – urosła z ponad 200 mld zł do ponad 300 mld zł, a potem o kolejne miliardy. I już wiadomo, że to nie jest ostatnie słowo rządu, bo po tarczach 1.0, 2.0 i 3.0 będą następne tarcze+.

A że tych pieniędzy nie ma? No i co z tego? W części się je wydrukuje – napędzając inflację, a w części pożyczyci – jeszcze bardziej zadłużając podatników – obecnych i przyszłych. Bo w końcu, czy mamy jawny dług w wysokości nieco ponad jednego biliona (jak obecnie) czy półtora biliona złotych, a ukryty w wysokości prawie pięciu bilionów czy pięciu i pół biliona złotych, to w końcu co to za różnica?

A może jednak różnica? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA**Rząd wrzuca na luz**

Znikające właśnie obostrzenia to porażka linii Łukasza Szumowskiego, który – według moich informacji – przeciwstawiał się zawzięcie niemal jakimkolwiek luzującym krokom, przynajmniej na razie. Zarazem jednak nie proponował w zamian niczego oprócz strachów, opowieści o wciąż przesuwającym się szczycie zachorowań (który zaczął być już jak yeti – wszyscy o nim mówią, a nikt go nie widział) oraz oczywiście noszenia maseczek.

Co jest naszym celem poza „wypłaszaniem krzywej”? Tę można wypłaszć bez końca, a kraj musi jakoś funkcjonować

Przez długi czas ministrowi zdrowia pozwalano niemal jednoosobowo kształtować strategię walki z epidemią – co było błędem. Szumowski, patrząc na sprawy wyłącznie z medycznego punktu widzenia, inspirował działania, co do których można mieć spore wątpliwości, czy były konieczne – takie jak słynne zamknięcie lasów. Jego pozycja, początkowo mocna, zaczęła jednak słabnąć. W kolejnych wypowiedziach przeczył

sam sobie, przekazywał wyłącznie przygnębiające prognozy, w tym tę o szczycie zachorowań na jesieni, a tym samym zaczął się stawać obciążeniem wizerunkowym dla rządu. Ten zaś miał świadomość, że odporność Polaków na narzuconą im izolację się kończy.

Słuchając go, można było zadawać sobie pytanie o to, co jest właściwie naszym celem poza powtarzanym wielokrotnie „wypłaszaniem”? Wypłaszając krzywą można przecież bez końca, a kraj jednak musi jakoś funkcjonować. Szumowski nie przedstawił celu w postaci uzyskania zbiorowej odporności – co zresztą przy „wypłaszaniu” byłoby absurdem, a szczerpionka to perspektywa niepewna i odległa. Widać więc, że w konsekwencji – nareszcie! – przewagę zdobyła frakcja pragmatyków, choć Szumowski łatwo się nie poddaje. Nie godzi się np. na uruchomienie branży fryzjerskiej i kosmetycznej, mimo że w tych miejscach o zachowanie higieny bardzo łatwo.

Nie tylko w Polsce za jakiś czas pandemia COVID-19 powinna się stać przyczynkiem do solidnego namysłu nad tym, czy kontrolę nad sytuacją można w takich warunkach powierzać wyłącznie ekspertom z dziedziny medycyny. Po półtora miesiąca hibernacji państwa stawiabym zdecydowanie tezę, że nie. A na pewno nie patrząc tak wąsko jak Łukasz Szumowski. ©©

Z Witoldem Bańką, przewodniczącym Światowej Agencji Antydopingowej WADA

rozmawia Łukasz
Majchrzyk



ŁUKASZ MAJCHRZYK: Walka z dopingiem wymaga wielkich pieniędzy, a system ma ciągle wiele dziur. Są państwa, które nie mają budżetu na walkę z dopingiem, bo nie chcą lub nie mogą pieniędzy wygospodarować. Jednym problemem jest zbyt mały budżet Światowej Agencji Antydopingowej WADA, ale drugim – słaby system kontroli w poszczególnych państwach?

WITOLD BAŃKA: Rzeczywiście, z solidarnością krajów nie zawsze jest dobrze. Można by wymienić sporo państw, które stać na to, żeby wysłać oficjeli na międzynarodowe imprezy sportowe, więc powinno być je także stać na to, by finansować badania antydopingowe, a tego nie robią. Są kraje, które mają zapłacić po kilkaset dolarów składki na rzecz WADA, a i tego zobowiązania nie wypełniają. Oczywiście nie można generalizować, bo są kraje ogarnięte wojną, od których ciężko oczekiwać stworzenia narodowej agencji oraz wygospodarowania dużego budżetu antydopingowego. Takim państwom mają pomagać regionalne agencje antydopingowe RADO, zrzeszające kraje, które nie mają narodowych agencji. Tam właśnie przeprowadzane są dla nich kontrole antydopingowe.

Jak pozyskać większe pieniądze na walkę z dopingiem?

Jeśli mamy prowadzić efektywną politykę, to budżet na poziomie 36–40 mln dol. jest niewystarczający. Mamy świetnych fachowców, narzędzia, odpowiednie sankcje, ale za mało środków. Widzę dwie drogi. Jedna to apel do rządów o wzrost nakładów na działalność śledczą, naukową, edukacyjną – dobrowolne dodatkowe kontrybucje, oprócz standardowej składki. W taki sposób pieniądze przekazywały już m.in. Japonia, Australia, Chiny, Polska i inne kraje o zaawansowanej polityce antydopingowej. To jednak wciąż za mało, dlatego będę apelował i prosił o sukcesywne zwiększanie tych środków. Druga droga to biznes, sponsorzy sportu. Dlatego zaproponowałem powołanie w ramach WADA funduszu solidarnościowego, który już niedługo zacznie funkcjonować. Mogę zdradzić, że mamy już czterech



FOT. ADBEISTOCK

Walka o czysty sport

pierwszych darczyńców – to są polskie firmy, które zadeklarowały dołączenie do funduszu solidarnościowego. Na razie nie chcę zdradzać ich nazw. Myślę, że to dopiero początek i kolejne firmy, z innych krajów, też dołączą. To będzie jedno z moich zadań. Chcę przekonać firmy do współpracy z funduszem. To może być dla nich element działań na rzecz społecznej odpowiedzialności biznesu.

Jak rozmawiacie z firmami? Wysyłacie im oferty?

Tutaj nie można zostać sensu stricto sponsorem, więc nie wysyłamy ofert handlowych. Na razie rozmawiamy z pierwszymi firmami, które znajdą się wśród fundatorów. Wszystko się dopiero tworzy. Kiedy już dokończymy formalności, to będziemy o wszystkim szeroko informować. Cały projekt będzie w pełni jawny i zostanie zaprezentowany mediom. Czemu jest on tak ważny? Jestem przekonany, że to jedyna droga do zwiększenia budżetu na działania antydopingowe, a bez tego sta-

niemy w miejscu. Podam przykład. Teraz mamy 11–12 śledczych, którzy prowadzą postępowania na całym świecie, więc nie jesteśmy w stanie działać tak efektywnie, jak byśmy mogli. Nasz departament śledczy jest najlepszy na świecie, co pokazało dochodzenie w sprawie Rosji. Na przykładzie tej sprawy można się przekonać, że jesteśmy w stanie prowadzić z sukcesami skomplikowane śledztwa, ale na to potrzeba środków.

Nowy fundusz pomoże prowadzić dochodzenia?

Od razu wyjaśniam, że śledztwa nie będą finansowane z pieniędzy nowego funduszu. Środki na ten cel będą pochodzić z dotychczasowego budżetu WADA, który dzięki funduszowi zostanie „odciążony” z innych zadań. Środki tam zgromadzone posłużą na to, by zwiększać zdolności poszczególnych krajów do prowadzenia własnych działań antydopingowych. Z tej puli pieniędzy będziemy finansować również akcje edukacyjne i projekty partner-

skie między agencjami antydopingowymi. Chciałbym, żeby lepiej rozwinięte agencje pomagały tym słabszym tak, jak Polacy teraz pomagają Ukrainie, a wcześniej Azerbejdżanowi. Ten drugi program zadziałał modelowo i WADA prezentuje go wszędzie jako przykład pozytywnej współpracy, a to zasługa obu stron. Polacy podzielili się wiedzą i procedurami, ale trzeba przyznać, że Azerbejdżan zainwestował spore środki. Dzisiaj ich agencja funkcjonuje dobrze, ale bazując na polskich rozwiązaniach. Potrzebujemy kilkudziesięciu tego typu programów. Jest wiele krajów, które nie mają sprawnego systemu antydopingowego, ale nie brakuje im dobrej woli. Takie kraje trzeba nagradzać, a dzięki funduszo- wi solidarnościowemu będziemy mogli współfinansować programy partnerskie.

Jakimi pieniędzmi ma dysponować fundusz?

Nie zakładam sobie takich celów. Można podawać różne liczby, powiedzieć o 10 mln dol., a można też powiedzieć o 100 mln. Na razie chcę się skoncentrować na tym, by zaszczerpić i rozpowszechnić ideę funduszu. Chciałbym, żebyśmy za kilka lat mogli powiedzieć, że temat chwycił i znalazło się wielu chętnych do pomocy. Idea jest słuszna i będę robił wszystko, żeby przekonać mniejsze i większe firmy do uczestnictwa. Oczywiście dziś, w dobie trwającej nas pandemii, jest to spore wyzwanie, bo wszyscy jednocześnie się przede wszystkim w walce z naszym wspólnym niewidzialnym wrogiem, którym jest COVID-19. W perspektywie długofalowej musimy być jednak równie solidarni w walce o czysty sport.

Niektórym firmom, i to mocno zaangażowanym w sport, pewnie przydałoby się poprawienie wizerunku.

Przed wszystkim jestem przekonany, że jeśli jesteś sponsorem sportu, to zależy ci na tym, by ten sport był czysty. Dlatego wierzę, że wiele społecznie odpowiedzialnych firm będzie chciało mieć swój udział w funduszu. Jednocześnie trzeba wyrazić podkreślić, że przekazanie kontrybucji nie będzie w żadnym wypadku dawało możliwości wpływu na jego działanie.

Amerykanie chcą walczyć z dopingiem po swojemu, pracują nad ustawą, która ma im to ułatwić. WADA wysłała list do amerykańskich kongresmenów, w którym zwraca uwagę, że nowe prawo może nieść pewne zagrożenia. Na czym one miałyby polegać?

Chciałbym podkreślić, że WADA jest co do zasady przychylna rozwiązaniom

przygotowanym przez amerykańskie władze, dającym dodatkowe uprawnienia narodowym agencjom antydopingowym. Wątpliwości budzi zasada „*exterritoriality*”, czyli możliwości oddziaływania poza terenem USA przez amerykańskie służby. Mamy też wątpliwości, jeśli chodzi o przepisy chroniące tzw. sygnalistów, czyli osoby, które przekazują informacje o nieuczciwych działaniach dopingowych. Obawiamy się, czy ta ustawa nie idzie za daleko i nie tworzy dodatkowych możliwości prawnych, które utrudniałyby działania WADA oraz innych organizacji antydopingowych, w tym w zakresie zapewnienia ochrony wspomnianym sygnalistom. Mogłaby powstać swoista „*nadjurydykcja*” władz amerykańskich. Mam jednak nadzieję, że będziemy jeszcze mieli możliwość wyjaśnienia naszych wątpliwości z amerykańskim Kongresem.

Doping występuje nie tylko u zawodowców. Ostatnio wpadł 83-letni sztangista.

Tamten zawodnik powinien mieć tzw. wyłączenie terapeutyczne, czyli zgodę na stosowanie danego leku. Możemy się uśmiechać, słysząc takie informacje, bo pan jest w podeszłym wieku, ale złamał reguły, więc USADA go zawiesiła.

Jak można walczyć z dopingiem u amatorów?

Jako WADA działamy tam, gdzie są sygnatariusze Kodeksu. Trzeba pamiętać, że w sporcie funkcjonuje wiele organizacji, które de facto są prywatnymi spółkami, i nie mamy nad nimi władzy. Takie ligi, jak amerykańskie NBA, NFL czy NHL, są poza jurysdykcją WADA. Koszykarze z NBA czy hokeiści z NHL czasem biorą udział w mistrzostwach świata lub igrzyskach olimpijskich, więc nie działają zupełnie obok systemu. To jest temat do dyskusji, jak wciągnąć te ligi do systemu kontroli WADA. Sport amatorski jest zupełnie poza kontrolą. Tymczasem pogoń za sukcesem jest tam już tak duża, że stosuje się środki dopingujące. Chcielibyśmy ten temat podjąć, ale znów wracamy do budżetu. Przy 36–40 mln mamy ograniczone możliwości.

Trudno jest kontrolować świat zawodowego sportu i na amatorów nie starcza sił ani środków?

Oczekiwania wobec Agencji są duże i nieproporcjonalne do możliwości finansowych. Mamy narzędzia, świetny zespół, ale bez pieniędzy nie możemy ich w pełni wykorzystać. Dzięki większemu budżetowi w perspektywie kilku lat mielibyśmy dużo szczelniejszy system. Współpracuje-

my ze służbami: Interpolem, Europolem, ze służbami krajowymi. To jest przeszłość polityki antydopingowej. Widać to w Polsce. Ustawowe możliwości działania, które dostała POLADA, sprawdzają się znakomicie. Nasza agencja ma dużo więcej ciekawych informacji dzięki działalności osób śledczych, zatrudnionych w POLADA i współpracujących z policją, Służbą Celną, prokuraturą, Żandarmerią Wojskową, Strażą Graniczną.

Na koniec zmieńmy temat. Na świecie szaleje pandemia koronawirusa. Z tego powodu przez jakiś czas nie działała chińska agencja antydopingowa CHINADA. Czy nie obawia się pan, że ktoś nieuczciwy mógł to wykorzystać?

CHINADA już na szczęście z powrotem działa. Nie ma jednak wątpliwości, że zakłócenia będą – podobnie jak w każdej innej dziedzinie życia. Nie mieliśmy dotąd sygnałów, że jacyś nieuczciwi sportowcy wykorzystali ten moment do swoich działań, ale musimy być czujni. Musimy dbać o zdrowie sportowców i jednocześnie nie dopuścić, aby ta sytuacja stała się jakkolwiek furtką dla oszustów. Współpracujemy w tym celu ściśle z organizacjami antydopingowymi na całym świecie, po to, by w jak największym stopniu zachować integralność systemu. Musimy też pamiętać, że istnieje wiele narzędzi, które pomagają nam chronić czysty sport w okresie ograniczonych testów, jak paszport biologiczny, długoterminowe przechowywanie próbek pobranych przed pandemią, podczas niej i po niej czy choćby działalność śledcza.

Przez pandemię świat sportu jakby stanął; jeszcze jakiś czas temu nikt nie wyobrażał sobie, że taka impreza jak igrzyska może być przełożona...

Zdrowie i bezpieczeństwo sportowców muszą być priorytetem – dlatego to była jedyna słuszna decyzja w tych wymagających i bezprecedensowych czasach. Jednocześnie na pewno trochę smutna, bo mieliśmy, jako Polska, największe szanse medalowych od wielu lat – ale bezpieczeństwo musi być na pierwszym miejscu. Wierzę, że Białe-Czerwoni będą równie mocni w 2021 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Witold Bańka

– przewodniczący Światowej Agencji Antydopingowej (WADA), polski lekkoatleta, były minister sportu i turystyki

RYCERZE I WARCHOŁY

Dahlbergh zwycięża dżumę



JACEK KOMUDA

Erik Dahlbergh, urodzony w 1625 r. w Sztokholmie, prowadził żywot typowego XVII-wiecznego inteligenta i naukowca. Był wysłannikiem, dyplomata, urzędnikiem, kartografem, artylerzystą, inżynierem fortyfikacji, budowniczym, podróżnikiem i rysownikiem. Osierocony w młodym wieku, został w 1641 r. sługą Gerta Rehnskiölda, szwedzkiego administratora Pomorza Zachodniego i Meklemburgii, nauczył się sztuki sporządzania map, inżynierii i rysunku. Przebywał później we Włoszech, skąd w 1656 r. został odwołany przez Karola X Gustawa i wezwany do Polski, gdzie trwał potop szwedzki, armia koronna i litewska przegrały bitwę pod Warszawą, musiały odstąpić na południe kraju; wkrótce nastąpił też najazd siedmiogrodzkiego księcia Rakocznego.

Dahlbergh był świadkiem tych wszystkich wydarzeń, pozostawił ogromny zbiór niezwykle ciekawych grafik przedstawiających widoki polskich miast, twierdz, a także bitew – jak ta pod Warszawą, pod Gołębim, pod Żarnowcem i inne. Dzięki niemu wiemy, jak wyglądał zamek Krzyżtopór przed zrujnowaniem go przez Szwedów, Warszawa, Grudziądz czy inne miasta połowy XVII w. Jego grafiki są też świetnymi źródłami do odtwarzania wojennego rynsztunku, wozów, taborów, obozów i elementów fortyfikacji z XVII w.

24 września 1656 r. król Gustaw Adolf mianował go naczelnym kwatermistrzem armii szwedzkiej. Dahlbergh wyruszył na inspekcję licznych zamków w Wielkopolsce, Prusach Królewskich i Kujawach, które były w szwedzkich rękach. Po powrocie niespodziewanie zachorował. Jak podaje jego biograf Peter Englund w „Latach wojen” – zaraził się dżumą, która panowała na zajętych przez Szwedów terenach i wyżyła potworne straty. Pozosta-



FOT. WIKIPEDIA

wił nam wstrząsający opis choroby; dowiadujemy się z jego pamiętnika, co robił człowiek sprzed 400 lat, kiedy zapadł na boleść, na którą nie było lekarstwa, i jak brutalnie postępowano z chorymi. Sam stał się jednym z nielicznych ludzi, którzy przetrwali dżumę.

7 października, po audjencji u króla, Dahlbergh poczuł się źle. Przerażony wyjechał z Fromborka do Elbląga, aby znaleźć kryjówkę, w której mógłby leczyć się w spokoju. Obawiał się, że zostanie oskarżony o zarażenie króla, co mogłoby mieć ostateczne konsekwencje. Po drodze czuł się coraz gorzej, opadał z sił, w pewnej wiosce odesłał więc sługę, wsiadł na konia i... pojechał do lasu, aby zniknąć z oczu chłopom, którzy po cichu polowali na Szwedów. W lesie przebywał ponad miesiąc. Jak sam pisał: „Straciłem wszystkie zmysły i rozum i nie mogę sobie wszystkiego przypomnieć, co mi się zdarzyło, co robiłem i tylko to, że ciągle chciało mi się spać; nic innego nie robiłem, jak tylko spałem, jadąc na koniu, tak że głową i całym ciałem zahaczałem o gałęzie”. Co pewien czas spadał z siodła albo kładł się na gołej ziemi. Kiedy koń odchodził od niego, Dahlbergh był tak osłabiony, że czołgał się do niego na czworakach. Po trzech dniach, osłabiony z głodu,

przyjechał do wioski nad brzegiem Zalewu Wiślanego, prawdopodobnie w okolicach dzisiejszego Suchacza, i zatrzymał się w karczmie. Nie przyznał się oczywiście, że jest chory, a właściciel i jego żona wzięli go za pijanego. Niestety, kiedy wkrótce padł jak nieżywy, domyślili się, co mu dolega. Następnego dnia gorączkującego Dahlbergha wynieśli wraz z łóżkiem z gospody i postawili pod wierzbą nad brzegiem zalewu, wystawiając na październikową słotę i deszcz. Pozostawili go, aby umarł, jednak bohatera uratowała... hojność. Przebywając w karczmie poprzedniego dnia, postawił piwo biednemu rybakowi, który nazywał się Jacob. Kiedy człowiek ten zobaczył leżącego bez sił Dahlbergha, zaopiekował się nim. Przede wszystkim ukrył przed „katolickimi, zbuntowanymi chłopami”. Zabrał od gospodarza łódź, wymościł ją słomą, ułożył na niej chorego i wepchnął go w nadbrzeżne szuwary. Dahlbergh przeleżał tak 21 dni. W tym czasie Jacob przynosił mu jedzenie i picie, na koniec zostawił do posług swojego nastoletniego syna.

Dahlbergha uratowało... piwo, które pił cały czas, bo jeść nie mógł. Kiedy sądził, iż wybiła jego godzina, próbował jak typowy człowiek XVII w. zadbać o sprawy doczesne. Wymógł na Jacobie obietnicę, że pochowa go pod dębem na brzegu zalewu, a także iż trumna nie będzie zbyt krótka, aby, jak podaje Englund: „Nie cisnęła w stopy”. W końcu zaczął wracać do zdrowia: „Zacząłem już czuć się sobą i stałem się tym samym człowiekiem co przedtem” – pisał. W zamian za uratowanie życia nagroził rybaka kilkoma sztukami złota i pierścieniami. Cóż, dzięki jego poświęceniu możemy zobaczyć dzisiaj, jak wyglądała Polska połowy XVII w.; Dahlbergh zmarł zaś w 1703 r., dożywszy sędziwego jak na tamte czasy wieku 77 lat. ©

KAMILA BORUTA OGŁASZA WIOSNĘ

Pojawienie się szparagów na straganach to tak naprawdę dla mnie początek prawdziwej wiosny. Lokalne szparagi, w dodatku prosto z pola, nie mają konkurencji! Jeśli szparagi są świeże, to w zasadzie nie potrzeba im wiele dodatków. Są soczyste i chrupiące. Mało tego, przygotowanie szparagów zajmuje zaledwie kilka minut. A jak wyglądają na talerzu! Bajka!

Mam kilka ulubionych przepisów na szparagi, ale jeden gości u mnie na stole często, a to za sprawą spaghetti – bo pasty pod każdą postacią to moja miłość od pierwszego wejrzenia.

Poniżej przepis na spaghetti à la carbonara z dodatkiem szparagów.

Składniki (na 2 porcje):

- 200 g makaronu spaghetti
- pół pęczka szparagów zielonych
- 100 g szynki parmeńskiej
- 2 ząbki czosnku
- 3 jajka
- garść natki pietruszki
- 40 g parmezanu
- sól i pieprz do smaku
- kilka sztuk pomidorków koktajlowych

Przygotowanie:

Makaron gotujemy w osolonej wodzie według wskazówek na opakowaniu.

Szparagi myjemy, odłamujemy twarde końce (same złamią się we właściwym miejscu), zostawiamy główki, resztę łodygi ścieramy na tarce, najlepiej o dużych oczkach. Na dużej patelni podsmażamy posiekaną szynkę, aż się zarumieni. Dodajemy starty czosnek oraz szparagi i smażyemy na małym ogniu przez kilka minut, co chwila mieszając. Na koniec doprawiamy solą oraz pieprzem.

Jajka wbijamy do miski, dodajemy posiekaną natkę oraz starty ser. Roztrzepujemy widelcem.

Zmniejszamy ogień pod patelnię do minimum, wrzucamy makaron i mieszamy. Wyłączamy ogień, dodajemy roztrzepane jajka, cały czas mieszając.

Z jajek ma powstać delikatny, kremowy i oblepiający makaron sos. Nie doprowadzamy do ścięcia białka.

Wykładamy na talerz. Możemy posypać startym parmezanem. Możemy dorzucić pokrojone na pół pomidorki koktajlowe. Smacznego! ☺☺

*oprac. raw
Kamila Boruta jest
aktorką.*



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jeść trzeba, w zarazie też

Dzisiaj zwinęłam z półki w łazience wszystkie kosmetyki do makijażu. I schowałam do pudełka. Po co mi one teraz? I tak się nie maluję – powiedziała znajoma. Ja podobnie patrzę na swoje od sześciu tygodni nieużywane. Korzyść z tego taka, że oszczędzę na szmince, która i tak nie ma sensu, gdy się nosi maseczkę. Na wieczorowe sukienki patrzę jak na relikty z mezozoiku. Po co mi one? Kiedy je włożę? Czy w ogóle włożę?

Problem, czy się malować i do czego służy wieczorowa marynarka, można uznać za nieistotny w hierarchii tych, które z dnia na dzień postawił przed nami obywatel COVID-19. Wszystko się zmieniło dla wszystkich, ale reakcje są różne. Weźmy sprawy domowe. Ponieważ jeść trzeba, jedni – przeważnie single lub bezdzietni – wyżywają się w kuchni, bo wreszcie mają czas. Wymyślają przepisy, zamawiają on-line w hurtowniach składniki, które okazały się dostępne, gdy zamknięto restauracje. I urządzają orgie gotowania. Ci mają dobrze, bo mogą pobawić się w kulinaria. Smacznego.

Są i tacy, których niemiłe zaskoczyła konieczność i nieuchronność gotowania w domu. Wielkomiejscy miliardiści na przykład – pierwsze polskie pokolenie, które jadło właściwie wyłącznie na mieście. A tu nagle zostali odcięci od źródła zasilania. Co robić? – Wspomagamy zamkniętą gastronomię – wyznał mi pewien zaangażowany społecznie millennial, tłumacząc, dlaczego zamiast samemu ugotować



FOT. ADORÉ STOCK

zupę w domu, codziennie odbiera jedzenie dostarczone mu z pobliskiej restauracji lub baru.

Nakarmić cztero- czy pięcioosobową rodzinę lunchami z knajpy (po 22 zł) – nie ma szans. Tym bardziej jeśli w domu są nastolatki, które nie zadowolą się sałatką z humusem. Tam, gdzie dotąd nie gotowało się codziennego obiadu dla rodziny, bo każdy żywił się na mieście, w szkolnej czy przedszkolnej stołówce, sytuacja zmieniła się z dnia na dzień. Kobiety, które spędzały cały dzień w pracy i wieczorem kłęciły naprędce zimną lub gorącą kolację, nagle stanęły wobec konieczności ugotowania obiadu dla wszystkich. I to codziennie. Siedzą więc przy służbowym komputerze w kuchni, jednym okiem łypiąc na zupę, drugim na ekran laptopa, w przerwach próbując wytłumaczyć czwartoklasiście zagadnienie arytmetyczne.

Problem obiadu powstał nawet tam, gdzie nie ma dzieci. – Już mam dość tego codziennego gotowania – powiedziała znajoma matka dorosłej córki, ta sama, która schowała kosmetyki. Nigdy tego nie robiłam. I przyznała, że pierwszy raz w życiu ugotowała zupę ogórkową.

Jak widać, z koronawirusa mogą wynikać nawet korzyści. ☺☺

TEST „DO RZECZY”: OPPO RENO3 PRO

Elegancki wygląd, bardzo dobry aparat fotograficzny z czterema obiektywami i szybki optyczny skaner odcisków palców – to największe zalety najnowszego flagowca chińskiej firmy Oppo.

Mimo stosunkowo niewielkiej wagi (171 g) smartfon wyposażony jest w ekran o wielkości aż 6,5 cala. Zastosowanie wyświetlacza Super AMOLED o rozdzielczości Full HD+ (2400 x 1080) sprawia, że różne odcienie czerni są przepięknie odwzorowane, a niektóre przedmioty wyglądają nawet ostrzej niż w rzeczywistości.

Dużą zaletą tego smartfona jest aparat fotograficzny, który wykorzystuje aż cztery tylne obiektywy: główny o rozdzielczości 48 Mpix i jasności f/1.7, teleobiektyw z dwukrotnym zoomem optycznym o rozdzielczości 13 Mpix (f/2.4), ultraszerokokątny o rozdzielczości 8 Mpix (f/2.2) oraz monochromatyczny 2 Mpix (f/2.4). Efekt? Fotografie bardzo dobrej jakości, ostre i pełne detali, z prawidłowo oddanymi kolorami. Tych, którzy lubią smartfonową fotografię, ucieszy też tryb ekspert, pozwalający na manualne ustawianie wszystkich istotnych parametrów i zrobienie naprawdę imponujących zdjęć portretowych lub uwiecznienie pięknych krajobrazów. Smartfon potrafi również nagrywać filmy w rozdzielczości 4K przy prędkości 30 kł./s. Kręcenie filmów ułatwia znakomita elektroniczna stabilizacja obrazu. Dzięki niej jakość nagrań wideo jak na średnią półkę cenową jest naprawdę bardzo dobra.

Sercem urządzenia jest ośmiorzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 765G wspierany przez 12 GB pamięci RAM. Cieszy także aż 256 GB wbudowanej pamięci na dane. System operacyjny ColorOS7 bazuje na Androidzie 10.0. Niby wszystko działa sprawnie, ale mimo pewnych ulepszeń wciąż nie jest to najlepsza nakładka na Androida, jaką testowałem.



Nieźle sprawdza się też ukryty pod ekranem optyczny czytnik linii papilarnych. Jest szybki i niezawodny. Telefon obsługuje technologię NFC, dzięki której można nim płacić bezprzewodowo w sklepach. Fajnym dodatkiem jest też DualSIM.

Z kolei głośniczki stereo – jeśli się weźmie pod uwagę ich smartfonowe rozmiary – potrafią zagrać stosunkowo głośno, choć jakość dźwięku nie porywa.

Bateria o pojemności 4025 mAh pozwala na pracę bez doładowywania przez cały dzień, a przy mniej intensywnym użytkowaniu nawet na nieco ponad jeden dzień. W tej półce znajdziemy jednak smartfony, które oferują jeszcze pojemniejsze akumulatory. Na szczęście Reno3 Pro obsługuje technologię szybkiego ładowania 30W, która pozwala naładować telefon od zera do 50 proc. w ciągu 20 minut i do 100 proc. w ciągu godziny.

Wady? Procesor mógłby być bardziej wydajny, ale większość użytkowników – poza naprawdę zapalonymi graczami – prawdopodobnie nie będzie miała powodu do narzekania. Drobnym minusem, który może być jednak mocno zastrzeżeniem każdego dnia, jest brak „kropki” z tyłu obudowy, która w poprzednich modelach Oppo sprawiała, że telefon się tak bardzo nie rysował, a także stabilnie leżał na biurku czy stole. Tymczasem teraz cztery wystające ponad obudowę obiektywy sprawiają, że nie da się położyć telefonu płasko na blacie. Na szczęście problem ten rozwiązuje się sam, po założeniu na telefon dołączonego w zestawie przezroczystego etui.

Podsumowując: Oppo Reno3 Pro to ciekawa propozycja ze średniej półki, zwłaszcza dla osób, którym zależy na dobrym aparacie fotograficznym. Na tak konkurencyjnym rynku model ten został jednak wysoko wyceniony. Z ewentualnym zakupem wstrzymałbym się więc, aż cena spadnie bliżej poziomu 2,2 tys. zł. Obecnie za chińskiego flagowca trzeba zapłacić 2599 zł. ©

Jacek Przybylski

WIELE PIECZENI W JEDNYM

Podobno najfajniejsze rzeczy są najprostsze. Oto Cheat Sheets umożliwiające przygotowanie posiłków bez bałaganu na talerzu czy blasze w piekarniku. Zasada jego działania jest genialnie prosta. Gadżet to specjalne silikonowe podkładki z przegródkami pozwalającymi na rozdzielenie na blasze wkładanej

do piekarnika poszczególnych składników potrawy, bez ryzyka ich wymieszania. Znaczenie jest nie tylko estetyczne. Kilka produktów potrzebnych do przygotowania posiłku możemy włożyć równocześnie do piekarnika i... wyjmować każdy z nich po czasie potrzebnym do upieczenia danej części całości. Nie ma potrzeby osobnego zapiekania np. tego,



co musi piec się 15 minut, i tego, co w wysokiej temperaturze przebywać musi, dajmy na to, godzinę. Banalnie proste i być może właśnie dlatego na portalu crowdfundingowym Kickstarter cieszy się olbrzymią popularnością. Zamawiać można na wspomnianym portalu, cena to ok. 160 zł.

MINISKUTER PODWODNY

Z jednej strony, jak mówi minister Szumowski, wakacji nie będzie. Z drugiej – kiedyś pandemia przeminie i warto będzie wybrać się nad wodę. Albo i pod wodę. Tu przyda się zabawka bardzo ciekawa, choć niestety droga. WhiteShark MixPro to miniaturowy skuter podwodny, pozwalający rozwijać prędkość do 1,8 m na sekundę, z możliwością zamontowania smartfona na kierownicy. Nazwa skuter może być myląca, bo tak naprawdę mamy do czynienia z kierownicą, której trzymamy się, pływając pod wodą i zyskując przy tym niezłe przyspieszenie. WhiteShark MixPro jest najmniejszym podwodnym skuterką ze śmigłem podwójnym na rynku. Może wytrzymać do 60 minut na jednym ładowaniu. Zamawiać można na portalu Kickstarter, dostawa w czerwcu, a zapłacić trzeba ok. 1,6 tys. zł. ©

Wojciech Wybranowski





POD WĄS

Porządek musi być

IGOR ZALEWSKI

To jest bardzo długi weekend. Wielu ludzi ma go już dosyć. Nie chcę nikogo wkurzać, ale ja się całkiem dobrze odnajduję w obecnej sytuacji. Może dlatego, że znalazłem nową pasję. Sprzątanie.

Zacznijmy od tego, że jak każdy facet zawsze byłem terroryzowany przez kobiety w kwestii porządku. Znać na pewno ten cierpienny wyraz twarzy matek i żon, głoszący bezgłośnie, że nie dbacie o czystość, którą one z takim oddaniem i poświęceniem utrzymują. Moja mama miała solidnego hopla na punkcie porządku w domu. Kruszenie było surowo zakazane. Wycieranie butów surowo nakazane. Dotykanie firanek raczej niewskazane, bo mogło zaburzyć ich układ. Wyglądanie przez okno też nie było mile widziane. Wszak wystarczyło chuchnąć, by na szybko pojawiła się brzydka plama. Jednym słowem, wszelka działalność, z oddychaniem włącznie, zagrażała idealnej czystości, która panowała w naszym mieszkaniu.

Jako dziecko byłem zmuszany do niewolniczych prac polegających na sobotnim sprzątaniu. Mama po powrocie z pracy dokonywała groźnej inspekcji. Rzadko kiedy była zadowolona. Nawet mój wkład w walkę o porządek nie ukroił jej tyrań, w których malowniczo i dramatycznie opisywała swój trud wkładany w zwalczanie kurzu i idealne układanie zasłon. Ja zaś oczywiście ten trud marnowałem, brudząc i nie dbając.

Moja żona szczęśliwie okazała się mniejszą pedant-

ką. I ona jednak, kiedy już zadba czasem o nasz dom, ma w zwyczaju mamrotać coś pod nosem, że tylko ona sprząta, a reszta domowników – czyli ja i syn – zupełnie jej nie pomaga. Oczywiście tak nie jest, bo ja robię, i to dużo. Ale co poradzę na to, że moje dużo to dla niej mało?

Nagle jednak coś się zmieniło. Może to kwestia koronawirusa i ciągłego siedzenia w domu. A może w końcu włączyło się dziwactwo odziedziczone po mamie. W każdym razie od ładnych już paru tygodni obsesyjnie dbam w domu o porządek. Ja odkurzam, ja myję kuchnię, ja ścieram kurze, ja zmywam, ja piorę, ja wywieszam pranie, ja prasuję, ja wyrzucam śmieci. I może to jednostka chorobowa, ale zdarza mi się odkurzać dwa razy dziennie.

Szczerze mówiąc, jest naprawdę świetnie. Czystość ma pewne znaczenie, ale najbardziej podoba mi się, że mogę robić potępiające miny i głośno wzdychać, gdy ktoś nakruszy. Patrząc groźnie, gdy ktoś zostawia kubek po herbacie na stole. Wznosić błagalne spojrzenie ku niebiosom, gdy napotykam nieodwieszone do szafy ubranie. A najbardziej lubię chyba zadawać teatralnym szeptem retoryczne pytanie: Czy tylko ja w tym domu dbam o porządek?!

Ostatnio żona mi wyznała, że ma wyrzuty sumienia, iż ona nic nie robi, a ja tak dzielnie sprzątam. „I słusznie” – odrzekłem, zdając sobie w końcu sprawę, że władzę w domu ma ten, kto w nim sprząta i jęczy z tego powodu. ©©



JAK MAKIEM ZASIAŁ

Kidawa TV

MARCIN MAKOWSKI

Platforma Obywatelska od lat jednym z filarów swojego politycznego trwania uczyniła walkę o tzw. wolne media. Ich modelowym zaprzeczeniem w narracji PO miała być – nie bez słuszności zresztą – Telewizja Polska pod rządami prezesa Jacka Kurskiego. Wiele z jej programów publicystyczno-informacyjnych codziennie dostarczało przecież wysokokalorycznego kontentu; od pasków TVP Info przez „Studiu YaYo” do „Wiadomości” i ich legendarnego obiektywizmu. Wystarczyło się po te treści schylić i obrócić je przeciw władzy – proste. I tak partia w swoim podejściu do telewizji publicznej ewoluowała, od partycypacji przez bojkot do niechętnego udziału w programach „TVPiS”. Nieprzerwanie snuła jednak wizję odpolitycznionych, obiektywnych i pluralistycznych mediów, które – gdyby tylko wygrała wybory – od następnego dnia by wprowadziła.

Do tej pory mogliśmy sobie jedynie wyobrazić, jak wyglądałby ten idealny ekosystem telewizyjno-radiowy aż do momentu, w którym wchodząc do alternatywnego świata kampanii (która nie jest kampanią) Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, mogliśmy podejrzeć wizję Platformy od kuchni. I cóż to był za widok! Stylizowane na „Fakty TVN” zielono-błękitne studio, profesjonalne światło oraz prowadzenie kamery, a za stołem... „dziennikarka” w postaci Aleksandry Gajewskiej, która grilluje panią marszałek. – Czy wyniki tych wyborów

mogą być zakwestionowane, a jeśli tak, to kiedy w ogóle można byłoby przeprowadzić wybory i w jakich warunkach? – pyta posłanka PO. Chwila niepewności, zawahania, następuje łączenie z ekspertem. – Właściwie trudno powiedzieć, w jakim terminie wybory mogłyby się odbyć, tak aby były niezakwestionowane. Te wybory nie odpowiadają standardom konstytucyjnym. Stworzyliśmy tak naprawdę stan absolutnego bezprawia – mówi prof. Fryderyk Zoll, znany z walki o „wolne sądy”. – Polska potrzebuje prawdziwego prezydenta wybranego w wolnych i bezpiecznych wyborach. I ja takie wybory chcę wygrać, bo te pseudowybory korespondencyjne, nazywane „usługą pocztową”, w maju nie będą ani wolne, ani bezpieczne i w ogóle nie powinny się odbyć – dodaje pokrzepiona tymi słowami Małgorzata Kidawa-Błońska na antenie „Kidawa TV”. I tyle.

Tak właśnie widzą media niektórzy politycy, bez względu na barwy partyjne. Parlamentarzyści robią w nich za dziennikarzy, przekaz jest jedynie słuszny, a eksperci starannie dobrani. I nie ma tutaj granic, których nie da się przekroczyć. Kilka dni później okazało się bowiem, że dziennikarze TVP najprawdopodobniej napisali list za „legendy Solidarności”, które „apelowały o rozsądek” do Porozumienia, a Rafał Trzaskowski przyznał się, że zatrudnił w ratuszu twórcę „Soku z Buraka” bez konkursu, bo jest profesjonalistą. C’est la vie. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Strach, czyli kryzys

W 2006 r. amerykańska stacja telewizyjna ABC wyprodukowała film fabularny „Fatal Contact”. Dzieło pod względem sztuki filmowej raczej mierne, nawet jak na gatunek katastroficznych „przestraszaczy”, ale swój skutek odniosło. Film opowiadał o wybuchu światowej pandemii ptasiej grypy. Realnie występującą wówczas zarazę twórcy filmu uczynili morderczą pandemią, która zaczyna się w Chinach (przypadek?) i przez wędrowne ptaki (gęsi przede wszystkim) roznosi się po całym świecie. W pierwszym rzucie pochłonięć miała na całym globie 25 mln istnień ludzkich.

zaprzeczać, że „nic podobnego Ameryce i światu nie zagraża”.

Reakcje widzów za oceanem na film o ptasiej grypie zostały przytoczone przez brytyjskiego socjologa prof. Franka Furediego w kolejnej edycji jego książki „Kultura strachu” (I wyd. 1997) na dowód, że „dzisiaj strach swobodnie przemieszcza się z jednego problemu do drugiego bez konieczności wykazania przyczynowego lub logicznego związku między nimi”. I dodawał: „Obecnie nie mamy tylko czterech jeźdźców Apokalipsy, ale cały regiment kawalerii zapowiadaczy katastrofy”.

Od tego czasu minęło 14 lat, a razem na COVID-19 nie umierają dziesiątki milionów, ale dziesiątki tysięcy ludzi na całym świecie, ale „regiment kawalerii” rozrósł się do całej „armii konnej”. Strach wywołany obecną pandemią jest wszechobecny, grają na nim media i rządzący w wielu krajach. Wszak nic tak dobrze jak emocje (w tym strach) się nie sprzedaje i nic tak jak emocje (w tym strach przede wszystkim) nie służy jako poręczne narzędzie działań propagandowych.

To trwające na naszych oczach „zarządzanie strachem”, a właściwie „zarządzanie za pomocą strachu”, znalazło podatny grunt w postaci opisanej przez Furediego panującej na Zachodzie „kultury strachu”. Brytyjczyk zauważył, że z jednej strony dominujące w zachodnim świecie na początku XXI w. wzorce kultury afirmują niczym nieograniczone możliwości rozwojowe człowieka (w tym nawet możliwość panowania nad naszą biologiczną naturą), z drugiej wieszczą nadchodzącą katastrofę. Zmiany klimatyczne (dziura ozonowa, ochłodzenie, potem zaś ocieplenie klimatu przez działalność człowieka), terroryzm, wzrost tzw. zwykłej przestępczości, wreszcie epidemie (choroba wściekłych krów, ptasia grypa,

SARS, ebola) – wszystko to sprawia, że na początku obecnego stulecia „nie chodzi już o przetrwanie człowieka, ale o przetrwanie samej wiary w ludzkość”.

Te diagnozy brytyjskiego naukowca z 2006 r. stają się w 2020 r. tym bardziej aktualne. „Zarządzcy strachem” zapominają jednak, że „przedawkowanie” tej emocji może przynieść skutki odwrotne od oczekiwanych. Abecadło socjotechniki mówi, że za pomocą strachu można skutecznie oddziaływać na nastroje społeczne jedynie wtedy, gdy od razu poda się „antidotum” („Jest źle, ale będzie lepiej, bo my wiemy, co trzeba zrobić”).

Antidotum, czyli nadzieje. Jeśli jej zabraknie, to może być naprawdę źle. Spójrzmy na gospodarkę. Po drugiej wojnie światowej, gdy na skutek strat ludzkich rozerwany był łańcuch wiążący producentów i konsumentów, gdy poważnie zniszczona była infrastruktura komunikacyjna i przemysłowa, była jednak nadzieja. Jej wyrazem był szybki wzrost demograficzny. Nawet nie trzeba było planu Marshalla. Również w Polsce za żelazną kurtyną ten fenomen był zauważalny. Żadna w tym zasługa partii komunistycznej. Tak po prostu działała i działa ludzka psychika.

Dzisiaj straty ludzkie w wyniku pandemii koronawirusa nie są tak straszliwe jak w czasie ostatniej wojny, a i infrastruktura nie poniosła właściwie żadnych strat. Brakować zaś może tego, co najważniejsze – nadziei. Ten deficyt może zaś wywołać strukturalny kryzys. Co z tego, że rząd będzie znosił kolejne restrykcje, jeśli ciągle dominować będzie strach potencjalnych konsumentów i odbiorców usług? Patrzymy uważnie za dziewięć miesięcy na statystyki demograficzne (zwłaszcza u nas). Dużo dowiemy się wtedy o strachu i nadziei. ©



RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Amykańska opinia publiczna nie wpadła co prawda w panikę o skali porównywalnej z tą wywołaną przed wojną słynnym słuchowiskiem radiowym o inwazji kosmitów („Wojna światów” według H.G. Wellsa), ale zaniepokojenie było na tyle duże, że wysocy przedstawiciele administracji George’a W. Busha czuli się w obowiązku publicznie



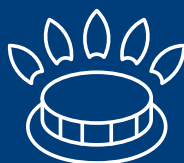
PARTNER
STRATEGICZNY
VIII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2020



Jesteśmy blisko Ciebie



**Dbamy
o bezpieczeństwo
energetyczne
Polaków**



**Zapewniamy
niskie ceny gazu
dla gospodarstw
domowych**



DOBRA ENERGIA
TANI GAZ